CENA Zł 40

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK I PAŹDZIERNIK 1945 NR 1

ZAWIERA:

WARSZAWA — KRAKÓW — JELENIA GÓRA

Cena zeszytu . . . . zł. 40.—
Prenumerata kwartalna . . . . . zł. 120.—

Konto PKO Kraków IV—224.

Rękopisów redakcja nie zwraca.
Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

CENA OGŁOSZEŃ: Od 1 wiersza wys. 1 mm szerokości szpalty petitowej złotych 20.

Od dnia 1 listopada b. r. adres redakcji: Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 26, Uniwersytet

Skład Główny Sp. Wyd. „Czytelnik"

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

PAŹDZIERNIK—GRUDZIEŃ 1945

WARSZAWA — KRAKÓW — JELENIA GÓRA

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ministerstwa Oświaty

WYDAWCA: ZESPÓŁ „NAUKA I SZTUKA"
REDAKTORZY: JULIAN KRZYŻANOWSKI I STEFAN KUCZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. J. LEA 15a

DRUKARNIA I POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM, KRAKÓW, WIELOPOLE 1.
M—06203

J. K. DĘBOWSKI

Z MYŚLI O NAUCE

1. Wyraz Nauka stale występuje dzisiaj na ustach ludzi, zajmujących się organizacją życia zbiorowego; widnieje on na łamach dzienników i czasopism, niekiedy nawet na tytułach specjalnych dodatków, poświęconych sprawom nauki i sztuki, nauki i literatury, nauki i wiedzy (!); rozbrzmiewa na zebraniach publicznych; staje się przedmiotem obrad tych czy innych instytucyj państwowych. A jednak rzadko potrafilibyśmy odpowiedzieć na pytanie, czym nauka jest na prawdę i na czym polega, a tym bardziej polegać powinna, jej funkcja w życiu codziennym nowoczesnego społeczeństwa, narodu, państwa, ludzkości wreszcie. Odpowiedź zaś na te pytania jest bodajże łatwiejsza, niżby na pierwszy rzut oka wydawać się mogło, pod warunkiem przecież, że z miejsca wobec powikłanego zagadnienia zajmiemy stanowisko poprawne, no i że będziemy usiłowali wysnuć z niego równie poprawne wnioski.

Stanowisko takie, najprostsze i najoczywistsze, dostępne zarówno dla człowieka, który nauce poświęcił życie, jak dla laika, który z nim raz pierwszy się styka, będzie brzmiało: Nauka jest to system, czyli uporządkowany układ myśli, obliczony na opanowanie zjawisk świata i pozaludzkiego i ludzkiego, a więc i zjawisk przyrody i życia ludzkiego, jednostkowego i zbiorowego. Tak rozumiana istota nauki obejmuje równie dobrze poznanie struktury atomu, wiodące do opanowania sił, które ją tworzą, by je zastosować do odpowiednich celów technicznych, jak myślowe opanowanie psychiki ludz-

kiej, by na znajomości jej oprzeć takie czy inne zadania, stawiane jednostce, jak wreszcie poznawcze owładnięcie zjawiskami życia gromadnego, by móc nim umiejętnie pokierować dla dobra czy zła danych gromad ludzkich. Z tak rozumianej istoty nauki wypływa jej doniosłość, w doświadczeniu potocznym hierarchizowana wedle kolejności, uwydatniającej praktyczną przydatność najrozmaitszych dziedzin nauki w życiu codziennym. Potocznie tedy na plan pierwszy wysuwa się nauki techniczne jako te, których uprawa bezpośrednio i doraźnie przyczynia się do rozkwitu życia zbiorowego lub jego zastoju i daje się mierzyć i obliczać statystycznie, ujmować w cyfry produkcji rolnej i przemysłowej i cyfry obrotu handlowego. Na planie drugim umieszcza się żywo odczuwane podłoże nauk technicznych, nauki przyrodnicze, których stały rozwój w obrębie ostatnich lat dwustu doprowadził do gruntownego poznania tajemniczych sił przyrody i w ten sposób umożliwił techniczne ich opanowanie. Na miejscu wreszcie trzecim czy nawet dalszym toleruje się pobłażliwie zespół nauk innych, odziedziczonych po przeszłości a obejmujących sprawy człowieka i stąd zwanych humanistycznymi, nauk, które — wedle pospolitej a może nawet powszechnej opinii — są bardzo kosztowne a bezużyteczne, nie wiodą bowiem do wytwarzania nie tylko już bomb atomowych ale nawet zwyczajnych samochodów.

Takie po prostacku uproszczone rozumienie wewnętrznej struktury świata nauki, spotykane w czasach normalnych i decydujące niejednokrotnie o jej życiu, zapanowało wszechwładnie po poprzedniej wojnie europejskiej i panuje powszechnie również obecnie; występuje ono nie tylko w decyzjach młodzieży zapisującej się do szkół wyższych, ale odbija się również na polityce naukowej państw w postaci rozbudowy dziedzin prac naukowych, zaliczanych do kategorii ważniejszej, upośledzania zaś dziedzin dalszoplanowych.

A przecież całe to wartościowanie jest krótkowzroczne i z gruntu fałszywe. Jego błędność wynika już choćby z poda-

nego na wstępie określenia, głoszącego, iż nauka jest systemem myśli obliczonym równie dobrze na opanowanie zjawisk pozaludzkich jak ludzkich. Wyciąganie zaś z błędnych przesłanek wniosków praktycznych, decydujących o życiu nauki, łatwo może, a bodaj nawet musi doprowadzić do zachwiania całego systemu nauki i do jego ostatecznego bankructwa.

Dlaczego? Odpowiedź znowuż jest prostsza, niżby się to na pozór wydawać mogło.

2. Znaczenie nauk techniczno-przyrodniczych, lub — jak dla ułatwienia mówić będę — po prostu przyrodniczych, występuje w świecie dzisiejszym w postaci osiągnięć cywilizacyjnych, jest — jak wiemy — wielkością uchwytną, dającą się ująć cyfrowo w wykazach statystycznych. Inaczej ma się sprawa z całą niemal dziedziną nauk humanistycznych, których produktem jest kultura duchowa i, daleko uchwytniejsza, bo na gruncie jej skrzyżowania z cywilizacją wyrastająca kultura społeczna, mierzona dzisiaj nie bez powodzenia również kolumnami cyfr i wykresami statystycznymi. Wzajemny zatem stosunek nauk przyrodniczych i humanistycznych sprowadzić można do stosunku cywilizacji i kultury, zagadnienie to jednak jest tak zawiłe, że odwołaniem się do niego jako argumentem rozstrzygającym trudno byłoby się w tym miejscu posłużyć. Argumentu tego, o ile kogoś nie przekonywa logiczna wymowa sformułowanego poprzednio określenia, szukać należy gdzie indziej i to drogą okrężną. Dostarcza go w pewnym stopniu rozumowanie, spotykane wielokrotnie w debatach nad charakterem instytucji, służącej upowszechnieniu nauki w środowisku ludzkim, tj. szkół zwłaszcza średnich. Jego punktem wyjścia jest okoliczność, niedostrzegana nawet przez teoretyków nauki, fakt mianowicie, że nauka jest zjawiskiem społecznym, że nie służy ona tylko — jak to u nas głoszono — zaspokojeniu pewnych potrzeb wewnętrznych swych twórców, lecz ma stronę pozajednostkową, w postaci swej najprymitywniejszej występującą jako nauczanie, przeprowa-

dzane właśnie w szkołach. Począwszy od tego ich stopnia, na którym zarysowuje się nowoczesne rozdwojenie nauk na przyrodnicze i humanistyczne, a więc w szkołach średnich.

W sporach mianowicie o wartość, czy raczej wyższość tych dwu typów, w namiętnych nieraz kłótniach o sens nauczania łaciny, poczytywanej (z greczyzną lub bez niej) za podstawową różnicę obydwu kategorii, odwoływano się zazwyczaj ze strony zwolenników wykształcenia humanistycznego do doświadczeń poczynionych w szkołach realnych stopnia najwyższego tj. w politechnikach. Profesorowie tych zakładów stwierdzali niejednokrotnie, iż do studiów wyższych specjalnych lepiej nadawali się wychowankowie szkół humanistycznych, a więc ogólnych, niż absolwenci szkół realnych, a więc jednostki wdrażane do pracy specjalnej już na ławach szkoły średniej. Spostrzeżenie to, może nawet słuszne, nie ma nieodpartej mocy dowodowej, przypuścić bowiem można, że dokonano go na terenie, na którym szkolnictwo humanistyczne, już choćby dlatego tylko, że jest dawniejsze, lepiej zorganizowane, wyposażone w lepsze siły nauczycielskie itp., mogło dawać przez czas jakiś wyniki lepsze od młodszego i mniej wyrobionego szkolnictwa realnego. Argumentu rozstrzygającego należy zatem poszukać raz jeszcze gdzie indziej.

Najbardziej imponujący produkt dzisiejszych nauk technicznych, precyzyjna maszyna bojowa czy komunikacyjna, wymaga równie precyzyjnej obsługi ludzkiej w czasie swego działania, a przynajmniej w chwili startu. Obsługa ta zaś zakłada nie tylko odpowiednie przygotowanie zawodowe, biegłość w specjalnym rodzaju pracy, ale również posiadanie innych jeszcze właściwości nie tylko fizycznych lecz i moralnych, duchowych, których poznanie i dostosowanie opiera się na innych naukach aniżeli objęte przyrodoznawstwem. Doskonały pilot lub szofer musi odznaczać się nie tylko nieodzownym przygotowaniem technicznym i odpowiednią sprawnością fizyczną, ale nadto pewnymi dyspozycjami czy zdolnościami, takimi jak przytomność umysłu, szybkość decyzji, więcej na-

wet, może łatwo stanąć w sytuacji, wymagającej odeń bohaterstwa w spełnieniu obowiązku. Poznać, ocenić i wyzyskać te właściwości pozwala jedynie rzetelna znajomość człowieka, a zatem odgałęzienie jakiejś nauki humanistycznej. Przykład haniebnego rozsypania się armii niemieckich, które dzięki swym doskonałym maszynom i ich technicznie wyszkolonej obsłudze podbić zdołały i sterroryzować całą niemal Europę a runęły nie tylko dzięki doskonalszemu przygotowaniu technicznemu zwycięzców ale i ich wyższości moralnej, stanowi pełen wymowy dowód, iż najwyższych wartości osiągalnych dla człowieka niepodobna pomieścić na platformie stworzonej wyłącznie przez nowoczesne przyrodoznawstwo.

Nie tylko jednak fakt oczywisty, że maszyna bez człowieka byłaby tylko martwym zespołem swych składników, ale i coś innego jeszcze przemawia za doniosłością nauk humanistycznych. Właśnie ich funkcja społeczna. Gdybyśmy sobie mianowicie wyobrazili społeczeństwo idealnych robotów-speców, nierozdzielnie związanych z światem maszyn, musielibyśmy przyjąć istnienie w społeczeństwie tym osobnej kategorii jednostek, rozstrzygających o kierowaniu młodych ludzi do odpowiednich specjalności, a więc jednostek posiadających jakiś ogólny pogląd na te specjalności i ich miejsce w danym układzie, oparty na znajomości jego charakteru i potrzeb, a więc jednostek o zainteresowaniach humanistycznych i odpowiednim przygotowaniu humanistycznym.

Schodząc z wyżyn utopistycznej abstrakcji na praktyczny poziom dzisiejszej codzienności, bez trudu znaleźć na nim można odpowiednik owych jednostek kierowniczych. Stanowi go poprostu w miliony idąca armia pracowników naukowych stopnia elementarnego, nauczycieli szkół powszechnych, siewców zdobyczy naukowych w ich postaci najprostszej, dostępnej umysłom dzieci. Są oni krzewicielami „wszech nauk", dostarczającymi ich człowiekowi dzisiejszemu na użytek powszedni, jak byli nimi ich poprzednicy w wiekach, gdy istniała jedna nauka i gdy możliwe było — na jej wyjątkowych szczy-

tach, w głowach podziwianych polihistorów — całkowite jej opanowanie.

Nauka, oglądana od swej podstawowej strony społecznej, tj. ze stanowiska nauczania, ukazuje się więc jako jedność, przyświadczająca słuszności danego na wstępie określenia. Stanowisko to — powtarzam — jest tak proste i oczywiste, że nie może budzić żadnych wątpliwości. A skoro tak, to sama konieczność przygotowania armii nauczycielskiej jest najwymowniejszą ilustracją doniosłości nauk humanistycznych, dowodzi bowiem, iż znaczenie ich pośrednie, jako środka wykształcenia nauczycieli, jest niemniejsze od bezpośrednio uchwytnej i obliczalnej doniosłości nauk przyrodniczo-technicznych. Gdybyśmy w dziedzinie tej zastosować mogli dane statystyczne, najprawdopodobniej doszlibyśmy do przekonania, iż szanse rozkwitu nauk technicznych są wprost proporcjonalne do wydajności pracy rzesz nauczycielskich, że nauki te rozwijają się tylko w społeczeństwach o silnie rozbudowanej i doskonale funkcjonującej sieci szkolnictwa powszechnego, której funkcjonowanie znowuż zależne by się okazało od poziomu nauk humanistycznych jako czynnika warunkującego poziom owego szkolnictwa. I odwrotnie, podcięcie nauk humanistycznych, pociągając za sobą obniżenie szkolnictwa i obniżenie kultury, automatycznie odbić się musi niekorzystnie na poziomie cywilizacji i doprowadzić do obniżenia lub nawet zmarnienia nauk przyrodniczo-technicznych.

3. Z wywodów dotychczasowych nietrudno wysnuć wniosek, iż nauki przyrodnicze i humanistyczne, wyrastające z wspólnej podstawy i obliczone na te same cele ostateczne, warunkują się i dopełniają wzajemnie. Bez odpowiedniego podłoża humanistycznego niemożliwy jest owocny rozkwit przyrodoznawstwa, i odwrotnie, w środowisku zacofanym pod względem technicznym, mierzonym zdobyczami cywilizacyjnymi, zjałowieć i uwiędnąć musi nauka o człowieku, nie rozwiną się tam nauki humanistyczne. Przekonywa o tym do-

świadczenie historyczne, najogólniejszy nawet rzut oka na dzieje człowieka zbiorowego. Jednostronny rozkwit humaniorów przy niskim poziomie cywilizacyjnym, nieuchronnie prowadzi do powstania typu kulturowego, który określić by można mianem homo theologicus, typu, który górował nie tylko w średniowieczu, ale pospolity jest również w Europie dzisiejszej. Za przedstawiciela jego poczytać by można Imć Onufrego Zagłobę, głoszącego z powagą, iż nie ma tak trudnych terminów, z których by „divinis auxiliis" wydobyć się nie można, typ ten bowiem swój stosunek do świata opiera wyłącznie na owych divina auxilia, na pomocy boskiej, przejawiającej się w postaci cudu w życiu zarówno jednostki jak zbiorowości. O pospolitości tej postawy u nas świadczy choćby anegdota wojenna o Bogu zniecierpliwionym żądaniami Polaków, którzy chcieliby, by on wszystko za nich zrobił. Przerost znowu technicyzmu, wykwitu przyrodoznawstwa dzisiejszego, wiedzie do machinolatrii, do uznania typu homo faber za szczyt najwyższy, do któregeo człowiek w swym rozwoju dojść może. O konsekwencjach tego przerostu dużo powiedzieć by mogli nasi przymusowi robotnicy w fabrykach niemieckich, ci zwłaszcza, którzy wygłodzeni i goniący ostatkiem sił, z zazdrością spoglądali na maszyny obficie karmione oliwą, gdy dla ich wynędzniałej obsługi kropla tłuszczu była niedościgłym marzeniem. Wspomniana już katastrofa faszyzmu niemieckiego, wyrosłego na gruncie machinolatrii, podobnie jak katastrofa równie uprzemysłowionej Japonii stanowią odstraszającą ilustrację wyników ubóstwienia maszyny. Co więcej, słowa zwycięzcy, głoszące konieczność kontroli nad wynalazkiem, który obecnie stał się ostatnim wyrazem technicyzmu, a który mógłby przynieść zagładę ludzkości, mają wymowę daleko groźniejszą od samej katastrofy społeczeństw, które ją same zresztą sprowokowały i w całej pełni na nią zasłużyły. Wymowę, której słabą zapowiedź stanowiły w okresie międzywojnia wizje Robotów czy „Nowego wspaniałego świata", zrodzone w wyobraźni pisarzy takich jak K. Czapek lub A. Huxley, choć wizje te da-

leko w tyle pozostawiły to wszystko, co ludzkość przez wieki przywykła kojarzyć z wyobrażeniami epoki, miażdżonej kopytami Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Jeśli tedy jednostronne przerosty nauk humanistycznych i nauk przyrodniczych wiodą nieodwołalnie na bezdroża, na których lęgnie się zagłada człowieka, który przy ich właśnie pomocy usiłuje opanować wrogie sobie żywioły, tkwiące i w nim samym i w otaczającym go świecie, jakiż jest sens nauki i czy można wyobrazić sobie taką jej postać, by istotnie chroniła od zagłady, zamiast ku niej popychać?

Odpowiedź na to pytanie daje powrót do punktu wyjścia w naszych rozważaniach, do jedności i nauki, a więc do syntezy obydwu jej dziedzin, które w ciągu ostatniego wieku odbiegły od siebie tak daleko, iż rozdzieliła je przepaść, zionąca — jak się okazuje — zagładą dla ludzkości, twórczyni nauki. Co to znaczy?

4. Przed laty siedemdziesięciu, w czasach, gdy rozbrat przyrodoznawstwa, które stało się platformą nowoczesnego poglądu na świat, i nauk humanistycznych a raczej humanistyczno-teologicznych, okazał się faktem dokonanym, pociągając za sobą bankructwo dawnych poglądów na świat humanistycznych, cały ten proces odbił się w sposób niesłychanie znamienny w literaturze czasów pozytywizmu, m. in. również w poezji polskiej. Tym, który pierwszy u nas uświadomił sobie w całej pełni ówczesny kryzys, był Adam Asnyk. W głębokiej, niezupełnie wskutek głębi właśnie dostępnej tak dla czytelnika rówieśnego jak późniejszego elegii tatrzańskiej „Noc pod Wysoką", usiłował on odnaleźć i ustalić stanowisko człowieka nowoczesnego we wszechświecie, wśród przyrody, która w myśl tylko zbrojnej jednostce ludzkiej ze wszech stron grozi bezmiarem swych tajemnych sił. I znalazł je właśnie w myśli, rozbrajającej wrogie człowiekowi moce przez poznanie ich tajemniczego działania a tym samym przez opanowanie ich przy równoczesnym poddaniu się rządzącym nimi prawom. Obja-

wienie to, czy deproblematyzacja, zstąpiło nań, czy raczej rozbłysło mu w posępnym kotle wysokogórskim i wyraziło się w postaci swoistego hymnu na cześć wielkości przyrody, podzwaniającej pieśnią życia zrozumiałą dla człowieka, zdolnego ją pojąć:

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie — żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

W ten sposób myśl poety-myśliciela, na tronie, na którym romantyczny jego poprzednik osadzał milczącego Boga, umieściła nowe bóstwo nowoczesnego człowieka, przyrodę. I z czynu tego wysnuła konsekwencje pozytywne, dalekie od negatywnych wyników, do których dochodził i na których załamywał się przedstawiciel pokolenia poprzedniego. Konsekwencje pozwalające rzucić pomost między człowiekiem a przyrodą, między stanowiskiem humanisty i przyrodnika, wyrażonym w posłuchu wspólnym prawom, działającym w życiu wszechświata, społeczeństwa i jednostki. Pomostem tym stała się nauka, tak pogardliwie odrzucana przez poprzednika, jako to „co prędko gnije", tutaj zaś wyniesiona do godności jedynej drogi, wywodzącej ludzkość z mroków zagłady w światło życia.

Nazwisko Asnyka, poety o solidnym wykształceniu nowoczesnym, doktora socjologii, godziło się tu przytoczyć nie tylko dlatego, że problem zaatakował on „zbrojny całą myśli władzą“ a nie uczuciem, które trudno uznać za najwłaściwsze narzędzie do rozwiązywania zagadnień filozoficznych, ale i dlatego, że dzięki swemu ekwipunkowi dał rozwiązanie istotnie nowoczesne a może nawet wyprzedzające swoje czasy i stanowiące postulat nie mniej doniosły dzisiaj aniżeli w chwili, gdy zrodziło się w zapłodnionej przez naukę wyobraźni pisarza. Późniejszy rozwój kultury europejskiej poszedł też w obranym przez niego kierunku, choć na linii, wyznaczonej przez autora „Nocy pod Wysoką“ utrzymać się nie zdołał, schodząc na manowce machinolatrii, wielokrotnie choć bezskutecznie zwalczanej zarówno przez myślicieli jak pisarzy, bystro dostrzegających zgubne skutki wspaniałego rozwoju kapitalizmu i industrializmu.

5. Niezwykła głębia poematu asnykowskiego polega na czymś innym jeszcze, co wyraziło się w zespoleniu w nim zwrotów czysto naukowych z obrazami o charakterze tradycyjnie religijnym. Na religijnym ustosunkowaniu się człowieka do przyrody, jeśli wzorem filozofa amerykańskiego religią nazwiemy taki stosunek człowieka do sił pozaludzkich, dzięki któremu przestaje on czuć się osamotniony w wszechświecie, przestaje być igraszką w ręku ślepego przypadku, lecz wręcz przeciwnie, poznając swe losy, usiłuje nimi świadomie i skutecznie kierować. Tak rozumiany stosunek do przyrody, religia świecka, obejmująca wszelkie możliwe związki ludzkości z przyrodą, a więc światem i pozaludzkim i ludzkim, obydwa bowiem stanowią tu jedność nierozdzielną, wynikającą z działania tych samych praw, wyrasta z poznania zorganizowanego, z nauki. Nauka jest jej podstawowym wyrazem, choć nie jedynym, równoważne bowiem jej dopełnienie stanowi — czym tutaj w tej chwili zajmować się niepodobna — sztuka, zwłaszcza sztuka słowa.

I dopiero tak rozumiana nauka, ogarniająca całą nieskoń-

czoną sieć spraw ludzkich, od najprostszych i najoczywistszych po najbardziej zawiłe i dostrzegalne jedynie dla wzroku, uzbrojonego w „szklane skrzydła“, na których niemoc tak wymownie skarżył się wielki poeta, może tylko dlatego, że posługiwać się nimi nie umiał, nauka wyznaczająca człowiekowi jednostkowemu i zbiorowemu należyte miejsce w wszechświecie — okazuje się nie zbiorem wiadomości o charakterze utylitarnym, lecz potęgą, stanowiącą o łosach ludzkości. Ludzkości świadomej swych dróg i zdolnej do kierowania własnymi krokami. Ludzkości ,od której własnego wyboru zależy, czy pójdzie dalej dotychczasową drogą, wiodącą do zagłady, czy też, wysnuwszy właściwsze wnioski z potwornego doświadczenia dwu wojen światowych, wstąpi na szlaki wiodące do pełnego rozkwitu w braterstwie człowieka z człowiekiem i człowieka z przyrodą.

JULIAN PRZYBOŚ

Na temat sztuki narodowej

Mówi się o sztuce n a r o d o w e j, o n a r o d o w y c h: literaturze, malarstwie, muzyce. Przymiotnikowi „narodowy" daje się ciężar kamienia filozoficznego do wytopienia złótego okresu literatury. Rozważmy najzwięźlej to pojęcie.

Hasło sztuki narodowej narzuca postulat o d r ę b n o ś c i, poddaje, że może istnieć literatura wolna od zależności i wpływów piśmiennictwa innych narodów, jakaś literatura samorodna, inna, lub od tych wpływów wolna na tyle, że spośród innych literatur dostatecznie się wyróżniająca. Odrębność wynikać ma nie tylko ze swoistych warunków geograficznych i społeczno-kulturalnych, w jakich tworzą pisarze danego kraju. Nadewszystko głównym powodem narodowości i odrębności literatury, tej odrębności, która u szczęśliwszych narodów, jak francuski, została osiągnięta i tej, którą mniej szczęśliwe kulturalnie mają dopiero osiągnąć — jest t. zw. duch narodu. Przyjmuje się, że istnieje taki duch narodu, inny dla każdej narodowości, jak inny jest j ę z y k. Wyznając tę hipotezę historycy i krytycy literatury dociekają w dziełach dawnych i współczesnych, w jakim stopniu odzwierciadlają one polskość. Duch sarmacki, kwintesencja polskości, głos rasy polskiej — oto określenie wartości najwyższych, kryteria ponadestetyczne. Stosuje się je do szczytowych osiągnięć sztuki polskiej, słyszy się je zwłaszcza wtedy, gdy historyk i krytyk, się-

gając po najwyższy miernik wartości, zachwycony — staje bezradny wobec tajemnicy arcydzieła. Tak się mówi o utworach Chopina, Mickiewicza.

Ale tak się pisywało także o utworach np. Zofii Kossak w przeciwieństwie np. do twórczości St. I. Witkiewicza. Ocena, o ile pisarz współczesny, jest narodowy, jest niemniej dowolna, niż wyraz jego oczu. Jeśli chodzi o pisarzy dawnych, narodowieją z wiekami oddalenia. Żeromskiemu odmawiała krytyka reakcyjna tej godności wtedy, gdy za pisarza narodowego uchodził nade wszystkich Sienkiewicz. Pisarze pierwszego wieku naszego piśmiennictwa wszyscy, zarówno Rej jak Orzechowski, Kochanowski, jak łaciński Janicki, wszyscy wyrażają ducha narodu, wszyscy są narodowi. W oczach wyznawców tak szczególnie pojętej sztuki narodowej — tylko niektórzy współcześni nie odsądzani bywają od godności wyrazicieli polskiego ducha. Którzy? Ci, którzy odbiegają od znanego dawniej i uznanego stylu i typu pisarskiego. Zanim przyszłość, korektorka wieczna, zmieni hierarchie, tytułem narodowych zdobieni bywają pisarze konserwatywni, wtórni, powtarzający idee i formę znakomitych poprzedników. Wincenty Pol uchodził za bardziej narodowego poetę niż Mickiewicz, Bohdan Zaleski był wieszczem dla swoich współczesnych, Słowacki i Norwid na pomniki wieszczów wzniesieni zostali po śmierci.

A więc: dwa przesądy składają się na pojęcie sztuki narodowej. Błędne mniemanie, że istnieje stały, niezmienny, odwieczny duch narodu, a więc zespół jakichś niepowtarzalnych cech psychicznych i przypuszczenie, że to co stare, historyczne jest jako wyraz polskości ważniejsze niż to co współczesne. Że polskość — to tyle co historia, przeszłość, opisana już i podbita piórem naszych antenatów. Jakby nie było teraźniejszości, jakby historia się skończyła i nie działa się, równie ważna, co więcej — ważniejsza o całą przeszłość — dziś właśnie, w bieżącej chwili dziejowej.

Poszukiwaczów odrębności narodowej w poezji ożywia pragnienie umocnienia się w dumnej świadomości narodowej,

chęć kodyfikacji uczucia patriotycznego. Jest to tendencja wychowawcza, natężenie jej w dziejach naszego piśmiennictwa tłumaczy się największą naszą tradycją literacką, tradycją romantyczną. Wiadomo: nasza wielka poezja, patriotyczna jak żadna inna, wygrała swą napowietrzną walkę. Jej zwycięstwo stało się nieodpartą zachętą dla wielu generacyj poromantycznych do naśladowania tej rozegranej walki. Działając w innych warunkach, naśladując postawę wielkoludów romantycznych, następcy powtarzali ich gesty, a nie treść i sens ich zmagań i osiągnięć. Wielka poezja romantyczna winna być nie wzorem lecz przykładem, przykładem, jak innym zagadnieniom naszego czasu dać własny, rewolucyjnie nowy, niepowtarzalny wyraz.

„A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Że Polacy nie gęsi i swój język mają" — oświadczył zadowolony z siebie ojciec naszego piśmiennictwa. Nie przyszło mu do głowy martwić się, czy to co pisze, wyraża naród szlachecki. Aż do romantyków ideał pisarski był jasny i wcale nie narodowy, przeciwnie, międzynarodowy, wspólny wszystkim pisarzom Europy klasycznej. Od Kochanowskiego do Mickiewicza ideałem poezji narodowej było jak największe zbliżenie do niedościgłych łacińskich wzorów. Inny wyraz sarmackiego pisarstwa Potockich i Pasków był rezultatem mimowolnym — niezamierzonym przez owych sarmatów, mniej bywałych za granicą i mniej wykształconych. Stanisławowscy literaci oświeceni, planujący całe cykle narodowych epopei — nie myśleli kategoriami odrębności, absolutnej swojskości artystycznej, chodziło im tylko o temat.

Tej swojskości w sztuce — odwróciwszy się od powszechnych ideałów estetycznych oświecenia — szukali romantycy. Wzmiankuję tu oczywiście tylko o tym szczególnym nurcie w romantyzmie, który w pieśni i sztuce ludowej usiłował znaleźć zaklętą pradawną formułę odrębności estetyki, sztuki różnej dla różnych narodów. Zamiast wzorów klasyków — wzory rodzimej twórczości ludowej. Ale jakżeż uczyć się na prymi-

ływie? Może on być zaledwie pierwszym tchnieniem z niego wywiedzionego pomysłu, lub — pokusą do stylizacji. Romantyk odświeżając wytworami ludowymi fantazję, infantylizował ją, „bluźnił rozumowi", często też w ten sposób zakres oddziaływania dzieła zacieśniał. Tylko twórcom genialnym udało się ludowe podnieść do narodowego i — jak powiedział Norwid —nadnarodowego, ogólnoludzkiego. Ale genialność jest zjawiskiem wyjątkowym i w ocenie rozwojowych wartości prądu, w planowaniu kulturalnym nie może być brana pod uwagę. Trzeba tu jeszcze stwierdzić jedno: Badacze folkloru rozwiali mit o samorodności, absolutnej oryginalności pieśni i sztuki ludowej. Panuje w niej niemniejsza „wpływologia", naśladownictwo pieśni szlacheckiej, międzynarodowa wędrówka motywów i wzajemna transfuzja pomysłów, niż w literaturze oświeconej. Ludowość najbardziej nawet przemienionych kołodziejów nie może stać się zasadą sztuki narodowej.

Literatura polska nie wydała pisarza oddziaływującego na literaturę światową. Mickiewicz, nieodkryty dotychczas artysta nawet przez Polaków, długo będzie wśród obcych wielkością nieznaną. Wielki Prus łatwiej mógłby przeniknąć w świadomość literacką zagranicy. Jedynym chorążym polskości wśród obcych, jedynym polskim artystą w skali światowej jest Chopin. Czy dlatego, że komponował także polonezy i mazurki?

Odpowiedź na to pytanie ma dla zagadnienia sztuki narodowej znaczenie rozstrzygające. W twórczości Chopina dosłuchiwano się owego ducha polskości, każdą jego kompozycję tłumaczono po literacku jako wyraz narodowego geniuszu. Posłuchajmy głosu autorytatywnego, posłuchajmy co mówi o Chopinie Karol Szymanowski. „Był on jednym z największych rewolucjonistów w muzyce, burząc... tradycjonalizm formalny i „duchowy", otworzył jej drogę do wolności". Nazywa go muzycznym futurystą epoki romantyzmu, wielkość jego widzi w nowatorstwie. A polskość Chopina? Odkrywa ją Szymanowski w bezwzględnej, rewolucyjnie nowej „muzyczności" jego dzieł, i „futurystycznej" tj. przyszłościowej wobec romantycznego postulatu wyrażania. „Każdy element tej mu-

zyki był rezultatem najgłębiej pojętego eksperymentu twórczego" — stwierdza Szymanowski.

Wniosek stąd jasny. **Sztuka staje się narodową wtedy, jeśli osiąga wśród sztuk innych narodów stopień pełnej doskonałości, najwyższą wśród nich rangę artystyczną.** Dlatego też narody, mające dobrą sztukę, nie mówią o potrzebie „narodowej" literatury czy malarstwa. „Narodowość" rozumie się sama przez się. A więc wnioski: 1) Postulat sztuki narodowej, jako sztuki odrębnej, zamkniętej przed powszechnym oddziaływaniem twórczym — jest wsteczny, 2) oglądanie się w przeszłość, tradycjonalizm artystyczny nie wiedzie do stworzenia sztuki dość odrębnej, „narodowej" nigdy i nigdzie, a zwłaszcza w kraju, w którym tradycja sztuki o wartościach światowych jest znikoma, 3) dokopywanie się do źródeł rodzimości w glebie ludowej sztuki — jest takim samym objawem nietwórczego tradycjonalizmu, tym bardziej jałowego, że pozbawionego bezpośrednich związków z teraźniejszością, 4) nie przecząc istnieniu pewnych odrębności wynikających zarówno z samej struktury języka, jako też z długo działających warunków gospodarczo-historycznych, stwierdzić trzeba, że odrębności te nie są aż tak wyraźne, aby literaturze nadawały piętno wyłączności i bezwzględnej oryginalności.

Jest jedna tylko droga do sztuki istotnie narodowej tj. do sztuki o najwyższym, światowym poziomie. Nie oglądać się wstecz, nie naśladować ani stylów, ani form rzekomo rodzimych, ani nie stylizować na wzór prymitywów ludowych — tworzyć. Nie zamykając się w zaściankowych zagadnieniach i formach — tworzyć na najwyższych, najbardziej postępowych osiągnięciach współczesności. — Spór na temat, czy wielka sztuka z natury swojej jest też ideologicznie postępowa, — zdaje się — rozstrzygnięty pozytywnie — że tak. Że wielki pisarz zawsze jakoś, nieraz często wbrew swoim poglądom politycznym był nosicielem społecznych idei postępowych, nigdy zacofaniec nie był wielkim pisarzem. Jak tworzyć, w którą stronę mieć zwrócone oczy, by nie naśladować lecz brać przy-

kład i pobudkę? Krajem o najbardziej postępowej ideologii społecznej jest Związek Radziecki, na przemiany twórcze tego kraju winny być zwrócone uważne spojrzenia pisarza nie po to, by wzorować się na współczesnej literaturze sowieckiej, lecz, by unikając jej błędów, przejąć się społeczną odpowiedzialnością za słowo pisarskie. To poczucie społecznej doniosłości naszego zawodu w połączeniu z precyzją i świetnością artystyczną literatur zachodnio-europejskich, w szczególności francuskiej — może stworzyć grunt pod wzniesienie nowego odkrywczego piśmiennictwa polskiego. Twórzmy na najnowszych, najbardziej postępowyh prądach historii — z osiągniętych już najdalszych, najbardziej twórczych form rozwijajmy własne, tj. wyższe i przez to narodowe czyli znaczące między narodami, a więc i międzynarodowe.

LEOPOLD STAFF

Z tomu „Martwa pogoda"

MARTWA POGODA

Uporczywie bezchmurna, niezmienna pogoda
Nieludzko obojętna, okrutnie nieczuła,
Beznadziejna jak letarg, jak letejska woda,
Błękitną niemoc nieba martwotą zasnuła.

Śmiercią się rozpostarła w dali niezmierzoność,
Za widnokręgi, które w śnie znieruchomiały,
Jakby Bóg uszedł skrycie w inną nieskończoność
I opustoszył nagle na wieki świat cały.

Życie zabrała jego ucieczka pielgrzymia
I nawet ślad istnienia w przestworzu nie gości.
I rośnie, rośnie pustka dokoła olbrzymia,
Potężna, jak potrzeba jego obecności.

Czyż znużył się nędznemu stworzeniu być Bogiem
I wybrał nad nie niebyt i dolę nicestwa?
Jakżeby mógł dziedzinę swą rzucić odłogiem?
Bóg nigdy nie opuszcza swojego królestwa.

On rozszerza cierpliwie wciąż swoje granice
Aż po cel upragniony, po serce człowieka.
Jeszcze nie dostrzegają go jego źrenice.
Jakaż go żmudna droga, jakże długa czeka.

W TYCH CZASACH...

W tych czasach, kiedy boleść i wstyd duszę pali,
Kiedy świat cały tonie w podłości, jak w bagnie;
Człowiek, który w rozpaczy rzekł: „Spójrz i idź dalej",
Ach, jakże mało już pragnie:

Po złych nocach, szalonych mordem i grabieżą,
Kiedyś ze snu obudzić się w godzinie wschodu
I na słońce i zieleń niewinną i świeżą
Otworzyć drzwi do ogrodu.

NA MYŚL, DO CZEGO DOSZŁA ZBRODNIA

Na myśl, do czego doszła zbrodnia dzika,
Którą rozpętał zbójecki wyrzutek,
Serce martwieje, głucha boleść znika,
Zostaje tylko na dnie duszy smutek.

Lecz jedno słowo to ciche i szare,
Jak zestrzelony drobny ptak nieżywy
Przechodząc grozą dantejską pieczarę
Materią byłoby księgi straszliwej.

CHCESZ ODEJŚĆ

Chcesz odejść napojony goryczą obficie,
Opuścić te manowce dzikie i bezdrożne.
„Ziemia jest pełna brudu, nikczemne jest życie".
Synu cierpienia, rzekłeś słowa nieostrożne.

Niby skarb wykopany w lesie u wykrotu
Wziąłeś dar, do którego nie każdy się garnie.
Dusza to coś, co sprawia zbyt wiele kłopotu,
Nikt ognia w swojej piersi nie nosi bezkarnie.

Boleśnie pochyliłeś na pierś głowę dumną
I opuściłeś ręce w rozpaczy zwątpienia.
Zaprawdę, granitową trzeba być kolumną,
Aby udźwignąć choćby swe własne marzenia.

Potępiasz niską ziemię, śliską krwią i błotem,
Przeklinasz niebo szarym ciążące ołowiem.
Nienawidzisz człowieka. Wiatr mi doniósł o tem,
Słyszałem w nocy cichy płacz. Więcej nie powiem.

Szatan utracił skrzydła. Stał się podłym wężem
I zatruwa istnienie jego złość przeklęta.
Niech bije go i pali pogardy orężem
Sprawiedliwy gniew serca twego i żółć święta.

Lecz niechaj nie ocienia cię ptak czarnopióry,
Gdy choćby tylko w tobie jedno światło świeci,
I kochaj — wśniony w dobroć, ten wybryk natury —
Życie to sercem czystym, jak księżyc poeci.

U KRESU

U kresu mojej podróży skończonej,
Zrzuciwszy z ramion sakwę niepotrzebną,
Legnę na ziemi i oprę, znużony,
Na dłoni głowę mą, jak księżyc srebrną.

I jak wędrowiec na ostatnim szczycie,
W minioną przeszłość zwrócony obliczem,
Obejmę myślą całe moje życie,
Aby zatęsknić za wszystkiem i niczem.

MITOLOGIE.

Nie pamiętam gór. Dawno ich już nie widziałem.
Pewnie znikły i pono wyschły wielkie morza.
W niskich bagnach odbija się zachodnia zorza
I oświeca mrok klęski, co stała się ciałem.

Konają pola, rodzą się tylko cmentarze.
Pioruny zamieniły w gruz świątynie miasta.
Modlitwy szept w przekleństwo rozpaczy urasta,
A w kostnicy pijani śmieją się grabarze.

Zdejmcie wędzidła świętym rumakom. Powrozem
Spętane, nie pogonią, — skubiąc trawę w rowie.
Wyłupiono bogini mądre oczy sowie
I ogień na ołtarzu zgaszono nawozem.

Na drodze ciemne błoto. W niebie szara chmura,
A gościńcem, skazany na żywot tułaczki,
Idzie kulawy anioł, wlokąc ciężkie taczki,
W których leżą wydarte z jego skrzydeł pióra.

ZNISZCZENIE POMNIKA CHOPINA W WARSZAWIE

Wyrażał ciebie nie bronz, lecz powietrze
Drżące dźwiękami, co od marzeń letsze
Plotą się z tobą, jak aniołów ręce
W niebiańskich chórów harmonijne wieńce.
Choć cię wolnego już, jak nas nie gniecie
Bezmiar podłości w ukochanym świecie,
Tyś znał na ducha swego wysokości
Stokrotnie sroższą męczarnię boskości
I skromny spiż twój taka kryła chwała,
Że godnie tykać go jedynie śmiała
Muzyką blasków swych Różanopalca.
Aż się targnęła dzika dłoń zuchwalca
Na twój majestat. Zbir wściekłością ślepy
Rozbił twą niemą postać na czerepy.
Rozkaz przedśmiertny obarczył mordercę:
— Jeżeli umrę, przebijcie mi serce,
Aby żywego mnie nie pogrzebano, —
Rzekłeś. I jesteś dzisiaj jedną raną.
Ostatnia wola twa się dokonała,
Bo twoim sercem jest twa ziemia cała,
Którą przebito wskroś. I jesteś żywy,
Niepogrzebany, w otchłani burzliwej
Chmur, gromów grając — o bogom podobny! —
Nieszczęściu świata Wielki Marsz Żałobny.

NAD ZIEMIĄ NOC

Nad ziemią noc i wielka cisza,
Bliska, a sercu tak daleka!
W ciemności budzi się strach ślepy
I wyobraźnia, wróg człowieka.

Bogi, demony i centaury
Czynią straszliwe dzieło kata.
Patrzę ze zgrozą i rozpaczą
W przerażający cud wszechświata.

Pod nieskończonych nieb otchłanią
Ziemia w zniszczeniu i rozbiciu.
Nie bluźni tylko ten co widział
Światło niebieskie raz w swym życiu.

O miłosierdzie! Błyskawico!
Rozdzierający noc promieniu!
Przyzywać ciebie nie przestanę,
Póki nie zbudzisz łez w kamieniu,

Choćbym w ciemności wieczność całą,
Bez snu, nadziei i obrońcy,
Tak czekać miał, zwrócony twarzą
Ku gwieździe nigdy nie wschodzącej.

MARZYCIELE

I znowy nadszedł wiek żelaza,
Wnuk nieodrodny troglodyty,
Węglem z pieczęcią rybopłaza
Karmiąc w jaskiniach głód niesyty.

Teolog rzezi i pożogi
Ziemie i ludy rąbie, gromi.
Świat w szpony szkodnik wziął dwunogi,
Mistrz militarnej anatomii.

Ledwo gdzie popiół zgliszcz ostygnie,
Nowy lont w oczach mu się pali,
W dzikiej gorączce i malignie
Mózg roi uczty z krwi i stali.

Jeśli utonąć już w obłędzie,
Ocal swe, duszo, człowieczeństwo,
I w rozpaczonych skrzydeł pędzie
Wzbij się w najwyższe gwiazd szaleństwo.

ADAM KRZYŻANOWSKI

Wachlarz myśli pacyfistycznej *)

Pacyfiści nie doradzali powszechnego odosobnienia się państw jednych od drugich. — Pacyfizm federalistyczny i imperialistyczny — Pacyfizm rewolucjonistów — Rozwój wolnego handlu, demokracji, techniki ziści pacyfizm — Plato i Aristoteles — Kosmopolityzm stoików — Pokój boży — Średniowieczny uniwersalizm kościelny i świecki — Monarchia Dantego — Łączenie wiary w postęp i pacyfizmu — Crucé pierwszy pacyfista wolnohandlowiec — Pacyfizm demokratyczny Kanta — Techniczny i imperialistyczny Wellsa — Wilson głosi niedopuszczalność zaborów — Pakt Kelloga, potępiający wojny zaczepne — Międzynarodowe prawo amerykańskie — Karta Atlantyku.

Twórcy systemów przykazań moralnych i politycznych wystawiali różne ideały doskonałości. Byli tacy, którzy zachwalali bezwzględną samowystarczalność jednostek, wyrzekających się dobrodziejstw współżycia z bliźnimi, byleby uniknąć jego szkopułów. Zachodzi pytanie, czy nie byłaby zalecenia godna zupełna samowystarczalność ludności poszczególnych państw, których władze zakazywałyby swym poddanym wszelkiej styczności z mieszkańcami państw innych? Ustawodawstwo tej treści, ściśle przestrzegane, ograniczyłoby znacznie pole konfliktów międzynarodowych; powszechnie stosowane byłoby równoznaczne z całkowitym zaprzestaniem wojen. Kontemplacyjni Azjaci, skłonni do bierności i poprzestawania na małym, stosowali tę politykę w pewnych okresach swych dziejów. Kapłani, władcy górzystego Tybetu, poprzez długie wieki nikomu nie pozwalali na wjazd do swej ojczyzny. Nie wolno było wyjeżdżać poza granice „dachu świata". Handel międzynarodowy był zakazany. Oblana zewsząd falami oceanu, Japonia zamknęła hermetycznie swe granice w XVII w.

*) Ustęp z większej całości, ukończonej przed dwoma laty.

na przeciąg dwóch stuleci. Nasze pospolite wyrażenie: „odgrodzić się murem chińskim“, używane także przez tych, którzy nie wiedzą o wystawieniu muru na długiej granicy mongolskiej przez cesarzy chińskich, jest osadem językowym dążności do odosobnienia się. Przestrzeganie tej polityki ze strony poszczególnych państw azjatyckich nie uchroniło ich od zatargów wojennych z państwami anglosaskimi, których rządy po części pod naciskiem przedsiębiorców zainteresowanych gospodarczo w rozszerzaniu kręgu obrotów międzynarodowych wymusiły orężnie w zeszłym stuleciu nawiązanie stosunków. Urzeczywistniły wolny handel najpierw w swoich granicach, a później narzucały ten ustrój w stosunkach międzynarodowych państwom, hołdującym samowystarczalności. Idea powszechnego przyjęcia zasady odosobnienia się państw jednych od drugich celem uniknięcia wojen żadnego pacyfisty nie znęciła. Plato, który tak nisko cenił handel międzynarodowy, iż dostęp do morza uważał za szkodliwy, nie zalecał zakazu wszelkiego handlu międzynarodowego.

Wyznawcy dobrodziejstw długotrwałego pokoju wyobrażają sobie dwojako możliwość osiągnięcia celu, który im przyświeca.

Pacyfiści federalistyczni pragną ziścić swój ideał metodami pokojowymi i demokratycznymi. Uważają państwa większe i mniejsze za równouprawnione. Chcą doprowadzić do ich dobrowolnego podporządkowania się przez nie utworzonemu umownemu związkowi państw, rozstrzygającemu pokojowo ich spory (Liga Narodów). Pacyfiści imperialistyczni nie dowierzają rozumowi, umiarkowaniu i dobrej woli władców państw poszczególnych. Przekonani o przeważającym znaczeniu celu, który sobie wytknęli, gotowi są usprawiedliwiać zaborczość, o ile ułatwia zapobieżenie wojnom na przyszłość. Państwo silne podbija kolejno państwa słabsze, aż wreszcie pokój zapanuje na świecie, gdy państwo silne zagarnie wszystkie państwa, utrzymujące ze sobą stosunki, odcięte od innych przeszkodami, w danym stanie techniki komunikacyjnej, wyodrębniającymi pewne obszary globu ziemskiego (pax romana). Udoskonalenie środków przewozu i porozumiewania się zmusza pacyfistów tego pokroju do wystawienia postulatu podboju przez jedno państwo wszystkich innych państw kuli ziemskiej. Przebieg wydarzeń nie potoczy się torem tak skrajnych pomysłów. Liczący się z rzeczywistością pacyfizm o zabarwieniu imperialistycznym nie dąży do zupełnego unicestwienia samoistności państw poszczególnych. Zadawalnia się protektoratem w stosunku do państw słabszych, wykonywanym przez jedno

lub dwa państwa, rozporządzające znaczną przewagą moralną, gospodarczą i wojskową. Stosunek państw do siebie, o którym mowa, niekoniecznie musi być na piśmie ustalony. Może polegać na przewadze dwóch państw, ściśle ze sobą współpracujących, niezwiązanych umową pisemną, faktycznie narzucających pokój światu (Anglosasi doby bieżącej jako primus inter pares) w łączności z trzecim partnerem, także wyróżniającym się swą potęgą spośród grona państw innych.

Tego rodzaju rozwiązanie sprawy nie przeciwstawia się zasadniczo pacyfizmowi umownemu w formie związkowej. Różnica tkwi w powstawaniu obu form unicestwienia wojen. Podobieństwo pochodzi stąd, że także związek narodów, zdolny do skutecznego ziszczenia swych celów pokojowych, nie może być pomyślany i zbudowny inaczej jeno jako organizacja nadrzędna, ograniczająca suwerenność swych członków, wtrącająca się w ich sprawy wewnętrzne wbrew dotychczasowym zasadom prawa międzynarodowego, opartego na założeniu suwerenności. Taki związek państw będzie narzucał państwom przynależnym do związku ograniczenie zbrojeń, będzie dążył do sprawdzania za pośrednictwem swych organów, czy postanowienia związku w tej mierze są ściśle wykonywane, będzie poddawał spory między członkami orzecznictwu sądu rozjemczego i w razie oporu będzie wymuszał wykonanie orzeczeń. Oba pacyfizmy zawierają w sobie ograniczenie suwerenności. W obu wypadkach można przyjąć zasadę, że dopuszczalne są tylko ograniczenia codopiero wyszczególnione z wykluczeniem dalej sięgających. Z biegiem czasu związek państw może rozwijać się w duchu rozszerzania swego zakresu działania, przeradzając się tym sposobem w państwo związkowe. Organizacja, powstała z narzucenia pierwszeństwa jednego z państw lub grupy państw, może przeżywać proces odwrotny upadabniania się do związku państw.

Sprzeczność środków i celów działania jest wspólna pacyfizmowi imperialistów i anarchicznemu rewolucjonistów. Jedni i drudzy zalecają stosowanie przemocy, jedni wojny międzynarodowe, drudzy domowe, ażeby ziścić tym sposobem pokojowe współżycie ludzi, wyłączające posługiwanie się nadal tą metodą. Pierwsi dążą do zjednoczenia ludzkości pod władzą państwa nadrzędnego. Bakunin i Marks dawali wyraz nadziei, że rewolucje doprowadzą do zniesienia wszelkiej władzy, wszystkich państw, przewidywali, że wówczas natura ludzka się zmieni i pokój zapanuje na świecie.

Różnie uzasadniano pacyfizm. Wszyscy jego zwolennicy powoływali się w pierwszym rzędzie na, ich zdaniem, miaro-

dajne wartości moralne pokojowego załatwiania sporów między ludźmi. Jedni zadowalali się tym argumentem, drudzy podkreślali nadto korzyści gospodarcze pokojowości. Poczęto dowodzić, że wzbogacanie się jest uwarunkowane zniesieniem ograniczeń wymiany towarów i kapitałów oraz swobodnego przesiedlania się ludzi nie tylko w obrębie poszczególnych państw, ale także w stosunkach międzynarodowych. Samostarczalność gospodarcza państw, pożyteczna jedynie pod kątem widzenia przygotowywania i prowadzenia wojny, jest szkodliwa w okresach przewagi pacyfizmu. Zwolennicy międzynarodowego wolnego handlu podkreślali współzależność tego zjawiska i pokojowego współżycia państw ze sobą. Ich zdaniem wojny są klęską, bo kurczą międzynarodowe obroty gospodarcze, których rozrostowi pokój sprzyja. Zniesienie ceł i innych hamulców wolności gospodarowania, uprzytamniając ludziom zyski stąd wynikające, doprowadzi do utworzenia związku państw, zapobiegającego wojnom. Przedstawiciele pacyfizmu wolnohandlowego, brali także pod uwagę odwrotną kolejność wypadków. Należy powołać do życia związek państw, a wówczas ograniczenia wolności gospodarczej zostaną zniesione, bo staną się zbędne.

Inni wyznawcy wyższości moralnej pokojowego załatwiania sporów między ludźmi zwrócili szczególną uwagę na zagadnienie formy rządu. Powtarzające się ciągle wojny są dziełem monarchów. Powszechne zastąpienie monarchów prezydentami republik zapewni ludzkości długotrwały pokój. Inne przeciwstawienie formy rządów, bardziej trafiające w sedno rzeczy, stało się podstawą współczesnego pacyfizmu. Demokracje żyją pokojowo, autokraci utrzymują się przy władzy wszczynaniem wojen. Zdaniem pacyfistów demokratycznych powszechne przyjęcie ustroju demokratycznego doprowadzi do poniechania wojen. Obecnie zwolennicy tego programu zalecają odwrotną kolejność postępowania. Uważają za pewniejszy i szybszy sposób ziszczenia obu ideałów stworzenie związku państw, ewentualnie narzucenie pokoju przez najsilniejsze ugrupowanie polityczne, czego niezawodnym skutkiem stanie się upowszechnienie demokracji.

Rozwój techniki ułatwi pójście tą drogą. Przekonywującymi rozumowaniami można podeprzeć tezę, wedle której rozwój techniki, zwłaszcza komunikacyjnej, stanowi najbardziej ważki współczynnik w przebiegu dziejów. Ten pogląd stoi u kolebki pacyfizmu technicznego. Wyrażano przypuszczenie, że wynalazki i udoskonalenia broni uczynią wojnę tak dalece niszczącą nawet dla zwycięzcy, iż przerażona ludzkość poniecha

wojen. Wielu upatrywało w rozwoju lotnictwa narzędzie ułatwienia jednemu państwu narzucenia swej woli zachowania pokoju całej kuli ziemskiej.

Zaczęło się od zalecania imperialistycznej monarchii uniwersalnej w perspektywie kontynentalnej. Znacznie później przyszła kolej na pacyfizm federacyjny i wolnohandlowy. Dziś żyjemy w okresie wszechświatowego pacyfizmu demokratycznego i technicznego.

Ani Plato, ani jego uczeń Aristoteles, choć pozostawili głośne po dziś dzień systemy etyczne i polityczne, nie zajęli stanowiska wobec zagadnienia wojny i pokoju. Obaj filozofowie zgodnie z ówczesną opinią publiczną, nie dostrzegali istnienia problemu. Widoczne jest z ich wywodów, że uważali wojny za konieczny wynik chciwości ludzkiej. Dalecy byli od przypisywania wojnom dodatniego wpływu moralnego. Wyrażali poglądy, świadczące niezbicie o nastawieniu pokojowym, o ujemnej ocenie nadmiernych podbojów. Potępiali wszelką megalomanię, także polityczną. Ich zdaniem tylko państwo o niewielkim obszarze, o umiarkowanym zaludnieniu może zadosyć uczynić ideałowi państwa doskonałego, którego obraz kreślili. Zalecenia wojowniczości i znacznego przyrostu ludności są z łatwo zrozumiałych powodów nieodłączne. Dowodem pokojowości obu myślicieli jest okoliczność, że znaczny przyrost ludności nie stanowi części wskazań politycznych. Aristoteles rozpatruje niebezpieczeństwa nadmiaru ludności. Pisze w swym systemie etyki, że pragnie, o ile możności dawać wyraz zapatrywaniom i ustalać wskazania zgodne z sądem ogółu. Uczynił zadosyć temu zamierzeniu, rozważając znaczenie wojen i łącząc je z zajęciem stanowiska w sprawie niewoli. Jedno i drugie zjawisko mają gospodarczą rację bytu. Aristoteles uważa wojnę za „polowanie na ludzi", których zwycięzca bierze w niewolę celem wyzyskiwania ich siły roboczej. Wojna w tym oświetleniu nabiera znamion korzystnego zarobkowania. Aristoteles broni racji bytu niewoli, ale ogranicza swą tezę, uważając za godziwe branie do niewoli tylko barbarzyńców, ludzi nie przynależnych do plemion greckich. Potępia wojny między Grekami. Plato także uznawał wojny między Grekami za zdrożne. Obaj poczytywali za dopuszczalne wojny Greków z barbarzyńcami. Żaden z nich nie zastanawiał się nad godziwością wojen między barbarzyńcami.

Aleksander Wielki, uczeń Aristotelesa, zapewne skorzystał wiele z nauk filozoficznych mistrza, atoli stosował politykę przeciwną jego zaleceniom. Może ten przebieg wypadków miał na myśli starzejący się mistrz, świadek poczynań ucznia,

stwierdzając melancholijnie w zakończeniu dzieła o etyce, że ludzie rzadko stosują dobrę rady. Aleksander stworzył swymi podbojami państwo olbrzymie, obejmując niemal cały obszar świata, znanego Grekom i wprowadził w życie równouprawnienie wszystkich narodowości, zamieszkujących jego państwo.

Stoicy przeżywali ciągłe wojny, które wówczas państewka greckie wiodły między sobą. Byli widzami upadku moralnego i gospodarczego tych społeczeństw. Podbój macedoński budził nadzieję, że położy kres staczaniu się w przepaść. Wielu ludzi w Grecji doszło do przekonania, że stworzenie wielkiego państwa stanie się narzędziem pacyfikacji świata i że przeważy tym sposobem straty, wynikające z ograniczenia niezawisłości ich państewek ojczystych, które okazały się niezdolne do sprostania swym zadaniom. Stoicy wynaleźli nazwę, pojęcie i ideał kosmopolityzmu. Uczyli, że tylko państwo, którego obywatelami byliby wszyscy mieszkańcy globu ziemskiego (kosmosu) może skutecznie zabezpieczyć ludziom ich prawa naturalne do wolności i równości.

Na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia ery chrześcijańskiej Kościół katolicki rozpowszechniał pogląd o niegodziwości wojen między chrześcijanami. Coprawda łączył tę propagandę z dążeniem zjednoczenia chrześcijan do walki z heretykami i z niewiernymi. Wyprawy krzyżowe były znamieniem czasu. Kościół wprzągł rytuał w służbę ideałów pacyfistycznych może pod wpływem przeświadczenia, że przepisy rytualne są silniejsze, niż moralne, nie związane z rytuałem. Żydzi uważali wojowanie w soboty za przestępstwo. Historyk żydowski oblężenia Jerozolimy przypisuje zwycięstwo Tytusa po części temu, że ortodoksi nie bronili murów miasta w sobotę. Chrześcijanie przejęli żydowski przepis święcenia jednego dnia w tygodniu. „Rozejm boży“ (treuga Dei) Kościoła zawierał zakaz wojowania w niedzielę i w pewnych określonych okresach roku. Kościół godził się na wojowania rycerstwa między sobą, ale sprzeciwiał się wojnie totalnej, obejmującej wszystkie warstwy ludności. Głosząc „pokój boży“ (pax Dei) zabraniał stronom wojującym godzić w osoby i w mienie duchowieństwa, nie biorącego udziału w wojnie, pielgrzymów, kupców, kobiety, wieśniaków. Święty Franciszek z Asyżu zabraniał tercjarzom służyć w wojsku.

Wszyscy przedstawiciele średniowiecznej myśli politycznej byli uniwersalistami, nawiązującymi do tradycji państwa rzymskiego, przeświadczonymi o wyższości systemu skupiającego całą ludzkość w jeden organizm państwowy, zabezpieczający pokój, wykluczający wojny. Papieże u szczytu swej potęgi głosili

ideał jednego pasterza i jednej owczarni jako złączenie wyznaniowe, a zarazem polityczne wszystkich ludzi pod ich przewodem. Stali się rzecznikami podporządkowania królów cesarzowi, dziedzicowi władzy rzymskich cezarów, oraz podporządkowania cesarza papieżowi. Wywodzili prawomocność władzy cesarskiej z ukoronowania przez nich dokonywanego i przyznawali sobie prawo usuwania cesarzy w formie ekskomuniki. Przeciwnicy papiestwa byli także obrońcami uniwersalizmu ale świeckiego. Pragnęli ograniczyć papieży do rządzenia kościołem, wyposażyć cesarza w najwyższą władzę polityczną nad światem. Każdą z tych dwóch władz miała być niezależna w swym zakresie działania. Byli zwolennikami uniwersalistycznego dualizmu.

W r. 9 przed Chr. w Rzymie na polu Marsa, boga wojny, kapłani uroczyście poświęcili ślubowany przez senat ołtarz bogini pokoju (ara pacis Augustae), sprowadzonej na ziemię przez cesarza Augusta. Cesarze rzymscy, później Karol Wielki i jego następcy, którzy przyjęli tytuł cesarzy świętego państwa rzymskiego, budowali prawomocność swego stanowiska i swych ambicji na założeniu, że wola Opatrzności powołała ich do rządów nad całym światem celem zapewnienia ludzkości pokoju. Dante czuł się heroldem ich posłannictwa dziejowego. Wygnany z ojczystej Florencji ubolewa nad nędzą zrodzoną z ciągłych wojen między ówczesnymi państewkami włoskimi, tak podobnymi organizacją, rozmiarami i kłótliwością do greckich, szuka pociechy i ratunku w kreśleniu ideału monarchii uniwersalnej, uważa za swój obowiązek zachęcanie ludzi do jego urzeczywistnienia.

„Pomyśl, że nie ma, ktoby rządził ziemią:
Dlatego z drogi zbacza rodzaj ludzki“

czytamy w Boskiej Komedii [1]), w wierszowanym odtworzeniu idei politycznych wyłożonych łacińską prozą w rozprawie o monarchii uniwersalnej („De Monarchia“), napisanej na początku XIII-go w. Dante uważa ziszczenie wolności za główny cel państwa i sądzi, że monarchia uniwersalna jest najpewniejszym sposobem jego urzeczywistnienia. Cesarz winien zabezpieczać pokój i usuwać królów, zbytnio ograniczających wolność swych poddanych. (De Mon. I, 12).

Pacyfizm dopiero w XVII-ym w. poczyna uchodzić za doktrynę zdolną do urzeczywistnienia. Propaganda pacyfizmu występuje łącznie z szerzeniem wiary w postęp ludzkości, także moralny. Przedtem panowało niepodzielnie przekonanie o nie-

---

[1]) Parad. 27, (40—41) tum. Stanisławskiego, Poznań 1870.

uchronnej kolejności wzlotów i pogrążania się w przepaści, pochłaniającej zdobycze duchowe i materialne z czasów świetności. Wojny, narzędzie upadku, uważano za zło nieuleczalne, zrodzone z niepoprawnej, egoistycznej natury ludzkiej. Równolegle z udoskonaleniem nauk matematyczno-przyrodniczych oraz techniki i jej gospodarczego zastosowania rozwijają się i łączą przeświadczenia o wrodzonej dobroci natury ludzkiej, o szkodliwości wojen, o pomyślnych widokach ich długotrwałego, a może „wiecznego" poniechania, o nastaniu w tym wypadku stanu doskonałości. W w. XIX myśliciele rozpisujący się o korzyściach walki o byt odrzucali ideały pacyfizmu i postępu.

Klaczko zaliczył Dantego do Epimeteuszów, wieszczących ideały przeszłości [1]). Dante udzielał swym piórem poparcia sprawie cesarskiej przeciwko Francji Filipa Pięknego. Nie był Prometeuszem, dostrzegającym i przyśpieszającym narodziny państw narodowych, choć „Boską komedię" napisał w języku „ludowym" w języku włoskim, przyczyniając się walnie tym sposobem do powstania narodu włoskiego. Francja przeciwstawiła się zwycięsko pretensjom cesarzy niemieckich do przodownictwa w Europie. We Francji w w. XVII-ym ideał pacyfistyczny zrzucił powłokę imperialistyczną, przybrał postać federacyjną. Równocześnie w łączności z nim wylągł się w pomysłowej głowie Francuza ideał pacyfizmu wolno-handlowego. Ludzkość podzielała przez długie wieki pogląd Aristotelesa, stwierdzającego rentowność wojen, wobec czego pacyfizm uchodził za doktrynę utopistyczną. Sądzono, że nie warto sobie łamać głowy nad tym zagadnieniem. To rozumowanie zostało podważone z chwilą pojawienia się teorii, wedle której wojna w czasach nowożytnych silnej rozbudowy handlu i przemysłu stała się anachronizmem, korzyścią gospodarczą szczupłego grona warstw rządzących, wyrastającą ze szkody ogółu [2]).

Plutarch przekazał nam opowieść o Cyneasie, dyplomacie czynnym na dworze Pyrrhusa, usposobionym pokojowo, starającym się odwieść swego króla od wszczynania wojen. Emeryk Crucé, czując w sobie powołanie i zobowiązanie do wystąpienia w roli nowoczesnego Cyneasa, wydał książkę pod tym tytułem

---

[1]) „Wieczory florenckie" tłum. z franc. Tarnowski, II wyd. Warszawa 1884, str. 297.

[2]) Przed w. XVII nie łączono apostolstwa pokoju z propagandą wolnohandlową. Por. Estreicher St.: „Pacyfizm w Polsce XVI stulecia" Poznań 1930, str. 24 (odbitka z „Ruchu prawniczego i ekonomicznego"), oraz Kot: „Ideologia polityczna i społeczna Braci Polskich, zwanych Arianami", Warszawa 1932 str. 160.

w Paryżu w r. 1623. Jej pierwsze zdanie zawiera jasne i stanowcze odgrodzenie się od tych, którzy drwią z wszelkiej uczciwości i liczą tylko na przemoc. Cruce uważa wojny za zjawisko ujemne moralnie i, chyba pierwszy, za ujemne ekonomicznie. Jego zdaniem wolność wymiany wzbogaca bardziej państwa, niż wojna. Crucé zwraca się do monarchów z wezwaniem zawarcia układu, przekazującego spory międzynarodowe rozstrzygnięciu sądów polubownych, wyrzekającego się ich orężnego dochodzenia oraz z wezwaniem zaprowadzenia wolności wymiany pod opiekuńczymi skrzydłami pokoju [1]).

Książka Crucé'go poszła w zapomnienie. Większego rozgłosu doczekało się dzieło podobnej treści, ogłoszone w blisko sto lat później, kilkakrotnie przedrukowane, napisane przez płodnego pisarza l'abbé Castel Saint-Pierre, którego tytuł również wieści łączność pokoju z wolnym handlem: „Projet de traité pour rendre la paix perpétuelle entre les souverains chrétiens, pour maintenir toujours le comerce libre entre les nations, pour maintenir beaucoup d'avantages aux maisons sur le trône" [2]).

Literatura pacyfistyczna mnoży się w chwili kończenia układami pokojowymi okresu długich, kosztownych, wyczerpujących wojen. Wówczas ludzie gorliwie przejmują się myślą i chęcią utrwalenia pokoju tak znacznymi ofiarami okupionego. W r. 1713, w Utrechcie wielkie mocarstwa europejskie podpisały umowę, kładącą kres hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej. Manifestacyjnie w tymże samym roku, w Utrechcie, w mieście podpisania pokoju Saint-Pierre ogłosił swoje dwutomowe dzieło, później uzupełniane przezeń licznymi publikacjami i odezwami do monarchów, panujących w Europie.

Crucé proponował utworzenie związku wszystkich państw. Ksiądz Saint-Pierre, bardziej ekskluzywny, propagował związek państw chrześcijańskich. Dbał usilnie o wykazanie korzyści pokoju, ażeby zyskać zwolenników. Argumentował nie tylko pomyślnymi gospodarczymi perspektywami ustroju wolnohandlowego. Zwracał się do monarchów w ich własnym dobrze zrozumianym interesie, wykazując, że utrwalenie pacy-

---

[1]) „Le Nouveau Cynée ou discours d'état représentant les occasions et moyens d'établir une paix génerale et la liberté du comerce par tout le Monde". — „Aux Monarques et Princes Souverains de ce temps". Balch wydał ponownie tekst francuski wraz z tłumaczeniem angielskim i poprzedził książkę przedmową, Filadelfia 1909 r.

[2]) Tłumaczenie niemieckie wraz z przedmową wydawcy, wyszło z druku w wydawnictwie „Klassiker der Politik" pod tytułem: „Der Traktat zum ewigen Frieden" Berlin 1922, str. 196.

fizmu jest utrwaleniem istniejącego stanu rzeczy, zabezpieczeniem ciągłości ustroju monarchicznego ku pożytkowi panujących obecnie i ich potomków. Polakom zwracał uwagę, że są bardziej, niż inne narody zainteresowani w utrwaleniu pokoju, bo zaborczość sąsiadów zagraża im w szczególnie wysokiej mierze.

Fryderyk Wielki i Voltaire niemiłosiernie kpili z pokojowych zabiegów Saint-Pierre'a. Sympatycy pacyfizmu wystąpili z krytyką metod osiągnięcia celu, które zalecał. Leszczyński i Saint-Simon ogłosili podobnie jak Saint-Pierre swoje programy utrwalenia pokoju w chwili podpisywania układów o zaniechanie kroków wojennych. Leszczyński nawiązuje do układu w Aix-la-Chapelle z r. 1748, stanowiącego zakończenie austriackiej wojny sukcesyjnej [1]), Saint-Simon do końca wojen napoleońskich [2]). Saint-Pierre, zwolennik pacyfizmu federacyjnego, zadowalał się utworzeniem związku państw, którego autorytet moralny wydawał mu się wystarczającym zabezpieczeniem skuteczności jego działań pokojowych. Leszczyński i Saint-Simon przemawiali także za stworzeniem związku państw. Atoli podkreślali, że moc obowiązująca orzeczeń rozjemczych w sporach między członkami związku będzie zabezpieczona tylko wtedy, jeżeli państwa, rozporządzające przeważną siłą użyczą lidze państw swego autorytetu moralnego i w razie potrzeby materialnego. Pocyfizm o zabarwieniu imperialistycznym wydawał im się łatwiejszym do urzeczywistnienia. Pokładali swe nadzieje w woli utrzymania pokoju mocarstw potężnych. Obaj doradzali przymierze francusko-angielskie, stawiające sobie za cel przeciwdziałanie wybuchowi wojny między państwami europejskimi. Ich widnokrąg był kontynentalny.

Saint-Pierre pisał nieudolnie, rozwlekle, powtarzał się, nie umiał dobitnie i jasno uwydatnić swej myśli przewodniej. Przyjaciele jego zwrócili się do wielkiego stylisty, wroga wojen i rewolucji, J. J. Rousseau'a o streszczenie przeszło dwudziestu tomów Saint-Pierre'a. Rousseau ogłosił ich streszczenie oraz osobno osąd pomysłów autora. Uznał pacyfizm federacyjny za niestety sprzeczny z właściwościami natury ludzkiej. Argu-

---

[1]) Mémorial du Roi Stanisław Leszczyński: „De l'affermissement de la paix générale edité par Życki. Préface de M. Auguste Zaleski Ministre des Affaires Etrangeres". Varsovie 1932, st. 38.

[2]) „De la Réorganisation de la Société Europeenne ou de la nécessité et des moyens de rassembler les peuples de l'Europe en un seul corps politique, en conservant a chacun son indépendance nationale" Paris 1914. Praca kilkakrotnie przedrukowana.

ment ekonomiczny uważał za słabą rękojmię pokoju. Pokój jest niewątpliwie gospodarczo korzystny, ale przecie ludziom nie chodzi o to, żeby się wzbogacić na wojnie. Powodują się zazdrością. Chcą zubożyć wroga bardziej, niż siebie. Urzeczywistnić pokój możnaby chyba drogą podboju państw słabszych przez wielkie. To lekarstwo jest równie niebezpieczne, jak choroba. Rousseau pojmował wojnę jako stosunek jednych państw do drugich, wojnę totalną uznawał za zakazaną przez prawo międzynarodowe.

Światopogląd liberalny zrodził w w. XVII-ym obok dzieła Crucégo doktrynę nowoczesnego prawa międzynarodowego, natchnioną chęcią ograniczenia wojny przez ujęcie jej w karby przepisów prawnych i ochrony tym sposobem praw jednostki wobec państwa, nawet nieprzyjacielskiego w czasie wojennym. Dopiero wówczas pojawia się ściślejsze sformułowanie i obszerniejsze opracowanie zasady, że wojnę wiodą państwa, że prawo międzynarodowe zakazuje wojny między społeczeństwami. Jego postanowienia w tym względzie były w dość znacznym stopniu przestrzegane w zeszłym stuleciu, a nawet jeszcze w toku działań wojennych, przypadających na lata wielkiej wojny, wszczętej w roku 1914.

Kodeks praw i zwyczajów wojny lądowej, ratyfikowany w wyniku obrad konferencji haskiej z r. 1907 przez jej wszystkich uczestników, nie wyłączając państw anglosaskich, jest w znacznej mierze wyrazem chęci ograniczenia wojny do zatargu między państwami, nie przeradzającego się w wojnę totalną całych społeczeństw. Postanowienia konferencji haskiej zobowiązują władze państw wojujących do ochrony życia, godności, praw rodzinnych i religijnych oraz mienia osób prywatnych, niemniej do poszanowania własności instytucji prywatnych. Własność prywatna nie podlega konfiskacie (art. 46 i 56). Kodyfikacja podobna, obejmująca wojnę morską nie została ratyfikowana. Anglicy zawsze stali na stanowisku dopuszczalności konfiskaty własności prywatnej na morzu w toku wykonywania blokady. Doktryna wolności mórz także w czasie wojny nie cieszyła się uznaniem w kraju, rozporządzającym przewagą na morzu, zdolnym skutecznie wykonać blokadę. Anglicy uznawali morze za wolne w latach pokoju, jego zamknięcie podczas wojny za dopuszczalne (mare liberum, mare clausum). Prawnicy anglosascy skorzy byli do potępiania każdej wojny zaczepnej, ale ociągali się z głoszeniem tezy, ograniczającej wojnę do zatargu orężnego między państwami.

Podczas rewolucji francuskiej wypowiadano nieraz zapatrywanie, że przyjęcie zasad demokratycznych przez wszystkie

państwa stanowiłoby najpewniejszy sposób zabezpieczenia pokoju. Kant, zwolennik i obrońca haseł rewolucji francuskiej, wystąpił pod koniec długiego życia, a więc nie podejrzany o powodowanie się młodzieńczym entuzjazmem, w roku 1795 z rozprawą o wiecznym pokoju („Zum ewigen Frieden"), oświadczając się za ugruntowaniem pokoju na ogólnym przejściu do republikanizmu. Jego republikanizm był właściwie demokracją, gdyż uważa podział władz za istotę ustroju republikańskiego. Nie nazywał go demokracją, albowiem rozumiał przez demokrację ludowładztwo, które odrzucał. Zalecał demo-liberalizm i federacyjny pacyfizm. Crucé i Saint-Pierre propagowali pacyfizm jako narzędzie ziszczenia wolnego handlu. Stanowisko Kanta jest bardziej pokrewne ideałowi Dantego, gdyż silniej uwydatniał on moralną istotę pacyfizmu, łącząc go z programem demo-liberalnym. Dante usprawiedliwiał monarchię uniwersalną nałożeniem na nią obowiązku urzeczywistnienia liberalizmu w państwach poszczególnych. Kant pragnął autonomicznego ziszczenia demo-liberalizmu. Wyraźnie zastrzegał, że państwu żadnemu nie będzie wolno wtrącać się w sprawy wewnętrzne państw innych. Pozostał wierny zasadzie federacyjnej.

Zeszłe stulecie i początek bieżącego były widownią powstawania i rozkwitu, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, licznych towarzystw zakładanych przez ludzi dobrej woli, stawiających sobie za cel szerzenie idei pokoju słowem i piórem. Nobel i Carnegie fundowali nagrody pokoju, wieńczące działalność ludzi wybitnych w służbie pokojowego współżycia bliźnich, budowali gmachy na pomieszczenie instytucji pacyfistycznych.

Sławny pisarz angielski, H. G. Wells ogłosił w roku 1901 książkę „Anticipations", rozważającą przebieg przyszłych wypadków w rozpoczynającym się dwudziestym stuleciu, z wyraźnym zastrzeżeniem, że nie zaleca, jeno przepowiada na podstawie zauważonych tendencji rozwojowych. Rozdział pierwszy jest poświęcony postępom techniki komunikacyjnej, jego zdaniem stanowiącym najsilniejszy współczynnik przyszłości. Świat się kurczy. Pokonanie przestrzeni oddzielających ludzi od siebie tanieje, bo wymaga coraz mniej pracy i czasu. Odległości maleją. Rosną możliwości stykania się ludzi z sobą. Powstanie państwo wszechświatowe albo metodą federacyjną albo zrodzone z rozgwaru wojen pod przewodem Anglosasów zjednoczonyh celem wspólnego przeciwstawienia się rozbudowie niemieckiej floty wojennej i popieranych przez Francję. Do wojny niestety zapewne dojdzie. Oburzające jest zaniedby-

wanie przez duchowo leniwych angielskich oficerów fachowego wykształcenia wojskowego, tak wysoko postawionego w Niemczech. Nie chce im się wziąć do ręki poważnej książki o sztuce wojennej; wydrukowane w r. 1900! Wells później wracał kilkakrotnie do publicznego rozważania zagadnień przyszłej wojny powietrznej i międzynarodowej organizacji przyszłego pokoju światowego. Ostatnio wydał książkę na ten drugi temat już w czasie wojny.

Pacyfizm demokratyczny (Wilsona „peace of democracies") stał się w bieżącym stuleciu oficjalną doktryną państw amerykańskich ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Woodrow Wilson, prezydent Stanów, w r. 1913 w mowie, wygłoszonej w Mobile, uznał wszelkie zabory terytorialne, uzyskane wojną, choćby sprawiedliwie podjętą, za niegodziwe.

Poprzednie podobne zapowiedzi naczelników państw okazywały się w zetknięciu z rzeczywistością „ślubami panieńskimi" Fredry. Wilson był pierwszym, który słowa dotrzymał. Wiódł i wygrał wojny z Meksykiem i Niemcami. Nie powiększył obszaru Stanów tą metodą ani o piędź ziemi. Określił jako cel podjęcia wojny z Niemcami stworzenie warunków trwałego pokoju, dzięki któremu zaistniałoby bezpieczeństwo na świecie, umożliwiające powszechne przejście do ustroju demokratycznego („a war to make the world safe for democracy").

Z chwilą ukończenia wojny pacyfiści wszczęli w Stanach Zjednoczonych agitację za „wyłączeniem wojny z pod prawa" (outlawry of war). Powzięli zamiar obalenia dotychczasowej doktryny prawa międzynarodowego, uznającej wojnę za jeden z prawnych środków rozstrzygania sporów międzynarodowych. Odrzucali różnicę między wszczynaniem wojny sprawiedliwej i niesprawiedliwej. Ich zdaniem każda wojna jest bezprawiem, prócz ściśle obronnej. Udało im się skłonić rząd Stanów do przyjęcia ich postulatu. Państwa, zawierające traktat wyrzeczenia się wojny, tak zwany pakt Kelloga, zobowiązały się, że w żadnym wypadku nie wezmą na siebie inicjatywy wszczęcia wojny z kontrahentami tej umowy. Pakt podpisany w Paryżu przez Kelloga, ówczesnego ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Brianda, ministra spraw zagranicznych Francji, pełnomocników Polski, Niemiec, Włoch, Japonii i innych państw, ratyfikowany w roku następnym przez wszystkie te państwa, stanowił: „Wysokie strony umawiające się, mając głębokie poczucie ciążącego na nich uroczystego obowiązku rozwijania dobrobytu ludzkości, potępiają uciekanie się do wojny celem załatwiania sporów międzynarodowych i wyrze-

kają się jej jako narzędzia polityki narodowej w swych wzajemnych stosunkach" [1]).

Zasady wyrażane przez Wilsona i zawarte w pakcie Kelloga są sprzeczne z pojęciami i normami prawa międzynarodowego, ustalonymi przeważnie w Europie. Amerykanie poczęli zasady Wilsona i Kelloga przeciwstawiać, jako amerykańskie prawo międzynarodowe, niezadowalającemu ich prawu międzynarodowemu europejskiemu. Skodyfikowali je w formie uchwał, powziętych w wyniku obrad konferencji panamerykańskiej, odbytej w stolicy Argentyny, w Buenos-Aires. Prezydent Stanów Zjednoczonych F. D. Roosevelt w styczniu 1936 r. dał inicjatywę do jej zwołania i nazwania konferencją „dla utrzymania pokoju". Wybrany po raz drugi prezydentem w listopadzie, na pokładzie okrętu wojennego Stanów zawinął do przystani w Buenos-Aires i wziął udział w zagajeniu obrad konferencji, której ostatnie posiedzenie przypadło na 23 grudnia tego samego roku. Przedstawiciele wszystkich dwudziestu jeden republik amerykańskich uczestniczyli w obradach. Delegacja żadnego państwa nie opuściła sali obrad. Uchwały zapadały jednomyślnie. Zawarto wiele umów. Tekst „Konwencji dla utrzymania pokoju" zaczyna się od stwierdzenia, że „zawdzięczamy zebranie się konferencji prezydentowi Stanów Zjednoczonych, F. D. Rooseveltowi" [2]). Uwieńczeniem obrad była końcowa „deklaracja solidarności i współdziałania państw amerykańskich". Przytaczam ustępy deklaracji, bezpośrednio łączące się z treścią tego rozdziału:

„Rządy Republik amerykańskich, zważywszy, że podobieństwo ich demokratycznych form rządu i wspólny ideał pokoju i sprawiedliwości, wyrażony w różnych traktatach i konwencjach przez nie podpisanych, pozwoliły utworzyć czysto amerykański system, zmierzający do utrzymania pokoju, wykluczenia wojny i harmonijnego rozwoju ich stosunków kulturalnych we wszystkich dziedzinach działalności politycznej, gospodarczej, społecznej, naukowej i artystycznej...

że Panamerykanizm jako zasada prawa międzynarodowego

---

[1]) „Współczesna Europa Polityczna. Zbiór umów międzynarodowych 1919—1939" wyd. Kulski i Potulicki. Warszawa 1939, str. 559 i nast. Umowa polsko-rosyjska (1932) i polsko-niemiecka (1934), wydrukowane tamże, zawierają powtórzenie tego postanowienia.

[2]) „Zbiór Dokumentów" Dodatek do „Polityki Narodów", Warszawa 1937, str. 128. „Zbiór Dokumentów" podaje tekst czterech umów zawartych w Buenos-Aires w tłumaczeniu z oryginału francuskiego. Nie zawiera końcowej deklaracji, wydrukowanej w wydawnictwie Winiarskiego: „Wybór źródeł do prawa międzynarodowego". Warszawa 1938, str. 575.

amerykańskiego, polegająca na związku moralnym wszystkich republik amerykańskich... wymaga proklamowania zasad prawa międzynarodowego amerykańskiego,.....

Panamerykańska konferencja utrzymania pokoju oświadcza:

... że następujące zasady są przyjęte przez społeczność międzynarodową amerykańską:

a) potępienie zdobyczy terytorialnej, w wyniku czego żadne nabycie dokonane przemocą nie będzie uznane;...

d) wszelki spór lub zatarg między narodami Ameryki, niezależnie od jego natury i przyczyny, będzie załatwiony drogą postępowania pojednawczego, szeroko stosowanego arbitrażu albo postępowania sądowego międzynarodowego". Urzędowe słownictwo dyplomatyczne wzbogaciło się o wyrażenia „pokój demokracji", „międzynarodowe prawo amerykańskie".

Postanowienia przeze mnie przytoczone są urządzaniem stosunków między państwami amerykańskimi. W chwili zawarcia umów żadne z 21 państw, które je podpisywały, nie było w wojnie z jakimkolwiek innym państwem. W sierpniu 1941 r. prezydent Stanów Zjednoczonych, F. D. Roosevelt, i premier Anglii, Winston Churchill, obradowali na pokładach okrętów wojennych, którymi przybyli na miejsce zjazdu. Anglia znajdowała się wówczas u końca drugiego roku wojny z Niemcami. Stany Zjednoczone wdały się w wojnę w cztery miesiące później. Kierujący mężowie stanu mocarstw anglosaskich ogłosili zasady, które, ich zdaniem, powinny stać się wytycznymi pokoju. Dali wyraz obstawaniu przy przewodniej myśli paktu Kelloga: „Stany Zjednoczone i Anglia wierzą, że wszystkie narody wyrzekną się przemocy, uznając tę drogę rozstrzygania sporów międzynarodowych za niemoralną i szkodliwą". Zajęli stanowisko w sprawie dopuszczalności zaborów: „Stany Zjednoczone i Anglia nie życzą sobie zmian terytorialnych, które by nie odpowiadały życzeniom bezpośrednio zainteresowanych, swobodnie objawionym". Zabory są dopuszczalne, ale pod warunkiem ich zatwierdzenia plebiscytem przez mieszkańców obszaru, którego przynależność państwowa ma doznać zmiany i z zastrzeżeniem, że głosowanie nie będzie się odbywać pod przymusem. A zatem plebiscyt winien być przeprowadzony lub co najmniej kontrolowany przez instancję niezainteresowaną w jego wyniku. Zasada Wilsona niedopuszczalności zaborów w wyniku wojny została zastąpiona postulatem sankcjonowania zaborów plebiscytem. Wreszcie Roosevelt i Churchill zapowiedzieli, że Stany Zjednoczone i Anglia dążyć będą do stworze-

nia systemu zbiorowego bezpieczeństwa, wykluczającego uciekanie się do wojny celem rozstrzygania sporów międzynarodowych. Nie przesądzili odpowiedzi na pytanie, czy system zbiorowego bezpieczeństwa ma przybrać demokratyczną formę odnowionej Ligi Narodów, czy inną?

Dwaj prezydenci Stanów Zjednoczonych, Theodor Roosevelt (1901—1909) i Wilson (1913—1921) otrzymali nagrodę pokoju Nobla. Pacyfizm pierwszego z nich był imperialistycznie zabarwiony. Wilson zabiegał o ziszczenie pacyfizmu federacyjnego, zasługującego na miano demokratycznego, bo opartego na daleko posuniętym równouprawnieniu narodów wielkich i małych. Polityka ich następcy, prezydenta Stanów (w latach 1933—1945), F. D. Roosevelta, streszcza się w poszukiwaniu syntezy obu metod.

MIECZYSŁAW JASTRUN

Cienie wędrówki

(Fragment poematu)

Do świtu będą stały brzozy w rosie,
Trącane skrzydłami sów,
A kiedy świt w dzwoneczki zadzwoni
I okręci się na stopie bosej,
Pastuch w pole zagoni
Chrzęszczące stado krów.

Odbite od wzgórz i dolin
Echo
Ciemną twarz cygańskiego dziecka
Ukazuje nagle białej szosie.

Łąka niebieska
Niezapominajek,
Kępy mokrej zieleni,
Albo we wsi pod Krakowem
Żywopłoty z malw i słoneczników.

Obłok, powietrzny grajek,
Wzleciał, niebo oderwał od ziemi.
Jak para srebrnych trzewików,
Porzucona przez niego na skraju dąbrowy,
Błyszczy podwójna struga.

Nieznajoma piękna nimfa sadów,
Którą ścigałem dziecinnymi oczyma,
Czy się jeszcze zakołysze na łodydze?

Jakaż to majowa rajska zima
Obsiadła cię czeremchą, brzęczeniem owadów.
Patrzę w oczy twoje i nie widzę.

Jeszcze raz wyjdź spośród tamtych drzew,
Stań w żarliwej zieleni naga,
Z ramion zrzuć letniej rzeki dreszcz!

Nie słyszy obca i głucha.

Drzewa poszarpał huragan.

Tylko prawda milczenia.
Reszta jest powieścią —
Nasze ulotne słowa to tyle zaledwie
Co pod ławkami w ciszy poobiedniej
Stopy marzące na cieniach,
Gdy ziarnka piasku szeleszczą.

Nie odnajdziesz nigdzie bramy wjazdowej
Elsynoru.
Nie usłyszysz salwy królów powitalnej,
Ale przez wieki
Z cieniem ojca rozmawia Hamlet,
Przez wieki
Alejami wchodzą szumy wieczorów
I noce gubią pod zamkiem podkowy.

W taki zmierzch pozahistoryczny,
Jeszcze z czasów dzieciństwa pamiętam,
Niby korab karczmy obok drogi
Albo wóz cygański napotkany nagle
Czas odwrócił się — i twarz nieznaną
Znad warczącego motoru
Ukazał w źwierciadle.

Wtedy mijając rozpędzony cmentarz
Słupów kilometrowych,
Szofer spojrzał na licznik,
Dal przed sobą ujrzał: żywy ogień!
I uderzył sercem w serce lotnika.

Wtedy zamek ostatnią ścianą,
Próchniejącą w żywej szczęce wzgórza,
Poczuł, że go nowy wiek dotyka
Stopą miedzianą,
Że przenika go noc ostateczna —
Cienie murów minionych wydłuża...
„Czy usnęły psy moje, że bramą
Weszła przygarbiona, sześciowieczna?"

Cicho.
Drżenia nie zdradzi powieka.
Zegarkami tykają świerszcze.
Wszyscy śpiący paście spokojnie
Ręce i stopy znużone
Przez sen wsparci na kiju pasterskim.
Ja tylko czekam,
Kiedy moje serce
Jak wskazówka przesunie się na drugą stronę.

Schodzi anioł z matejkowskiej polichromii,
Otwiera oczy zdziwione:
Idą, tłoczą się, wchodzą we wrota
Ślepi,
Chromi,
Kadłuby na wózkach
Okrutnie okaleczone.
Skąd ich tylu? Dla kogo te wota?

Zaśnij lepiej na ścianie błękitnej.
Już słuchałem kiedyś twoich skrzypiec.
Pogrzebałem dziecinne modlitwy.
Jestem teraz wśród żywych jak na wielkiej stypie.

Gdzież jest łąka na zawsze zielona,
Gdzie podbite atłasem kaczeńce?
Dawny sen ma odcięte ramiona,
Dawna żądza nie pragnie więcej.

W stary park wiedzie dziecka dłoń,
Gra w chowankę z niebem woda zwodnicza,
Ach, i siwy na biegunach koń,
Co od długiej samotności zdziczał.

Tam gliniany faun, zginając kwiat
Wiśni, wargą nabrzmiałą dmucha,
Powieść dawno minionych lat
Naszeptuje fujarką do ucha.
Tylko tam niespełniony czas
I jak szczęście — niezaspokojenie
I od kształtów prawdziwsze cienie
I drzewo pełniejsze niż las.

Z Mariackiej wieży bije godzina dwunasta.
Widać czas przeźroczysty jak wnętrze akwarium.
Świecące ryby
Płyną środkiem miasta.
Powietrze się zorzą rozdarło
I weszło światłem za szyby
Jak drzazga za rubinowe paznokcie.

Nie tylko krew upływa i sen zmienia warty,
Nie tylko grubieją kości
I ciało staje się obce.
Słyszysz: w tłoczonej gwiazdami ciemności
Obracają się bez szmeru karty
Ksiąg i zdarzeń.
I tu czasu okrutna chemia
Rozkłada, składa na nowo
W bólu — jak ziemia.

Wstaje w grobach bibliotek pochowane słowo,
Wraca, szuka znajomych twarzy,
A inne
Nie poznaje już siebie w odbiciu,
Zmącone do dna,
Morze zmienne, niezmienne, płynne,
Które, mijając, trwa.

Gdy wy milczycie
Na dnie zamętu,
Głos mój chce przedrzeć się przez wrzawę wieku,
Jak na dnie zatopionego okrętu
Bijące jeszcze serce człowieka.

Lwów, 1940.

HANNA MALEWSKA

W Paryżu

(Fragmenty powieści o Norwidzie).

— Pas de courrier pour monsieur — mruknęła konsjerżka, mierząc go oczyma od stóp do głów. Ależ się gdzieś zbumlował lokatorzyna! Wygląda, jakby się przespał w rurze wodociągowej.

— Merci, madame. — Norwid nie oczekiwał z poczty nic poza rachunkiem od krawca. Nieraz już przyłapał się na tym, że im stróżka była opryskliwsza, tym on sam bardziej ubiegał się o jej względy. Ale jej bystre oczy, które wznosiła z nad szydełka, były nieubłagane. Zimne, taksujące, ironiczne oczy paryskie. Zaiste, ta krzepka postać faktycznej wielkorządczyni domu przy avenue Montaigne, rozsiadłej w progu a wiecznie czynnej i czujnej, był to widok równie typowo paryski, jak owa piękna perspektywa Pól Elizejskich, którą widywał z okien Chopina. — Paryż? To jest wszystko co chcesz... mówił Chopin z tym gestem pełnym ekspresji, który tak celnie uzupełniał jego słowa. I odczuwało się w tym cały ów splot tajemnic górnych i bardzo niskich, który się składa na Paryż, tę osobną planetę o wszelkich klimatach, rasach, mnogich głębinach i mnogich kontynentach. Jeśli kto, to konsjerżka znała na wylot geografię ludzką swojej dzielnicy i wedle niej sądziła świat paryski i świat w ogóle. A może znała tylko jeden przekrój

Paryża, własną kamienicę, i to jej wystarczało? Znała front: eleganckie loretki z parteru, którym co piątek stawiała kabałę i śledziła ich zdobycze toaletowe, równoległe z szybkim postępem w doborze klienteli. Bywali u nich ostatni już dandysi z Jockey-Clubu i bankierzy z Chaussée d'Antin. Dalej solidne stadło kupieckie, on prezes jakiegoś związku zwolenników czegoś i gorący republikanin, ona kwestuje co niedziela z hrabinami. I młody lekarz, który kupił powóz, co okazało się dlań wkładem o wiele rentowniejszym niż studia zagraniczne.

Niemniej dobrze znała oficynę: naprzód mały restaurator i kelner w jednej osobie, który ugania z serwetą a ma już 10 tysięcy w pończosze. Do tej paszteciarenki wpadają na kotlety Soubise i kurę Marengo nawet ludzie, którzy abonują parterowe loże Opery. Wie o tym i nieraz omawia ich sprawy osobiste z kelnerką, dziewczyną o sarnich nogach, która chce się dostać do baletu i szuka drogi poprzez garsonierę kapelmistrza.

Nad knajpą — modystka, powiernica i lichwiarka dam z Faubourg St. Germain lub udających takie. O wyższych piętrach — nie ma co i mówić. Choć mąż konsjerżki, niepoprawny marzyciel w aksamitnej kurtce (przyszedł w niej jako kramarz z Owernii i w niej go pochowają — mawiała rozsrożona), pokładał niemałe nadzieje w gnieżdżących się tam studentach i malarzach. — Il ira loin! — mówił o każdym nowym pupilu z tajemniczą miną. Miał kolejno swoich faworytów, którym pożyczał rankiem gazety, podebrane spod drzwi lekarza czy restauratora. Chętnie też wyliczał wiadome sobie wypadki, kiedy portrecista kupił willę na Rivierze a piosenkarz dostał Legię Honorową. — Teraz głowa i talent to kapitał — mawiał. — Znałem... no, nie znałem ale mój znajomy znał komiwojażera, który został parem Francji.

— Zapewne przyjaciółeczki tych wszystkich młodych ludzi miały wpływowych starszych przyjaciół — odpowiadała małżonka. — W Paryżu możliwe jest wszystko — kończyła sentencjonalnie. A prędki migot drutów towarzyszący jej słowom miał podobną wymowę jak gest Chopina: Paryż to wszystko co

chcesz!... — Wszyscy mogą zmienić skórę. Wszystkim zamało dwudziestu czterech godzin, bez względu na to, jak ich używają. Bankierzy snobują się sztuką, artyści kapitalizują, literatura staje się handlem, handel poezją. Wszystko jest możliwe w tej znamienitej równinie — jak powiada pan Honoré de Balzac — zasłanej żółtym tynkiem, cuchnącej błotem — a tak przeoranej wzruszeniami, że trzeba zaiste nadzwyczajności, żeby wywołać jakiekolwiek wrażenie.

Norwid usłyszał kiedyś, jak odźwierny mówił o nim do dorożkarza: — Ce jeune comte polonais, éxilé condamné à mort... — Tym niemniej wiedział, że nawet w oczach tego poczciwca — należy do arktycznych eskimosów czy kolonialnych negrów paryskiego globu. Widzieli wprawdzie, że wychodził wieczorami w paliowych rękawiczkach i lakierkach, i to na pewno nie na demokratyczny bal Mabille ani redutę do Odeonu, ale to nie przeszkadzało im żądać natychmiast zwrotu za opłaconego posłańca a praczce po dobremu odradzać kredytowanie. Domyślali się nawet może, co znaczą grube listy z redakcji: zwrócone rysunki i sztychy — „bardzo żałujemy, oceniamy, ale z braku miejsca...“ I co też może płacić introligator za projekty okładek a student technik za kreślenia.

Tak, w Paryżu możliwe jest podobno wszystko. Ale nie dla tych malheureux Polonais, których naprawdę już jest zadużo i rząd coś tam przecież płaci tym najdawniejszym i wszyscy są dla nich grzeczni, ale — mon Dieu! — czy kto ma czas przejmować się nimi! — Kelnerka przytakiwała konsjerżce. — Veux tu descendre — rzekła machnąwszy ścierką do kota, rozłożonego na blacie marmurowym. Poczym postawiła na nim odwrócone krzesło, ostentacyjnie wskazując Norwidowi, że powinien się już wynieść. Druga godzina! Jeśli nie spieszno z powrotem do pracy, to niech wybierze sobie inne miejsce na próżnowanie.

Norwid odszedł na górę dokończyć kartkę do Zaleskiego.

„...boję się każdego listu, który w tych czasach mię dochodzi — każdego interesu — każdej wiadomości — znajomości.

Człowiek traci odwagę... O moim Łubieńskim nie wiem nic. A między nami — nie tylko przyjaźń — nie tylko braterstwo —

Smutno mi, że jeszcze w żaden żywy sposób oddać ci nie mogę długu mego, niemniej ks. Kajsiewiczowi...“

Ostatni list Włodzia — o trudnościach z wydaniem „Niewoli“ i „Zwolona“, o nadziei zobaczenia go w Paryżu — z trudem odcyfrował, tak zmienione było pismo druha.

„...Takie osłabienie umysłu czuję, że od 4 miesięcy nie byłem w stanie przeczytać książki choć trochę ważniejszej“ — kończył Włodzio. Norwid struchlał: Włodzio, który nie przesadzał nigdy, nie uskarżał się.

I to pismo! Jakby pióro obsuwało mu się między palcami. Dwadzieścia pięć lat! Włodziu, musi ci starczyć siły na całe życie —

W takich to chwilach czuł Norwid, że między nimi jest więcej niż braterstwo.

Nareszcie Włodzio odezwał się znów z Ostendy: tam wsadzili go teraz lekarze na kurację „powietrzem morskim“ — bo zabraniają mu nawet kąpieli. „Mówię już tylko szeptem“ — Norwid pomyślał, że teraz z trudem mógłby rozmówić się z przyjacielem, on nawpół głuchy.

Czytał ten list wieczorem i w nocy miał okropny sen. Jeden z tych snów, których niepodobna skleić w jedno, ale i niepodobna zapomnieć. Jechali we dwóch z Wężykiem gdzieś nad morze i pytali o Włodzia — a odpowiadano im ni to ni owo. Wężyk się niecierpliwił, gdzieś wysiedli, szukali. — Pływał... Ubranie na brzegu... — dobiegły czyjeś słowa i sparaliżowało Norwida przerażenie nieludzkie: razem koszmarność snu i okrucieństwo jawy. Znajomi uchylali się, przechodzili na drugą stronę ulicy. Nikt nie wiedział nawet, gdzie jest to ubranie... — Może wyjechał — pocieszał ktoś, nie patrząc im w oczy. Pewność zaciskała żelazną rękę —

Tę samą pewność niosły najbliższe listy Włodzia, a potem ojca jego: dogorywał na suchoty.

Na Nowy Rok 1850 otrzymał Norwid list od pana Józefa

Łubieńskiego w czarnej obwódce. Ręce mu tak drżały, że nie mógł go otworzyć. Ale potem czytał oczyma bez łez. Włodzio nie żyje. Suchoty gardlane. Pochowany w Ostendzie.

Sen był w tej chwili mocniejszy od rzeczywistości: Włodzio utonął. Była w tym taka właśnie okropność nie do zniesienia: w słoneczny dzień, bez wstrząsu, bez huku, bez krwi odchodzi ktoś młody, wesół, silny — Norwid pamiętał Włodzia ciągle z brzoskwiniową jego opalenizną — odchodzi dlatego, że o pięć minut za długo był pod tą błyszczącą w słońcu płytą wody. Nic się przez te minuty nie zmieniło, tylko ktoś znikł na zawsze. Albo objawi się jeszcze raz — sinym topielcem.

Włodzio, Włodzio —

Dwadzieścia pięć lat —. A tu wokoło wszyscy żyją. I on, Norwid, i rodzice Włodzia, którzy za niego oddaliby życie.

Ze wszystkich sił przyzywał przyjaciela, żeby mu dopomógł jakoś. Wytłumaczył to odejście swoje poza linię — w jasny dzień.

I nareszcie zobaczył Włodzia znowu takim, jaki był: w zupełności jego krótkiego żywota i spraw.

I zrozumiał, że Włodzio b y ł zupełny. Że ten zgon, to dopełnienie życia, któremu widać nie zbywało już na niczym więcej.

Tak, Włodziu, tak.

„Wiernego starego Pata nie dało się zabrać stamtąd — pisał Józef Łubieński. — Musieliśmy go zostawić pod opieką hotelarza —"

Norwid zobaczył w pamięci Pata jak żywego: piękny nakrapiany seter Pat o uczciwym obliczu. Oto, jak kiedyś bywało, zatrzymał się w swoim posuwistym chodzie, drżąc całą skórą — przed czymś, czego nie rozumiał. Obaj zatrzymaliśmy się tak, Pat, przyjacielu, przed tą ohydą: spustoszeniem śmierci.

Ale oto Włodzio składa usta do cichego gwizdnięcia: Wszystko w porządku, Pat, idziemy dalej.

Pat nie posłuchał. Pat został na miejscu. A człowiek musi iść — do swojej gdzieś Ostendy końcowej. Tak, Włodziu, tak.

* * *

U Pawła Delaroche'a, jednego z dwu najbardziej wziętych malarzy paryskich, zebrało się szczupłe grono przyjaciół dla obejrzenia jego nowego obrazu: sceny z Drogi Krzyżowej. I Norwid był zaproszony. Delaroche, którego poznał przez Ary Scheffera, a tego przez Krasińskiego, okazywał mu życzliwość i uznanie.

Przybył ostatni i zamiast podziwiać obraz, który widział parokrotnie w czasie roboty — patrzył na doskonałe linie postaci i twarzy pani Delfiny Potockiej (ostatnio ponoć zaszczycała ona więcej niż przyjaźnią Delaroche'a). Nie była mu sympatyczna, ale adoracja Krasińskiego otoczyła ją w jego oczach posępnym urokiem. O tak, zaiste doskonale piękna i wytworna w czarnej sukni aksamitnej, spiętej antycznym szafirem — koloru jej oczu. Było także parę pań francuskich, ale gasiła je królewską urodą.

Artysta zbierał entuzjastyczne komplementy. Nareszcie starsza dama we wspaniałych butonach zdecydowała się na krytyczną uwagę: akcent całej postaci św. Weroniki ma coś plebejskiego, czy to nie razi wobec klasycznej powagi obrazu?

Delaroche uśmiechnął się pod wąsem.

— Czy pani hrabina sądzi, że św. Weronika była z arystokracji?

— Nie o to mi chodziło...

— Co do mnie, myślę — odezwał się Norwid — iż osoba święta znana nam z tego tylko, że twarz spoconą człowieka na szubienicę idącego otarła fartuchem, nie musiała być ze świata dobrze — ukształconego. Inaczej — zapewne by tego nie zrobiła, ale postąpiła w sposób właściwy stanowisku swemu, jak na przykład Józef z Arymatei — przyjaciel pośmiertny, wieczornej godziny, który był senatorskiego rodu. Albo żona Piłata.

Delaroche teraz śmiał się w najlepsze; damy, nie wiedząc kim jest Norwid, nie wiedziały, czy się zmarszczyć czy rozpromienić. Tylko pani Potocka, patrząc nań trzeźwymi, rozumnymi oczyma, barwy nocnego nieba, zapytała: — A czy pan sądzisz, że artyści, że poeci, wyróżniają się może tkliwą wrażliwością spośród owego świata dobrze-ukształconego? Sądzisz pan tak?

— Nie, pani. Przeciwnie. Sądzę, że Neron na przykład był znakomitym lirykiem i na swój czas nader umiejętnym kompozytorem... Może zresztą był wrażliwy: może podał szklankę wody duszonej Agrypinie —

— Szklankę wody? — Delfina patrzyła nań ciągle bystro i dumnie. — O ile wiem, Chrystus powiedział, że nawet szklanka wody nie pozostanie bez zapłaty?

Norwid z kolei uśmiechnął się: — Zwykle nie pamiętamy, że w skwarnej Palestynie szklanka wody ma jednak zupełnie inną wartość niż u nas przy kurku wodociągowym. Conajmniej trzeba się po nią bardzo nisko schylić i zaczerpnąć z bardzo głęboka —

— No, no, te damy nie zamówią chyba u pana portretu — powiedział Delaroche, odprowadziwszy panie do ich powozów — a szkoda, była okazja.

* * *

... Courage de deux heures après minuit... Après minuit. Courage.

Napoleon podziwiał tę właśnie odwagę. Prawie tylko tę jedną.

Ziąb. Nos cokolwiek zdrewniały i wilgotny. Ciemno.

Odwaga godziny drugiej z północka. O tej porze dybie na nią niekiedy coś gorszego niż skostnienie i ciemność. To uczucie — znane, znane — rozkładu, zgnilizny. Kiedy atomy rozprzęgłe zmawiają się, zwąchują się, by rozpocząć chyłkiem odmarsz w nicość.

Czy on, Norwid ma odwagę? Czy zerwałby się bić, na okrzyk dowódcy, czy chwyciłby w garść karabin? O godzinie drugiej po północy — nie stać go nawet na poszukanie zapałek, ba, wyciągnięcie ręki z pod kołdry. Ostatecznie trzeba umieć się bić. Bić się za coś, walczyć — Sokrates walczył za swoich zwyczajnie, jak hoplita. Albo Archimedes Syrakuzańczyk, od którego mogliby się tyle nauczyć generałowie artylerii — gdyby chcieli.

Myśląc to wszystko, poza tym przypominając sobie, co to była za bitwa, czy pod Potideją, w której Sokrates stawał jak hoplita — Norwid już ubierał się, naprzód pod kołdrą pociemku, potem zapalił ogarek świecy i natychmiast wyszczerzyła się do niego trupio szczęka sztuczna, którą był zaczął ugniatać z wieczora. Zęby tkwiły w różowej masie kauczukowej jak w krwawej pianie.

A grzyb narosły na knocie naftowej kopciałki pruszył i pryskał sadzą, atakowany przez tępy nóż. Nie, ta lampka blaszana za 40 sous nie ma przyjemnego, łabędziego kształtu dawnych kaganków, które w dłoni wzniesionej płynęły w ciemność, drogę wskazując do celu. Ona jest jak dozorca, zmuszający ludzi, by pracowali także i po nocy. Palce zgrabiałe ostrożnie przebiegać zaczęły sztuczne dziąsło, ruch jednostajny a pełen nalegania, jak pięciopalcówki.

Jest się poetą, czy raczej tylko bywa się?...

Nareszcie ociągliwie świtało. Powietrze nasiąkłe deszczem nie wypuszczało dymu z komina i Norwid psuł jedną zapałkę po drugiej, a pod kuchnią nie chciało się zapalić. Stanowczo oblicze rzeczy było tego dnia pospolite a wrogie. Nawet trupie, jak ta szczęka. W taki dzień dostrzega się tylko skorupy, czerepy — głowa ludzka to czerep, jak dla dzikusów przed wiekami bełkocących pierwsze słowa: tete — testis — skorupa... nic więcej. Wzgardzona i sama wypełniona pogardą. I możnaby ją rozkruszyć, jak garnek w domowej kłótni.

Jest się człowiekiem, czy tylko bywa się?

Płomień pod kuchnią strzelił po raz ostatni kłębem dymu

i zgasł. Było to jak ostatni wystrzał poddającej się twierdzy. Norwid poczuł znaną drżączkę.

Nie, sprawa śniadania nie jest warta, by za nią walczyć. Bić się do upadłego.

I miedziorytu dziś nie dotknie — dopóki nie ustąpi to drżenie rąk.

Szczęka gotowa. Ale niech dentysta, ten połeć szczeciniasty, sam tu po nią się wspina. Niech skrzywiony wysupła swoje marne pięć franków: — O là là, monsieur, vous vous faites attendre!

W łóżku nieposłanym kołatał się jeszcze ostatek nocnego ciepła. Położył się w ubraniu. Wstał. Wypił kieliszek wódki. Położył się i nakrył z głową. Może sen przyjdzie zaraz. Może atomy nie wznowią swojej pogwarki o chemii nieorganicznej, o dymisji z życia.

Norwid do Jana Koźmiana — Paryż.

„...A temu nie dziw się bynajmniej, że Metempsychosis powstała u nas, albo raczej odezwała się napowrót... Pomyślisz może, że Towiańczyk jestem — gdzie tam! do szkoły tej cale się nie liczę. Tylko sam uważ, proszę, że najmniej 4 żywoty obowiązują u nas ducha:

W pierwszym żywocie trzeba jest, ażebyś, żołniersko zasługując się, kulą armatnią nawylot był przebity, inaczej albowiem, tchórzem nazwany będąc, usługiwać sprawie nie możesz.

W żywocie drugim — umysłowo pracować masz — powiedzą albowiem, żeś rębacz ale głupi...

W żywocie trzecim masz spraszać i grupować publiczność za ręce ściskając, — obiadkami a herbatkami podkładając sprawę, a pieniądze też skarbiąc.

W żywocie czwartym dopiero wystąpić możesz ku zużyciu prawdy i siły i poświęcenia swego, a tak widzisz, o ile Metempsichosis logiczna i słuszna jest...

Wiem, że sobie za żarcik weźmiesz to, zapewne z powodu,

iż każdy wiersz żarcika tego krwią i cało-żywotami ludzkimi pisany.

Jeśli zaś za żart nie weźmiesz, to wiem za co, oto za tę macochę moją, Ironię!

Przeczytaj wszystko, co Zbawiciel faryzeuszom odpowiadał, ale przeczytaj nię tak, jak oklepało ci się o uszy — tylko sercem i życiem powołaj przed się czytając, a zobaczysz, że kolosalniejszej ironii nigdzie nie spotkałeś i spotkać nie możesz nad oną!...“

Zegarek, uporczywe tykotanie zegarka. Chyba dzisiaj dobrze słyszy, skoro tak mu to dokucza. Ból głowy, pewno na niepogodę, i senność wróżąca bezsenną noc.

Tutaj na żadnym zegarku niema wskazówki pór roku — któregoś po narodzeniu Chrystusa. Ani Epok. Ani końców świata — (a bywa ich wiele, tych końców świata).

Ale żadnego nie znajdziesz na fabrycznych zegarach, ani w fabrycznych dziennikach. Kiedyś w Rzymie zastanawiała go szczególna rozciągliwość i kurczliwość, nieomal odwracalność — czasu artysty. Ale jednak zawsze ten czas był c z a s e m, a nie tym wielkomiejskim paryskim potworem. Czy to jest jesień? Która wasza jesień? Starzyście, czy młodzi? Powiecie: niech Towarzystwo Ubezpieczeń wylicza długowieczność, to jego interes. Nam drogie godziny. Na godziny żyjemy, czasem na minuty! Ale czy wy żyjecie G o d z i n ą? Teraźniejszością?... Do pierwszego, do awansu, do egzaminu, do niedzieli, do fajerantu... Któraż z waszych godzin gorączkowych zdoła rozpoznać siebie, dopełnić, dokonać? I będzie przeto Godziną Życia? A taki, co nie umie przeżyć godziny, taki co nie widzi jedynego co ma: teraźniejszości — cóż on uczyni z cało-żywotem? Cykają, cykają sekundy, biją godziny.

Jakby wcielonej ciągle puls ironii
Słysząc, wiesz naprzód i wiesz ostatecznie,
Że z godzin żadna s i e b i e nie dogoni,
Że nie wydzwoni s i e b i e, dzwoniąc wiecznie.

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to co twoje ma być zatracone.

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? Czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie?...

Mógł tworzyć nadal. Tworzył nadal. Ale czuł, że jego osobistość człowiecza rozprzęga się, albowiem nie może wytrwać wśród tego, co stanowi ludzki jego los.

Człowiek wyobraża sobie, że gdy mu czegoś zabraknie: kobiety — ojczyzny — echa dla uderzeń serca, będzie, no, sobą, tym samym, chociaż z raną, potem z blizną. Ale kto pojąć jest zdolny, że przestanie być sobą? Człowiek, który wypluł płuca nie jest człowiekiem bez płuc, ale trupem.

Straszliwa, nieludzka nędza wielkomiejska, która wysysa człowieka, a potem przejdzie po nim, jak po flizie chodnika. Najżałośniejsza nędza emigrancka — ze swoim orszakiem: butą, kłamstwem, żebractwem, blagą szlachecką czy wojacką, pracowitą bezczynnością — stęchlizna, odór trupi...

Desperackie życie, które rodzi uczucia przeciwne naturze: bezmiłosierdzie dla siebie i innych, dziką ciekawość i przekorę nieszczęścia —

Jakże wzdrygał się przed tym zawsze, a jak czuł, że i jego oblegają te macki. Że się zaczyna wtapiać w tę łzawą maź niby to szlachecko-polską. Że coś tu wyłazi z niego: jakieś ojcowskie, praojcowskie próżniactwo, mistycyzm zdurniały krwi, „paskudna małość".

Sponiewierani, stwardniali, stępiali (żaden już „duch dziewiczy" nie będzie nigdy z nami!) — starzy i zjeżeni jak bezdomne psy gryziemy się o nic pomiędzy sobą —

Tymczasem na ulicach Paryża zaświstały kule.

Czwartego grudnia 1851 roku prezydent Ludwik Napoleon Bonaparte zbrojnie sięgnął po tron.

Jakie dziwne było oblicze Paryża w tych dniach! Jakże

mało dostrzegał Norwid namiętności i myśli w tym namiętnym i mądrym mieście. Konsjerżka, gdy na końcu ulicy Montaigne wzniesiono barykadę z ławek szkolnych i beczek, uwieńczoną olbrzymią kanapą, poszła ją obejrzeć, pożartowała z obrońcami, poczym wróciła „tricotować“ do portierni, strzały i krzyki nie wywabiły jej stamtąd więcej. Norwid przeszedł się tu i ówdzie, wieczorem wpadł doń Zaleski zdumiony i zbity z tropu: przyjechał najspokojniej z Fontainebleau i trafił w środek batalii na bulwarach.

— To jest bój bez planu i chorągwi! — mówił mu Norwid. — O pięćdziesiąt kroków od padających pod strzałami ludzie w bluzach i niebluzach stoją i prawie poziewają — gwardia narodowa pozwala, aby jej broń brano a sama siedzi w domu — żołnierz bije się z ludem — można by powiedzieć, że co najprostszego i najpoczciwszego, to rozłamane na dwa obozy eksterminuje się. Byłem w kilku miejscach i widziałem, i jeżeli gwiżdżących kul nie słyszałem, to dlatego, że wilgoć i szum mam w uszach — powiadam ci, do smutnego dochodzę przekonania: że to nie są ofiary w przyszłość. Takie nie na pięćdziesiąt kroków ale na pięć tysięcy porywają, unoszą, w chorągiew współczucia obejmują — zwłaszcza w najlotniejszym ku poderwaniu ludzie tym! To są ofiary przeszłości, jej błędów... Zbliska patrząc, w twarze blade bijących się patrząc, widać to — Gdzieś się to podziewa, ale nie dzieje się... Coś z upadającego Rzymu tu i ówdzie zawiewa — legie sobie celem — imperator fortuny próbuje — retorowie wygnani, bo dzienniki zamknięte. My — emigranckie twarze blade, jak Nazarejczyków, co wiedzą, co za tysiąc lat, ale co pod rękami mają, to im zaklęte i nieprzystępne — obozy — ognie pancernymi otoczone — Barbarzyńcy od Newy zdala... zdala...

— Już to, Cyprianku kochany, dziwny z ciebie człek... O głupstwo ze skóry wyłazisz — a jak ci barykady przed nosem budują, to przypatrujesz się im, owszem, ale jak z kolumny Vendôme —

— Z takiej kolumny niezgorszy może widok... Cóż? Barykady! Prawdziwe budowania i prawdziwe katastrofy dzieją się bez hałasu. To tylko lichy robotnik zawsze narobi wiele wrzawy, brudu i zamętu...

Umilkły ostatnie wystrzały. Miasto przybrało normalne oblicze i to tak dalece, że Norwid stanął jak wryty, gdy na Place de la Concorde zagrodziła mu drogę wąska, ciemna struga — struga krwi, z pod Ministerium Wojny, pociętego kulami — wpoprzek chodnika. Ludzie przestępowali ją i spieszyli dalej. — Passez messieurs-dames, circulez — powtarzał policjant. Norwid stał jak wkopany, z pochyloną głową. Wewnętrznie pokłonił się, ukląkł przed tą serdeczną krwią ludzi, ginących za jakąś sprawę... Obcasy obojętne, brutalne wdeptywały ją w pył. Interesy powszechne i pojedyńcze pospieszają dalej — ku nowemu gdzieś strumieniowi krwi! Także straconej historycznie. Także pozbieranej zbożnie niewidzialnymi dłońmi aniołów... Tak po dziewiętnastu wiekach chrześcijaństwa wyglądają dzieje!! A kiedyś Bóg zapyta:

— Kainie, co zrobiłeś z trupem brata twojego, Człowieka?!

MACIEJ SZUKIEWICZ
(1870—1943)

Ze „Wspomnień"

Ledwo że ministrantem byłem u ołtarza,
Przy którym Młoda Polska msze swe odprawiała.
Dziś oni wszyscy w ziemi. Pośród ich cmentarza
Błąkam się, drugi Janko Cmentarnik bezmała,
Przypominam zdarzenia, ludzi przypominam
I przed niejedną z mogił ich kolano zginam.

Życie filmem się toczy... Spośród wspomnień wiela
Najczęściej myśl ma krąży dokoła „Wesela".
Dziwny, przedziwny utwór; w tym dziele geniusza
Pląsawicą niewoli pląsa polska dusza.
Wszystkie błędy, występki, czczych nadziei męki,
Wielka przeszłość, owiana bohaterstwa glorią,
Większej przyszłości pierwsze świty i jutrzenki
W serdecznej krwi skąpane, mkną fantasmagorią,
A wszystko rozśpiewane jak harfa eolska
Łka wciąż jedną melodią: Polska, Polska, Polska!

Na miesiąc przed premierą chodziły już słuchy,
Mogące melomanów napełnić otuchą,
Że Wyspiański, zazwyczaj milczący i cichy,
Najnowszą swoją sztukę o „problemie chińskim"
(Jak sobie po kawiarniach szeptano na ucho

Dla dwu wierszy, którymi sztuka się zaczyna)
Chce osobiście czytać pp. Kotarbińskim.
Uprzejmości tej dziwi się pani Lucyna,
Lecz zaprasza autora, a ten im przez tydzień
Czyta sztukę, rojącą się od mar i zwidzeń.

Józefek (tak zwać męża zwykła połowica)
Nie gorszy się „Weselem" lecz i nie zachwyca.
Jeżeli przed Słowackim nie odczuwa tremy,
To dlatego, że zmarli nie biorą tantiemy,
Ale poza Słowackim wszystkiego unika,
Co szturmuje niebiosa lub dziwactwem bryka,
Bo to zwiększa scenicznej oprawy ekspensa.
„Najlepszą dla mnie sztuką — mawiał — sztuka mięsa,
Bo nie wiele kosztuje, a podjeść nią można".
To też w obawie klapy ku Lucynie chrząka
Na znak, że nie zamierza wystawiać „Wesela",
Innego całkiem zdania jest pani małżonka.
Jakkolwiek w sprawach „budy" czujna i ostrożna
Obaw męża o klapę zgoła nie podziela;
Już w połowie audycji coś ją w sztuce tknęło
I chociaż nie przeczuwa, że to arcydzieło,
Lecz roztańczonych kukieł wstrząśnięta agonią,
Odczuła, że tu w jakieś wielkie dzwony dzwonią,
Mniejsza z tym, na co dzwonią i w jakim kościele,
Dość że dzwonią, i dla nich trzeba grać „Wesele",
Choć autor uciążliwy warunek im kładzie:
Sztuka ma do premiery spoczywać w szufladzie
I gdyby ją ktokolwiek, z wyjątkiem suflera,
Wziął do rąk i ukradkiem w tekście się rozglądał,
On egzemplarz swej sztuki natychmiast odbiera.
Wyspiański nie znał żartów i gdy czegoś żądał,
Niewzruszalną stawała się rzecz niby kanon
Tym bardziej gdy ją zastrzegł jako sine qua non.

Uszanowano ściśle Wyspiańskiego wolę
I pod kluczem suflera prób czekała sztuka;

Ale kiedy aktorom rozdano już role,
Każdy z nich wzajemnego związku tekstów szuka,
Że zaś nić, która wiąże je z sobą, zbyt wiotka,
Więc klnie na czym świat stoi. W tych warunkach plotka
Poczęła wnet „Wesele" oplatać swą przędzą.
„Kogo jak kogo, nas tu chyba fata pędzą
„Z morza niedorzeczności w otchłanie chaosu.
„Nikt tutaj „sztuki mięsa" z tłumnych scen bigosu
„Nie wyłowi dla siebie ani dla Józefka.
„Tu z upiorem malarza pląsa jakaś dziewka,
„Tam Radczanka z Poetą wciąż się przekomarza,
„Dziennikarz lży Stańczyka, Stańczyk Dziennikarza;
„W innej scenie — szaleństwo! — wśród gości wesela
„Gęby myć i prać chusty pojawia się Szela,
„Jeszcze w innej Hetmana nęka diabłów sfora,
„To znowu gdzieś od stepu zjeżdża Wernyhora,
„Jasiek złoty róg gubi, a na domiar gusła
„Chochoł, t. j. kłak słomy, łapami z powrósła
„Na dwóch patykach kukłom do tańca rzępoli,
„A one, wpół się wziąwszy, kręcą się powoli,
„By zgodnie z informacją wirować tak póty,
„Aż kres bredni położą piejące koguty;
„Jednym słowem stek dziwactw, co płazem nie ujdzie
„Nawet przez Wyspiańskiego napisanej bujdzie".

Tak sobie teatralna gwarzyła gromadka,
A że plotce nie zatkał nikt ust i nie zatka,
Więc wkrótce cały Kraków bezmyślnie powtarza,
Że autor każe sztukę grać bez egzemplarza.
O szczęsny, dowodzący geniuszu zakazie!
Gdyby aktor tekst poznał w prób czytanych fazie,
Każdy by na swój sposób go interpretował
I przez rozbieżność ujęć kładł sztukę na pował,
Lub, jak pod Pawlikowskim zdarzało się przedtem,
„Robił" widmo i kwestie wygłaszał falcetem;
Tym zaś razem, gdy każdy znał swój tekst jedynie

I nie dbał jak z komparsów słowami się spłynie,
Scena po scenie poszła naturalnym tokiem
A widz wciąż pozostawał pod dziwnym urokiem,
Jak zwid z rzeczywistością godząc się i ze snem
Może żyć w jego duszy trwaniem równoczesnem
I trzeźwego rozsądku przełamując starty,
Przenosi go na jawie w ducha wymiar czwarty.

Premiera? — mimo nowość formy poszła gładko,
A publiczność? — połowa czuła instynktownie,
Że stoi przed zawiłą dla siebie zagadką,
I kwaśna opuszczała pośpiesznie widownię;
Druga zaś jej połowa trwała wciąż milcząca
Świadoma, że to wieczność skrzydłem ją swym trąca,
Że przetacza się nad nią osobliwa chwila,
Gdy Polska daje śwatu drugiego Ajschyla,
A teatr znów zamienia się w świątynię oną,
W której największe duchy całopalnie płoną.

WILLIAM WORDSWORTH (1770—1850)
Przełożył CZESŁAW MIŁOSZ

Odwiedziny Opactwa Tintern

Pięć lat minęło; pięć wiosen, a z nimi
Pięć długich zim! Znowu dziś słyszę
Jak z górskich źródeł toczą się te wody
Łagodnie szemrząc mową ziemi. Znów
Widzę te strome i strzeliste skały,
Które nad dzikim tym ustroniem wisząc
Myśl o pustelni przywodzą i łączą
Krajobraz cały ze spokojem nieba.
Oto dzień nadszedł, gdy znów odpoczywam
Pod sykomorem ciemnym i spoglądam
Na pól wzorzystość i bujne ogrody.
Owoc ich o tej porze niedojrzały,
Zieleń je stroi, a one się gubią
Wśród kęp i gajów. Widzę jeszcze raz
Te żywopłoty, raczej linie wąskie
Rozrosłych dziko drzew i te pasterskie
Chaty, zielenią objęte po próg.
W ciszy rozwija się i zwija dym
Z pośród gęstwiny: znak chyba że w lasach
Wędrowni jacyś koczują mieszkańcy
Albo pustelnik w grocie przy ognisku
Siedzi samotnie.
                    Te formy tak piękne,

Gdym był daleko nie były mi tym
Czym jest krajobraz dla ślepca powieki:
Często w samotnej izbie lub wśród wrzawy
Rynków i miast zawdzięczałem im
W ciężkich godzinach najsłodsze wzruszenia,
We krwi odczute, biegnące przez serce;
I nawet w czystszą przenikały myśl
Spokojnie krzepiąc: odczucia zachwytu
Zapomnianego: te, które być może
Mają nie wątły i nie błahy wpływ
Na lepszą cząstkę ludzkiego żywota,
Na bezimienne, małe nasze czyny
Miłości oraz dobroci. I, wierzę,
Im to zawdzięczam jeszcze jeden dar
Bardziej podniosły; tę błogosławioną
Zadumę, w której brzemię tajemnicy,
W której nieznośny i gniotący ciężar
Niepojętego świata nagle jest
Lekki: pogodną i błogosławioną
Zadumę, w której uczucia nas wiodą
Aż tam, gdzie oddech cielesnej powłoki,
Aż tam, gdzie ruchy ludzkiej naszej krwi
Niemal ustają — i leżymy we śnie.
Śpi tylko ciało — stajemy się duszą
Żyjącą: oko nasze, już spokojne
Siłą harmonii, potęgą radości,
Spoziera w życie wszystkich rzeczy.
To
Jeżeli tylko złudą jest — och, jednak
Jak często — w nocy, czy wśród wielu kształtów
Smutnego dnia, kiedy zgiełk zaciekły,
A nie dający nic, gorączka świata
Uciskiem legły na bijące serce —
Jak często w duchu wracałem do ciebie
O leśna Wye! Wędrowniczko leśna,
Jak często duch mój zwracał się do ciebie!

I teraz, w błyskach myśli pół-przyćmionej,
W bladych, przygasłych przypomnieniach wielu
I jakby w smutnym jakimś pomieszaniu
Ożywa znów umysłu malowidło:
Gdy stoję tutaj, nie tylko doznając
Tej tu radości, lecz myślą się ciesząc
Że w chwili takiej życie jest i pokarm
Na przyszłe lata. Tę mieć śmiem nadzieję,
Chociaż napewno inny dzisiaj jestem
Niż byłem wtedy, kiedy pierwszy raz
Przybyłem między te wzgórza. Jak łania
Skakałem wtedy po górach, nad rzek
Głębokich brzegiem, nad hukiem strumieni,
Gdziekolwiek wiodła natura: i bardziej
Jak człowiek, który przed czymś złym ucieka,
Niż ten, co szuka miłując. Natura
(Grubsze rozgrywki mych chłopięcych dni
I ich zwierzęca żywość już minęły)
Była mi wszystkim. Przedstawić nie mogę
Czym wtedy byłem. Dźwięcząca kaskada
Niby namiętność nawiedzała mnie;
Góra i skała, głuchy mroczny las,
Ich barwy, formy, były wtedy dla mnie
Pragnieniem, wielkim uczuciem, miłością
Której nie trzeba już obcych powabów
Przez myśl dodanych, ni czegoś co nie jest
Zapożyczone od wzroku. Ten czas
Minął. I nie ma tych cierpkich radości,
Nie ma zawrotnych uniesień. Lecz ja
Nie tęsknię za tym i nie szemrzę. Inne
Dary mi dano; obfitą, jak mniemam,
Za to com stracił nagrodę. Bo umiem
Dziś na naturę patrzeć nie jak w czasach
Młodości co jest bezmyślna; lecz słysząc
Spokojną, smutną muzykę ludzkości,
Nie kaleczącą, ni ostrą — potężną,

Zdolną oczyścić i podbić. Poczułem
Obecność, która porywa weselem
Podniosłych myśli; najczystsze wnikanie
Czegoś, co znacznie głębiej jest ukryte
I mieszka w blasku zachodzących słońc,
W przestrzeniach mórz, w żyjącym powietrzu,
W błękitnym niebie i w myśli człowieka:
Napęd i duch, co pobudza wszelkie
Myślące rzeczy i wszelkie przedmioty
Myślenia, płynąc przez rzeczy. Dlatego
Wciąż miłośnikiem jestem łąk i lasów
I gór; wszystkiego, co dojrzeć możemy
Na tej zielonej ziemi; kocham świat
Oka i ucha — w tym, co na wpół tworzą
I w tym, co biorą; i rad rozpoznaję
W naturze całej i w języku zmysłów
Kotwicę myśli najczystszych, piastunkę,
Strażnika serca mojego i duszę
Mojej moralnej istoty.

Z wierszy, ułożonych kilka mil nad opactwem Tintern, zwiedzając ponownie brzegi Wye podczas wycieczki, 13 lipca 1798 roku.

ROMAN DYBOSKI
(1883—1945)

Wieszcz wszechżycia i wszechbraterstwa

WALT WHITMAN.

1

Do posłannictwa transcendentalistów najbardziej jest zbliżona ideowa treść twórczości samotnego poety, którego wielu mieni największą postacią całej literatury amerykańskiej, a który w każdym razie jest najbardziej żywiołowo oryginalnym a równocześnie najwybitniej typowo amerykańskim z wielkich pisarzy Ameryki. Jak Thoreau doprowadził doktryny Emersona do ostatecznych i najskrajniej bezkompromisowych konsekwencyj w życiowym zastosowaniu, tak do kresów śmiałości myślowej doszedł w ich poetyckim ujęciu i rozwinięciu Walt Whitman (1819—1892).

Walt (czyli Walter) Whitman, o kilkanaście lat młodszy od Emersona, Poe'go i Hawthorne'a, pochodził ze starej rodziny kolonistów, osiadłej w Nowej Anglii od XVII. wieku, a po matce miał w żyłach nieco krwi holenderskiej. Urodził się na „Długiej Wyspie" (Long Island), ciągnącej się przez sto mil angielskich na wschód od portu nowojorskiego, a wtedy jeszcze niezbyt gęsto zaludnionej i przeważająco rolniczej. Był drugim z dziewięciorga dzieci ojca, który jako właściciel stu morgów gruntu na wyspie prowadził dostatnie gospodarstwo rolne, ale wobec rozrostu pobliskiego Nowego Yorku począł zajmować się także ciesielką, budową domów drewnianych i handlem nieruchomościami. To stanowisko ojca — po-

średnie między wiejską a wielkomiejską fazą rozwoju kulturalnego Ameryki — oddziałało może na późniejszą postawę poety. Whitman jako chłopiec wędrował po pustkowiach rodzinnej wyspy, wylegiwał się na rozległych piaskach jej wybrzeża i wsłuchiwał w szum fal morskich, których echem miały później rozbrzmiewać jego rytmy. Ale wcześnie poznał także życie wielkomiejskie, bo gdy miał zaledwie lat cztery, rodzina — nie zrywając zresztą całkowicie związku ze wsią i z rolą, — przeniosła się do Brooklynu, a więc na przedmieście Nowego Yorku; tam chłopiec ukończył szkołę, i tam poczęły poić jego ucho swym szumem inne z kolei fale niż morskie — fale mas ludzkich, przewalających się po ulicach wielkiego, milionowego już wtedy ośrodka handlowo-przemysłowego; ten rytm wszakże, przeniknąwszy głęboko w jego świadomość, miał później rozlegać się oddźwiękiem w jego pieśniach.

Już w czternastym roku życia młody chłopak wszedł w życie zarobkowe: zrazu był chłopcem do posyłek u adwokata, potem przez kilka lat ćwiczył się w sztuce zecerskiej po drukarniach Nowego Yorku i Brooklynu. Następnie przez dwa lata pracował jako nauczyciel po miasteczkach prowincjonalnych, stołując się kolejno u rodzin swych uczniów, co, jak sam powiadał, dało mu „najgłębsze lekcje poglądowe o naturze ludzkiej za kulisami i wśród mas." W latach 1839—40 redagował gazetkę lokalną w mieście rodzinnym, którą prawie w całości sam pisał, sam składał i nawet roznosił; przez dalszych lat piętnaście żył przeważnie w Brooklynie — przynajmniej zimą — pracując — z przerwami krótszymi i dłuższymi — jako zecer w Nowym Yorku, a potrosze także jako dziennikarz i publicysta w „Democratic Review" i innych czasopismach; był nawet redaktorem dwóch po kolei dzienników, „Codzienna Jutrzenka" (The Daily Aurora) i „Orzeł brooklyński" (The Brooklyn Eagle). Nie okazał się jednak Whitman zdolnym — tak samo jak nie był zdolny Thoreau — do wprzęgnięcia się na stałe w kołowrót życia zawodowego: jak Thoreau, pracował zarobkowo tylko tyle ile było koniecznie potrzeba; a poza tym z filozoficzną ciekawością pogrążał się w spostrzeżenia nad otaczającym światem i życiem. Trzech jego braci gorliwie politykuje, Walt również przez jakiś czas chodzi na wiece i nawet przemawia; bierze udział w agitacji reformatorsko-społecznej i przyczynia się do niej przez moralizującą powieść o tendencji abstynenckiej p. t. „Franklin Evans"; przede wszystkim jednak z upodobaniem snuje się samotnie po wzgórzach i wybrzeżach swej rodzinnej wyspy,

a jeszcze częściej, równie bezczynnie, po ludnych ulicach, brudnych zakątkach, muzeach i bibliotekach, teatrzykach i karczmach Nowego Yorku i Brooklynu; lubi godzinami jeździć wzdłuż śródmieścia Nowego Yorku, po Broadway, na dachu omnibusu, rozmawiając z woźnicą, albo przez cieśniny między Nowym Yorkiem a jego przedmieściem na statkach przewozowych, gdzie był za panbrat ze wszystkimi sternikami i nieraz nocował w ich kajutach. Był stałym gościem w teatrze i w operze: zachwycał go sławny tragik Booth w rolach szekspirowskich, a dobry śpiew wprawiał go w entuzjazm, który często znajduje wyraz w jego poezji; miał też stać się jednym z pierwszych amerykańskich wielbicieli Wagnera.

W r. 1849 Whitman ostatecznie zerwał ze stałymi zajęciami zarobkowymi i wybrał się z jednym ze swych braci na swobodną wędrówkę — rzemiennym dyszlem i w znacznej części piechotą — po Stanach środkowych. Dążąc w dół rzekami Ohio i Mississipi, dotarł aż do Nowego Orleanu, gdzie zatrzymał się przez czas dłuższy. Pracował tam w redakcji miejscowej gazety „Księżyc codzienny" (The Daily Crescent) i tam też podobno rozegrała się jakaś dramatyczna historia miłosna w jego życiu; chodziło rzekomo o romans z kreolką, kobietą z towarzystwa, która jakoby dla siebie i dziecka pozyskała przebaczenie rodziców pod warunkiem zerwania z przybłędą z Północy. Przeżycie to odzwierciedla się w niejasnych zarysach w kilku późniejszych utworach Whitmana. Cały zresztą pobyt na Południu pozostawił trwałe ślady w jego twórczości w postaci licznych i żywo kreślonych opisów przyrody południowej. Z Nowego Orleanu wyruszył Whitman z powrotem na Północ: jadąc rzeką Mississipi w górę, podążył do wielkich jezior, zwiedził Michigan, Huron i Ontario, oraz wodospady Niagary, przewędrował jeszcze południowo-wschodnią część Kanady i stamtąd wreszcie w dół rzeki Hudson powrócił do Nowego Yorku. Cała ta podróż, obejmująca przeszło 8000 mil angielskich drogi, a odbyta w warunkach, umożliwiających naprawdę bliski kontakt z ludźmi i z przyrodą, doskonale przygotowała Whitmana do roli narodowego poety całych Stanów Zjednoczonych Ameryki, a nie tylko jednego ich regionu.

Po powrocie Whitman na jakiś czas się ustatkował, wydając pismo „Wolny obywatel" (The Freeman), którego znowu był i redaktorem i drukarzem — a zarazem pracując w biurze ojcowskiej firmy. Niebawem jednak z przerażeniem zrobił odkrycie, że firma za dużo na jego pojęcie zarabia pieniędzy na

swych klientach, więc bez wahania ją porzucił i odtąd żył wyłącznie dla swej twórczości literackiej. W r. 1855 sam złożył w drukarni i własnym nakładem wydał tomik swych poezyj, obejmujący dwanaście utworów i zatytułowany „Źdźbła trawy" (Leaves of Grass). Było to pierwsze charakterystyczne objawienie jego geniuszu: po regularnych rymach i rytmach dawniejszych jego wierszy i anemicznej, moralizującej prozie nowelek i szkiców, tu poeta znalazł tę najodpowiedniejszą dla siebie formę „wolnego wiersza", którą się odtąd stale posługuje, i przyoblekł w nią tę bujną, pełną żywiołowej rozmaitości treść, która była owocem wieloletnich spostrzeżeń i doświadczeń wśród przyrody i świata ludzkiego. „Pamiętaj", pisze do przyjaciela, „że książka ta wyrosła z mojego życia w Brooklynie i Nowym Yorku od 1838 do 1853, że wchłonęła w siebie jakiś milion ludzi, na przestrzeni lat piętnastu, i że tę treść oddaje z zażyłością, z ożywieniem i ze swobodą bodaj niezrównaną". To też głównymi dalszymi etapami twórczości Whitmana są coraz nowe dalsze wydania „Leaves of Grass", zmieniane i uzupełniane, aż do dziesiątego w roku jego zgonu, które już obejmuje nie dwanaście utworów, jak pierwsze, lecz blisko czterysta.

Wydanie pierwsze, choć wielu zgorszyło wybujałością zmysłowych elementów swej treści — łagodny i dobrotliwy Whittier nawet wrzucił swój egzemplarz w ogień! — jednak nie stało się nawet „un succès de scandale". Recenzyj było mało, sprzedaż znikoma. Whitman, który nigdy nie grzeszył nadmierną delikatnością, nie zawahał się pisać nawet sam o sobie pochwalne recenzje i przemycać je anonimowo do gazet; cieszył się też z każdego napastliwego odzewu i wyzyskiwał go przez polemiczne odpowiedzi dla zdobycia sobie rozgłosu. Jedynym, który powitał poezje Whitmana odrazu z entuzjastycznym uznaniem, był Emerson; ten pisze do nieznanego autora odrazu w takich słowach:

„Nie jestem ślepy na wartość tego cudownego daru, jakim są „Źdźbła trawy". Znajduję, że jest to najznakomitszy przykład twórczej pomysłowości i mądrości, jaki Ameryka dotychczas wydała. Czytam dzieło Pańskie z uczuciem szczęścia, które dają tylko rzeczy naprawdę potężne... Winszuję Panu swobody i odwagi Pańskiej myśli. Raduję się nią wielce. Znajduję w książce rzeczy niezrównane, wyrażone w sposób niezrównanie dobry, jak być powinno. Znajduję w niej tę odwagę w traktowaniu zagadnień, którą natchnąć może jedynie szerokość wejrzenia. Witam Pana u progu świetnej kariery,

która jednak musiała gdzieś mieć jakiś długi prolog, by się móc tak rozpocząć. Przecierałem trochę oczy, by się przekonać, czy ten promień słońca nie jest złudzeniem; ale solidna sensowność książki jest trzeźwym pewnikiem. Ma ona najwyższe zalety, bo dodaje sił i otuchy."

Przełomowe znaczenie w dalszym życiu poety miała wielka wojna domowa między Północą a Południem w latach 1861—5. Whitman, choć gorący stronnik sprawy północnej, a więc zniesienia niewolnictwa murzyńskiego na Południu i zachowania jedności Stanów przeciw odszczepieństwu „Konfederacji" południowej, sam jako 42-letni mężczyzna już w pole nie wyruszył; ale gdy jego brat odniósł ranę w jednej z pierwszych bitew, udał się do armii i ofiarował jej swe usługi w charakterze pielęgniarza-ochotnika. Odtąd przez całe dalsze lata przewlekłej wojny niestrudzenie był czynny w szpitalach wojskowych Washingtonu, nie tylko uczestnicząc w opatrywaniu rannych i podawaniu lekarstw, ale niosąc im ulgę przez drobne podarunki, załatwianie sprawunków na mieście, pisanie listów i czytanie książek, wreszcie przez dobre słowo i samą magię swej zawsze pogodnej osobistości, pełnej wiary w życie i ufności w przyszłość. Stał się też jedną z najpopularniejszych postaci wśród cierpiących żołnierzy, a w historii lecznictwa wojennego jego działalność pozostawiła po sobie podobnie chlubną pamięć jak reorganizacja pielęgniarstwa i szpitalnictwa wśród wojsk angielskich w czasie wojny krymskiej przez Florencję Nightingale. Dziś jeszcze, po okropnościach nowych i większych wojen, nie możemy bez najgłębszego wzruszenia czytać zbioru listów Whitmana z tych czasów, wydanego pod tytułem „Sanitariusz" (The Wound-Dresser). Innym owocem przeżyć wojennych stał się nowy cykl poezji, „Werble" (Drum-Taps, 1865), dający obrazki z życia w samych szeregach walczących, oraz „Dalszy ciąg" tego cyklu (Sequel to Drum-Taps), zawierający elegie żałobne na śmierć uwielbianego prezydenta Lincolna, który zginął z ręki fanatyka w samej chwili zwycięskiego ukończenia długoletniej bratobójczej walki.

Nagrodą za samarytańskie służby w czasie wojny była posada urzędnicza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w dziale dla Indian, którą Whitman otrzymał zaraz po wojnie. Rychło jednak ją stracił, bo szef jego, zaznajomiwszy się przypadkowo ze „Źdźbłami trawy", usunął go z urzędu jako „autora nieprzyzwoitej książki". Fakt ten wywołał oburzenie wśród mnożących się już wtedy wielbicieli Whitmana, i jeden

z nich, Irlandczyk z pochodzenia, W. D. O'Connor, napisał w obronie poety broszurę, która może była przesadna w tonie, ale przeszła do historii przez swój tytuł „Dobry siwowłosy poeta" (The Good Grey Poet), bo określenie to przylgnęło odtąd do Whitmana jako popularny przydomek. Sam Whitman zresztą za utraconą posadę rychło został odszkodowany równorzędnym stanowiskiem w Ministerstwie Sprawiedliwości, na którym pozostał przez lat siedem.

Okres to materialnie pomyślny w życiu poety, a dla pogłębienia jego myśli i sądów o sprawach i ludziach otaczającego społeczeństwa szczególnie doniosły. Whitman, dotąd zawsze entuzjasta wielkiej republiki amerykańskiej i jej ekspansyjnego rozmachu, teraz jako mieszkaniec stolicy i urzędnik administracyjny z rozczarowaniem, a nawet z obrzydzeniem patrzeć musi na rządy zwycięskiej partii imperialistyczno-republikańskiej, gnębiącej pobite Stany południowe, hańbiącej się łapownictwem; wykorzystującej raptowny rozwój handlowo-przemysłowy kraju na prawdziwe orgie przekupstwa i defraudacji. Rządy pokrywającego to wszystko swoim nazwiskiem prezydenta Granta, niegdyś jednego z popularnych bohaterów wojny domowej, pobudzają Whitmana do napisania rozprawy politycznej prozą, „Perspektywy demokracji" (Democratic Vistas), w której śmiało piętnuje nadużycia i stawia przed oczy społeczeństwa idealny obraz demokracji takiej, o jakiej już dawniej marzył w swych poezjach. Ideałem męża stanu pozostaje dla niego wielki prezydent Lincoln — człowiek czystych rąk i śmiałych wielkich idei, stanowczy w zamysłach politycznych a pojednawczy i ludzki w postępowaniu. Z tym ideałem przed oczyma woła Whitman o zmianę polityki represyjnej wobec ujarzmionego Południa, o porzucenie materializmu, który opanował duszę pokolenia, o stworzenie nowej cywilizacji, opartej na zasadach religii, wielkoduszności i przyjaźni, o przeistoczenie psychiki kobiet jako matek przyszłych obywateli, o odrodzenie literatury w duchu heroicznego indywidualizmu i zdrowej pełni życia.

Niestety lata washingtońskie, tak bogate w doświadczenie społeczne i w twórcze refleksje polityczne, miały się skończyć dla Whitmana katastrofą osobistą. Ofiarna praca w szpitalach w czasie wojny nadwerężyła, jak się okazało, nawet jego atletyczny organizm: jeszcze w czasie służby sanitarnej zapadł w r. 1864 na malarię, połączoną z zakażeniem od rany jednego z pacjentów; zaś w r. 1873, a więc jeszcze w sile wieku męskiego, doznał ataku paralitycznego, który uczynił go na

resztę życia niezdolnym do pracy zarobkowej. Pozostałe dziewiętnaście lat żywota spędził Whitman przeważnie w domu swojego młodszego brata w miasteczku Camden pod Filadelfią, gdzie siwowłosa jego postać z długą brodą stała się niebawem równie popularna jak niegdyś w Washingtonie; bo znosił swą inwalidzką dolę z pogodą, która promieniowała na całe otoczenie. Żył zrazu w warunkach bardzo skromnych, niemal w ubóstwie; dopiero od r. 1881 rozprzedaż coraz nowych wydań jego utworów poczęła mu przynosić jakie takie dochody. Od r. 1881 zamieszkał we własnym domku. Zdrowie z czasem nieco się poprawiło i pozwoliło mu nawet jeszcze na podróż do Stanów zachodnich w r. 1879, i na drugą do Kanady w r. 1880. Dopiero w r. 1888 nastąpił drugi atak paralityczny, który ostatecznie pozbawił poetę swobody ruchu i zwiastował zbliżający się koniec. Żegnając się ze światem i z twórczością w zbiorkach wierszy pod takimi charakterystycznymi tytułami jak „Strumienie jesienne" (Autumn Rivulets), „Podszepty niebiańskiej śmierci" (Whispers of Heavenly Death), „Od południa do gwiaździstej nocy" (From Noon to Starry Night), „Pieśni rozstania" (Songs of Parting), „Piaski na siedemdziesiątkę" (Sands at Seventy), „Żegnaj, fantazjo moja" (Good-bye, my Fancy), wreszcie wydane już pośmiertnie „Echa starych lat" (Old Age Echoes), — Whitman i w tych poezjach i w samym życiu codziennym zachował tę samą niezamąconą pogodę i spokojną ufność, które cechowały go zawsze. Bez śladu strachu oczekiwał śmierci, której w tych swych poezjach często wzywa jako dobroczynnego zakończenia ziemskiej fazy nieśmiertelnego bytu jednostki, i która wreszcie łagodnie zamknęła mu oczy w 73. roku życia.

2

Whitman jest jednym z najtrudniejszych do określenia i zaklasyfikowania zjawisk w całej literaturze powszechnej. Sam uważał się całe życie za poetę i powołaniem poetyckim się szczycił. Ale trzeba pojęcie poezji rozciągnąć bardzo szeroko by się w nim mieściła twórczość Whitmana. Przede wszystkim odbiega ona formą od przyjętych do jego czasu schematów rytmicznych nowoczesnej poezji angielskiej. Whitman, odkąd w pierwszym wydaniu „Leaves of Grass" znalazł swój właściwy styl, pisze stale długimi, wielozgłoskowymi, zupełnie swobodnymi wierszami, nie związanymi ani rymem ani określoną kadencją rytmiczną. Jeżeli tych wierszy nie uznajemy dziś po prostu za retoryczno-poetycką prozę, to nie

tylko dlatego, że oku narzuca się zewnętrzny podział tekstu na wersety, ale dlatego, że przy głośnej recytacji ucho chwyta w nich swoistą melodię, płynącą jednolitą, długą falą przez całe pasaże i całe utwory. Ten efekt melodyjny porównywano z wrażeniem, jakie robią chóry tragedii greckich z ich obfitością i rozmaitością rytmów: ale trafniejsze i bliższe rzeczywistej genezy whitmanowskiego wiersza jest ponoć porównanie z długimi wersetami Psalmów w tym recytatywno-śpiewnym wykonaniu, w jakim w klasycznej angielskiej wersji można je słyszeć podczas każdego nabożeństwa w świątyniach protestanckich Anglii i Ameryki. Na tym wspólnym wzorze biblijnym ponoć polega także uderzające podobieństwo w efekcie rytmicznym, jakie dostrzeżono między wierszem Whitmana a deklamatorską prozą osiemnastowiecznych „Pieśni Osjana", której do zupełnej tożsamości z tym typem wolnego wiersza brakuje tylko formalnego podziału na wersety.

Sam Whitman porównywał muzykę swych wierszy z muzyką oper Wagnera, z jej bujną obfitością melodyki i śmiałymi nieprawidłowościami. Ale piękniejszego porównania użył, gdy przypomniał sobie, jak to często biegał po wybrzeżu morskim, wtórując falom deklamacjami z Homera i Szekspira; stwierdza więc, że właśnie do wierszy jego poezji „właściwą analogię stanowi szum oceanu. Wiersze te, to płynne, kłębiące się fale, to powstające, to opadające, czasem słoneczne i gładkie, czasem rozszalałe od burzy, zawsze poruszone, zawsze jednakowo się toczące, ale zawsze rozmaite w rozmiarach i takcie uderzenia, nigdy nie dające wrażenia czegoś skończonego i ustalonego, zawsze poddające myśl o czymś, co leży poza tym wszystkim".

Innym jeszcze przykładem z przyrody usprawiedliwia Whitman nierówność i nieregularność swych wierszy, ich brak jednolitej struktury i formalnego poloru, gdy w starszych już latach, patrząc w potężną kamienną otchłań kanionu Platte w Stanie Colorado z jego fantastyczną rzeźbą nawarstwień geologicznych, taki nad nim snuje monolog:

„Czy zarzucano moim pieśniom, że zapomniały o sztuce?

Że nie zlewają się w całość według ścisłych jej reguł z wszystkimi subtelnościami?

Odmierzony takt lirycznego pienia, wdzięk wykończonej świątyni, — ociosana kolumna i wypolerowany łuk, — wszystko to ma być w nich zapomniane?

Ale ciebie, co bujasz wśród tych skał, — ciebie, duchu, coś nadał im kształty, — ciebie me wiersze wspomniały."

Przykładem przyrody także, — bujnością i zuchwałą rozmaitością jej zjawisk, uzasadnić chyba jedynie można prawdziwie oszałamiający charakter stylu i obrazowania tej poezji. Oczywiście, że nasuwa się i tutaj myśl o pewnych wzorach i wpływach literackich, — przede wszystkim, tak samo jak wobec rytmu wolnych wierszy Whitmana, o Biblii. A więc jest to samo, co w poezji starohebrajskiej, gromadzenie synonimów, wyrażanie jednakowej treści różnymi po kolei słowami, paralelizm całych zdań i zwrotów, powtórzenia w formie przeciwstawień, uzupełnień, stopniowania, — ale wszystko to rozlewa się daleko bogatszą rzeką niż w Piśmie Świętym; na miejsce stale tam panującej, symetrycznej dwutorowości wyrażenia, tu jest niekończąca się wielotorowość, a nad całym tym oceanem słownictwa stale huczy wicher uczuciowego uniesienia, kłębią się pod nim fale patetycznych okrzyków i retorycznych zapytań; przede wszystkim zaś obok symbolów i słów najwznioślejszych spotykamy tu stale słowa i obrazy najpospolitsze i najbardziej prozaiczne w śmielszym pomieszaniu z tamtymi niż bodaj gdziekolwiek indziej w piśmiennictwie angielskim. Whitman nie waha się mówić o łące kwiecistej jako o „perfumowanej chustce Pana Boga", porzuconej przezeń, z Jego nazwiskiem wyszytym w kącie, albo znowu o „listach Pana Boga", które na każdym kroku znaleźć można po ulicach wielkich miast, z Jego podpisem. Mówi o swej niegasnącej wierze w „ensemble przez Boga stworzone", o swoim „rendez-vous z Bogiem" za wrotami śmierci, o Bogu jako „wielkim Camerado", prawdziwym przyjacielu, za którym tęskni... Przytoczone wyrazy francuskie i hiszpańskie, to ślady pobytu na starej francusko-hiszpańskiej ziemi Nowego Orleanu, które Whitman bez ceremonii wprowadza do swojej angielszczyzny; wszakże i swych rodaków w Stanach nieraz nazywa „Americanos", i ich naczelnemu hasłu politycznemu nadaje hiszpańską formę „Libertad". Ale takie barbaryzmy językowe są drobnostkami wobec tych dosadności wysłowienia, jakimi Whitman bez ograniczenia szafuje, czerpiąc swobodnie ze słownictwa wszystkich sfer, stanów, zajęć zawodowych i zainteresowań umysłowych otaczającego społeczeństwa.

Jest bowiem świadomym dążeniem tego poety objąć jak najszerszy zakres doświadczenia życiowego i przelać je na papier w całym jego bogactwie. Stąd jedna z najdziwaczniejszych i najbardziej nużących właściwości jego poezji, — jej osobliwa encyklopedyczność. Są całe jego wiersze, składające się prawie tylko z rzeczowników, mianowicie z nazw przed-

miotów czy istot z jakiejś jednej określonej dziedziny, czy nawet z różnych dziedzin codziennego życia; te gromady wyliczanych po prostu zjawisk bywają powiązane między sobą jedynie faktem, że wszystkie są elementami doświadczenia, i poeta dodaje do ich listy ten jeden ogólny komentarz, jakie to wszystko dziwne, i że wszystko to musi przecież mimo odurzającej różnorodności mieć jakiś jednolity sens i cel. Ten sposób pisania był rozmyślny aż do mechaniczności: Whitman notorycznie wertował encyklopedie popularno-naukowe i w rozległych kajetach zestawiał sobie spisy słów z różnych kategorii wiedzy i życia praktycznego; raz nawet z rozbrajającą naiwnością zapisuje w swoim notatniku, że musi od znajomego zoologa wydobyć nazwę jak największej ilości owadów i „potem nanizać to wszystko na nić jakiejś wspólnej myśli." Tą drogą powstają wiersze jak ten w „Źdźbłach trawy", który jest rejestrem najrozmaitszych wrażeń słuchowych, od szumu zboża w polu i świegotu ptaków do muzyki orkiestralnej w mieście i śpiewu operowego, a kończy się wybuchem zdumienia nad tym „dziwem dziwów, który nazywamy bytem" (Song of Myself, 26).

Nic dziwnego, że wobec powtarzających się aż nazbyt często w poezji Whitmana tego rodzaju zestawień, nasunęło się jednemu z najpoważniejszych historyków literatury określenie „wokabularz systematyczny", a zniecierpliwieni krytycy amerykańscy często mówią o „katalogach licytacyjnych" (auction-sale catalogues). Już kilkadziesiąt lat temu jednak rozważny Anglik Dowden — jeden z pierwszych, co poznali się na prawdziwej wielkości Whitmana — słusznie zauważył, że silne filozoficzne przeświadczenie poety o jedności wszechbytu sprawia, iż cała ta graciarnia jego „katalogowej poezji" zlewa się w harmonijny zespół i otrzymujemy ostatecznie wrażenie, jakby się nam toczyły przed oczyma fale jakiejś bystrej, szerokiej, wielkiej, jednolicie płynącej rzeki. „Obfitość i różnorodność, a zarazem jedność i równorzędność zjawisk świata i życia nie mogłaby może w żaden inny sposób być lepiej wyrażona".

3

Uwaga Dowdena przeniosła nas od zewnętrznych cech twórczości Whitmana do zagadnienia, jaka jest właściwa treść duchowa, zawarta w tych barokowych formach.

Z każdego prawie utworu Whitmana silnie przemawia pogląd na świat, w zasadniczych swych rysach identyczny z fi-

lozofią transcendentalistów. Whitman sam powiedział, że „zagotowujący się kocioł jego myśli dopiero Emerson doprowadził do stanu kipienia." Jest więc Whitman, jak Emerson panteistycznym idealistą: świat jest jednością, i ożywiająca go jednolita duchowa rzeczywistość osłonięta jest obfitością i różnorodnością zjawisk naszego doświadczenia. Boski duch wszechbytu obiawia się nam przez przyrodę; to też przyroda dla Whitmana jak i dla Emersona, jest krynicą najgłębszej mądrości i najwyższych natchnień poetyckich. W jednym z najpiękniejszych i najszczerzej przeżytych swych wierszy opowia nam poeta jak za lat dziecięcych podczas swych samotnych wędrówek po rodzinnej wyspie (której na nowo nadał jej starą indiańską nazwę Paumanok), wsłuchując się w żałosne trele ptaka, co utracił swą samiczkę, chłopiec po raz pierwszy poczuł w sobie powołanie do poezji.

„Demonie czy ptaku!" (mówiła dusza chłopca),
„Czy to naprawdę do swej utraconej towarzyszki śpiewasz? Czy w rzeczywistości do mnie?
Bo ja, co byłem dzieckiem, o języku jeszcze uśpionym, teraz, gdym cię usłyszał,
W jednej chwili wiem, na com stworzony, budzę się,
I już tysiąc śpiewaków, tysiąc pieśni, jaśniejszych, donioślejszych, żałośniejszych niż twoje,
Tysiąc dźwięcznych odgłosów obudziło się do życia we mnie, by już nie zamrzeć".

Z panteizmem transcendentalnym łączy się — znowu jak u Emersona — sprzeczny z nim zasadniczo pierwiastek indywidualizmu. Najsilniejsza bodaj nuta w całej twórczości Whitmana. Głównym składnikiem tomu „Źdźbła trawy" jest długi (na 51 rozdziałów podzielony) poemat pod niedwuznacznym tytułem „Pieśń o mnie samym" (Song of Myself), a pierwsze słowa książki z całą siłą uderzają w tę przewodnią nutę:

„O własnym Ja śpiewam, o pojedyńczej odrębnej osobie,
A jednak wypowiadam słowo Demokracja, słowo En-Masse.
O cielesności człowieka od czuba aż do pięty śpiewam,
Bo ani zewnętrzne oblicze samo, ani mózg sam nie jest godnym przedmiotem dla Muzy; ja mówię, że całkowita osobowość jest daleko godniejsza pieśni.
O niewieście na równi z mężczyzną śpiewam.
O życiu bezkresnym w namiętności, w tętnie, w mocy,
O życiu pogodnym, stworzonym do swobodnego działania według praw boskich,

O nowoczesnym człowieku śpiewam".

W systemie myślowym Whitmana — zupełnie jak u Emersona — jednostka jest miarą wszechrzeczy i naczelnym moralnym autorytetem. Jest indywidualnym objawieniem boskiego ducha wszechświata: w tym właśnie punkcie indywidualizm styka się z panteizmem, z którym skąd inąd tak trudno się pogodzić. Whitman z niemniejszą stanowczością niż Emerson, a z właściwą mu jako poecie większą śmiałością wyrażenia, przypisuje jednostce ludzkiej atrybuty boskości:

„Boskim jestem na wewnątrz i na zewnątrz i czynię świętym wszystko czego się tknę lub czym dotknięty jestem,
Aromat mego ciała jest subtelniejszy niż woń modlitwy,
Głowa moja, to więcej, niż kościoły, biblie i wszystkie wiary".

I tak samo zawsze, — czy to będzie w „Pieśni na cześć zajęć ludzkich" (A Song for Occupations), gdzie gloryfikuje człowieka jako twórcę wszystkich wartości duchowych:

„Uważamy biblię i religię za rzeczy boskie. Ja mówię, że nie są boskie:
Mówię, że wszystkie wyrosły z ciebie i jeszcze z ciebie wyrastać mogą;
Nie one dają życie, lecz ty dajesz życie,
Jak drzewa wydają liście, a ziemia drzewa, tak ty je wydajesz z siebie".

Czy znowu w „Pieśni o globie ziemskim" (A Song of the Rolling Earth), gdzie człowiek daje cel i sens światu i całemu procesowi bytu:

„Ktokolwiek jesteś, czy mąż czy niewiasta, — tyś jest, dla którego ziemia jest stałą czy płynną, —
Tyś jest, dla którego słońce i księżyc wiszą na niebie, —
Dla nikogo bardziej niż dla ciebie nie istnieje nieśmiertelność".

Nieśmiertelność! Ona wszakże jest jednym z naczelnych atrybutów bóstwa. I w niezachwianym poczuciu jednakowości w tym względzie natury boskiej i ludzkiej leży podstawa owego podziwu godnego spokoju, z jakim Whitman stale patrzy na zjawisko śmierci jako na normalną część procesu kosmicznego.

W poważniejszych, ale bodaj jeszcze ufniejszych tonach sędziwy poeta w „Echach starości" (Old Age Echoes), patrząc na obraz znakomitego malarza amerykańskiego, Jerzego Inness „Dolina śmierci" i wspominając, jak widział niezliczone

zgony ludzkie w szpitalach wojennych i gdzie indziej, tak do śmierci przemawia:

„Ja sam już z dawna, o śmierci, każde tchnienie wydaję w twej bliskości i z cichą myślą o tobie.
I z tego wszystkiego i z ciebie
Tworzę widzenie i tworzę pieśń. Nie ma w niej trwogi przed tobą,
Ani ponurych otchłani, pustkowia ani ciemności; bo nie obawiam się ciebie,
Ani nie wielbię walki i zmagań i twardo zawiązanego węzła;
Śpiewam o rozległym błogim świetle, o przeczystych przestworzach, o ich zielonych łąkach, falujących wodach i drzewach i kwiatach i trawach,
O cichym szumie ożywczego powiewu, — a wśród tego wszystkiego widzę ciebie, piękna, wiekuista, prawa ręko Boża,
Ciebie, najświętszy ze sług nieba, ciebie, posłańcze, odźwierny, przewodniku ostateczny wszystkich,
Ciebie, bogaty, kwiatami zdobny wybawco od ciasnych więzów żywota,
Ciebie, słodką, spokojna, pożądana śmierci!"

Na taką wobec śmierci postawę wpływa także właściwy panteistom, jak Emerson i Whitman, zupełny spokój sumienia. Dla panteisty nie istnieje religijna trwoga przed sądem pozagrobowym nad sprawami naszego ziemskiego życia. Oto co mówi Whitman w „Myślach o czasie" (To Think of Time):

„Zdało mi się we śnie, że nie będzie tak wielkiej w nas zmiany, ani nie będzie zmiany w sprawie nad nami,
Że bohaterowie i ci, co czynili dobrze, będą nad prawem teraźniejszym i przeszłym,
I że zabójcy, opoje, kłamcy, będą pod prawem teraźniejszym i przeszłym,
Bo śniło mi się, że prawo, pod którym są teraz, wystarcza.
— — — — — — — — — —
I śniło mi się, że celem i istotą tego życia, jakie znamy, życia przemijającego,
Jest stanowić o kształcie i treści życia nieznanego, życia trwałego".

Z samych założeń panteizmu wynika swoisty fatalizm, odmienny od surowej wiary w predestynację starych kalwińskich sekciarzy kolonialnych czasów Ameryki, ale nie mniej niezachwiany w swej wierze w powszechną konieczność.

Whitman w swym wierszu „Pewniki" (Assurances) taki daje ostateczny wyraz tej wierze:

„Nie wątpię, że cokolwiek może się zdarzyć gdziekolwiek w jakimś czasie, przygotowane jest w związkach wszechrzeczy. Nie myślę, że życie przygotowuje wszystko i daje na wszystko czas i przestrzeń, ale wierzę, że niebiańska śmierć wszystko przygotowuje".

Z tego filozoficznego fatalizmu, który zawierają w sobie wierzenia panteistyczne, wynika także owa nieludzka niemal obojętność, którą dostrzegliśmy już u Emersona, wobec dręczących ludzkość od wieków zagadek cierpienia i zła. Whitman nie tylko nie zna strachu przed śmiercią, ale także nie zna zagadnienia zła, bo usuwa je ze swego widnokręgu tą, co Emerson, prostą drogą — przez energiczne zaprzeczenie:

„Jestem sam równie zły jak dobry, i takim jest też mój naród. Mówię, że naprawdę nie ma złego
(A jeżeli jest, to jest również ważne dla ciebie, dla kraju czy dla mnie, jak cokolwiek innego)".

Bardziej refleksyjnym, ale nie mniej stanowczym tonem, rozlega się ta afirmacja Dobra i negacja Zła we wierszu „Na drogach myśli", pisanym pod wrażeniem lektury Hegla, który na Whitmana silnie oddziałał (Roamig in Thought — after reading Hegel):

„Wędrując myślą po wszechświecie, widziałem, jak Dobro, którego w nim nie wiele, śpieszy pewnym krokiem ku nieśmiertelności, a ten bezmierny ogół, który zwą Złem, śpieszy ku rozpłynięciu się, zatraceniu i zanikowi".

W takim obrazie świata, w którym Zło nie ma realnego istnienia, nie ma także moralnej odpowiedzialności jednostki za jej uczynki: śmierć otwiera drogę do pewnego zbawienia, bo poza nią nie ma już winy ani kary. Tę pociechę w jednym z najrzewniejszych poematów Whitmana niesie gromadzie więźniów hymn, śpiewany przez nieznaną śpiewaczkę na nabożeństwie w kaplicy więziennej (The Singer in Prison):

„Biedna duszo uwięziona,
Bliskie już twe wyzwolenie;
Dziś czy jutro tyś zbawiona,
Śmierć ci niesie przebaczenie.
Nie masz hańby już ni plamy, —
Bóg otwiera więzień bramy!"

Tak samo jak w świecie przenikniętym na wskroś duchem bożym przestaje istnieć różnica między Dobrem i Złem, tak

wobec wiekuistej jedności tego świata traci znaczenie różnica między przeszłością a teraźniejszością. W świadomości jednostki ogniskują się wszystkie czasy. Tak więc i w panteizmie i w indywidualizmie ma oparcie to stanowisko niezależności od wszelkich tradycyj i autorytetów historycznych, które zajmowali transcendentaliści, i które zajmuje także Whitman. Choć sam braki swego formalnego wykształcenia uzupełnił przez rozległe oczytanie w arcydziełach poezji i filozofii wielu krajów i wieków, jednak w swych notatnikach zapisuje sąd, że „erudycja zajmuje niskie miejsce wśród ludzkich tytułów do sławy", bo „człowiek może sięgnąć wysokiej doskonałości i wiele dokonać bez niej", a poza stwierdzeniem i wywodami nauki są „miliony najpiękniejszych a zarazem najpowszedniejszych faktów".

Nie mniej stanowczo, jak od nagromadzonych zasobów wiedzy ludzkiej, uniezależnia Whitman swą samodzielną twórczość od historycznych skarbów dorobku literackiego ludzkości. On, co niestrudzenie się rozczytywał we wszystkich największych dziełach piśmiennictwa powszechnego, od Homera i Ajschylosa do Dantego i Szekspira, od „Wedów" do „Pieśni o Nibelungach", tak woła do swej Muzy:

„Pójdź, Muzo, wywędruj już z Grecji i Jonii.
Przekreśl, proszę cię, te wielokrotnie już przepłacone rachunki;
Te historie o Troi i gniewie Achilla, o wędrówkach Eneasza, Odysseusza;
Wywieś napis „Wyprowadzili się" i „Do wynajęcia" na skałach twego śnieżnego Parnasu...
Wiedz, że czeka na cię i wygląda ciebie lepsza, świeższa, żywsza sfera, rozleglejsze, niewypróbowane jeszcze królestwo".

Jak dostatecznie chyba widać już z powyższego zestawienia, wśród licznych podobieństw pomiędzy myślą whitmanowską i emersonowską jest i to, że i tu i tam nie brak jaskrawych sprzeczności, nierozwikłanych antynomij, niezaprzeczalnych niekonsekwencyj. Ale też Whitman z większą jeszcze niż Emerson nonszalancją zbywa zarzut braku konsekwencji. Jeżeli tamten powiedział, że „wielka dusza nic nie ma wspólnego z konsekwencją", to ten w „Pieśni o samym sobie" mimochodem rzuca słowa:

„Czy sprzeciwiam się sam sobie?
Więc dobrze, sprzeciwiam się!
(Jestem szeroki, mieszczę w sobie całe tłumy)".

Obok podstawowego pokrewieństwa w poglądzie na świat między Whitmanem a Emersonem są różnice, i to nie wyłącznie takie, które wynikają z większej u poety intensywności odczuwania i wysłowienia, ale są bardziej zasadniczej natury.

Przede wszystkim więc Whitman, nadając w swym myśleniu, jak Emerson, centralne stanowisko pojęciu osobowości jednostki, jednak w wyobrażeniu i przedstawieniu tej osobowości daleko więcej daje miejsca i przyznaje znaczenia cielesnej stronie natury ludzkiej, niż to kiedykolwiek w „lodowatej ekstazie" swojego wzniosłego indywidualizmu czynił Emerson, lub niż to postało w najśmielszych myślach takiego radykała-ascety jak Thoreau. Jest wręcz najbardziej uderzającą cechą tego epokowego zjawiska, jakim w literaturze amerykańskiej są „Źdźbła trawy", że tom ten przez swą żywiołową zmysłowość w traktowaniu wizerunku czołwieka i jego spraw stanowi rewolucję literacką przeciwko przyjętej do tego czasu purytańskiej powściągliwości wobec motywów płciowych w piśmiennictwie, posuwającej się często do obłudnego przemilczania całej tej ważnej dziedziny zjawisk życiowych. W tej właściwości głównego dzieła Whitmana leży przyczyna gwałtownych sprzeciwów, jakie przez długi czas wywoływało; jeszcze przy druku 7. wydania w r. 1881 popadł on w konflikt z władzami w Bostonie i musiał się przenieść z całym wydawnictwem do Filadelfii, a i dzisiaj jeszcze popularne wydania utworów Whitmana w Anglii i Ameryce zwykle są starannie oczyszczone od jego zbyt otwartych wzmianek o fizjologii erotycznej.

Nowsze badania nad historią kultury amerykańskiej stwierdziły, że zmysłowy ton poezji Whitmana, co tak gorszył purytańską opinię, nie był zupełnie odosobnionym objawem: okazuje się, że „gorączka złota", wywołana przez znalezienie wielkich jego pokładów w Kalifornii w r. 1848, odbiła się także na szybko wzbogacającym się handlowo-przemysłowym Wschodzie Stanów falą wzmożonej chęci używania i że ten prąd buntu przeciw tradycyjnej surowości znalazł nawet wyraz w gloryfikacji radości życia przez popularnego wtedy kaznodzieję nazwiskiem Henry Ward Beecher.

W dobie obecnej, gdy powieściopisarstwo XX wieku w obu krajach anglosaskich przyzwyczaiło nas do śmiałości w traktowaniu spraw płciowych, stanowiącej świadomą reakcję przeciw pruderii stulecia mieszczańskiego, i przewyż-

szającej nawet dawną swobodę francuską w tych rzeczach, patrzymy na erotyzm Whitmana oczywiście innym okiem niż jego współcześni. Przeszedłszy szkołę freudyzmu, stwierdzamy, że Whitman, postawiwszy sobie za zadanie poetycką gloryfikację jednostkowej natury ludzkiej w jej całości, szczerze i uczciwie usiłował wbrew panującym inhibicjom uwydatnić żywotne znaczenie pierwiastka erotycznego w życiu ludzkim i dlatego rozmyślnie poświęcił mu tak wiele miejsca w jednym z czołowych działów swego tomu „Dzieci Adama" (Children of Adam); co więcej, że przejęty swoim zasadniczym pojęciem o boskim dostojeństwie całej osobistości ludzkiej, chciał także popęd płciowy przedstawić jako coś uświęconego, jako objawienie twórczej duszy wszechbytu, i dlatego nie zawahał się mówić o rzeczach płciowych po prostu i po imieniu, bez tradycyjnych osłon wstydu. Trzeba tylko dodać, że przy wspomnianym już powyżej „katalogowym" charakterze wielu jego utworów — szczegóły erotyczne, włączane do jego nieskończonych wyliczeń, często grzeszą przeciw elementarnym zasadom umiaru i dobrego smaku, tak samo jak zresztą całe te nużące encyklopedyczne chryje.

Drugą obok erotyki dziedziną, w której Whitman przemawia z nieznaną jego epoce obfitością wymowy i siłą uczucia, jest dziedzina p r z y j a ź n i. Gdy dla Emersona przyjaźń miała znaczenie przede wszystkim jako środek wywoływania boskich energij w naturze człowieka, dla Whitmana jest rzeczą doniosłą samą w sobie, gdyż zaspokaja elementarną i żywotną potrzebę natury ludzkiej; toteż śpiewa on o przyjaźni z równym uniesieniem jak o miłości i używa o niej równie gorących wyrazów. Nie unika, mówiąc o przyjaźni, słowa l o v e („miłość"), a nawet o przyjaciołach używa słowa l o v e r s („kochankowie"), tak jak używał go Szekspir w swoich Sonetach, poświęconych ubóstwianemu młodemu przyjacielowi. Gdy jeszcze dodamy, że na kartach poezji Whitmana częste są wzmianki o pocałunkach i uściskach, wymienianych między przyjaciółmi-mężczyznami — co przecież nie odpowiada zwyczajom anglo-amerykańskim, chłodniejszym w tym względzie od naszych, — to nie można się dziwić, że sekcja, poświęcona kultowi przyjaźni w „Źdźbłach trawy", zatytułowana C a l a m u s („Kiść trzciny") i uzupełniona później przez publikację (pod tym samym tytułem) listów, wymienianych między poetą a młodym jego przyjacielem, konduktorem omnibusowym w Washingtonie, — nasunęła niektórym komentatorom przypuszczenie o istnieniu w naturze poety skłonności homoseksualnych. Je-

den z nich, wybitny angielski znawca Odrodzenia i zarazem autor znakomitej o Whitmanie monografii, John Addington Symonds, nie uspokoił się nawet, aż otrzymał od Whitmana samego zapewnienie, że homoseksualna interpretacja tych wylewów uczuć jest niesłuszna. Ale gdy pytanie ponowił H. Traubel, autor wydanych pośmiertnie „Rozmów z Whitmanem", Whitman odpowiedział wymijająco, że „może pieśni te znaczą mniej, a może więcej niż myślał, może sam nigdy dostatecznie nie wiedział, co znaczą w istocie; że chyba nie zdaje sobie sprawy z całej ich treści. „„Najbliższą prawdy wobec takiego oświadczenia może jest hipoteza, że utwory te stanowią — by użyć języka freudyzmu — „wysublimowanie" w kształty poetyckie niespełnionych w rzeczywistości tęsknot i porywów. To samo przypuszczenie zresztą nasuwa się wobec wspomnianych już wybujałych elukubracyj z zakresu normalnej erotyki w cyklu „Dzieci Adama"; bo Whitman, choć w starości „próbował zgorszyć swych młodocianych biografów rzekomymi, licznymi przygodami miłosnymi z kobietami i ojcostwem sześciorga nieślubnych dzieci", i choć w kilku swoich wierszach z głęboko ludzką litością mówi o biednych ofiarach prostytucji, jakie na drodze życia spotkał, jednak w gruncie rzeczy, zdaje się, nie był naturą skłonną do pogoni za wzruszeniami erotycznymi, i to może ani w dziedzinie normalnego ani anormalnego erotyzmu. Jego sympatie ludzkie były po prostu zbyt szerokie i powszechne na taką życiową indywidualizację, Sam wyraz „miłość", którym tak hojnie szafuje na określenie przywiązania, sympatii, przyjaźni między ludźmi w ogóle, ma, jak jeszcze zobaczymy, w jego zrozumieniu znaczenie ogólniejsze o odcieniu polityczno-społecznym. Jeżeli jednak tak jest, i jeżeli zarówno pozorom homoseksualizmu jak wybujałościom erotycznym w jego poezji możemy przypisać charakter raczej imaginacyjno-literacki, to tak samo jak w traktowaniu przez poetę przedmiotów erotycznych trudno było nie dostrzec wykroczeń przeciw umiarowi artystycznemu, tak jego uczuciowemu sposobowi mówienia o przyjaźni można zarzucić brak męskości, choć sam Whitman męskością właśnie bardzo lubi się przechwalać. Ale niemęskim wydał się nie jednemu z krytyków angielskich i amerykańskich także ten ton rozczulenia, w jaki Whitman nieraz uderza w swych wynurzeniach nad pięknością przyrody. Tu już wkraczamy w dziedzinę oceny subiektywnej, zależnej od temperamentu osobistego, charakteru narodowego i panujących nastrojów epoki. To pewne, że przesada reto-

ryczna i sentymentalna w wielu dziedzinach i kierunkach stale cechuje poetycke wysłowienie Whitmana.

Przechodzimy z kolei do innej ważnej różnicy zasadniczej między myślą Whitmana a transcendentalistów. Wyraża się ona symbolicznie już w fakcie, że Whitman najobszerniejszemu z utworów swojego pierwszego cyklu bez ogródek nadał tytuł „Pieśń o mnie samym", zarazem jednak cały tom nazwał „Źdźbłami trawy", chcąc przez to zaznaczyć jednakowość i pokrewieństwo całej masy typowych jednostek ludzkich. Słyszeliśmy już, jak dobitnie Whitman, zaraz w pierwszych słowach czołowego wiersza swego tomu, oświadcza, że śpiewa „o własnym ja, o pojedyńczej i odrębnej osobie", ale zarazem „wypowiada słowo Demokracja, słowo En-masse". Ta dwutorowość myśli — gloryfikacja indywiduum obok gloryfikacji człowieka w demokratycznym społeczeństwie — ciągnie się przez całą jego poezję. W przedmowie do szóstego wydania „Leaves of Grass", puszczonego w świat jako „jubileuszowe" (Centenary Edition w 100-ną rocznicę Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, 1876), Whitman wyjaśnia, że książka ma być „poematem przeciętnej osobowości" (the Poem of Average Identity) i jeszcze dodaje: „czyli osobowości t w o j e j, ktokolwiek jesteś, co czytasz te słowa..." A w samym tekście utworów wciąż na nowo akcentuje, że śpiewając o własnym j a, nie chce bynajmniej idealizować swej osoby i stawiać jej na piedestale nad innymi, lecz właśnie pod jej postacią dać wizerunek jednostki typowej. Tak w „Pieśni o mnie samym" (rozdział 24) z rozmyślną dosadnością wyrazu zaczyna się od słów:

„Walt Whitman, świat sam w sobie (a kosmos), syn Manhattanu (śródmieścia Nowego Yorku),
Bujny, mięsisty, zmysłowy, jedzący, pijący, płodzący,
Nie czułostkowiec, nie wywyższający się ponad mężów i niewiasty, i nie trzymający się z dala od nich,
Ni skromny ni nieskromny...

— — — — — — — — — —

Wypowiadam odwieczny parol, daję znak demokracji,
Na Boga! nie przyjmę niczego takiego, czego odpowiednika nie mogą mieć wszyscy na tych samych warunkach".

— — — — — — — — — —

We wcześniejszym rozdziale (16) tego samego poematu autor expressis verbis deklaruje swą wspólnotę z wszelakimi typami ludzi:

„Jestem z młodych i ze starych, z głupich zarówno jak z mądrych,

Nie dbający o innych, zawsze dbający o innych,
Macierzyński zarazem i ojcowski, dziecko zarazem i mąż,
Wypełniony tym co pospolite i tym co delikatne,
Jeden z narodu, na który złożyło się wiele narodów, najmniejszych i największych jednako,
Towarzysz flisaków i górników, towarzysz wszystkich, co dłoń uścisną i zaproszą do jadła i napoju,
Uczeń na równi z najprostszymi, nauczyciel na równi z najbardziej myślącymi,
Nowicjusz, początkujący, a jednak bogaty w doświadczenie lat niezliczonych,
Jestem z każdej rasy i kasty, z każdego stanu i każdej wiary,
Rolnik, robotnik, artysta, pan, żeglarz, kwakier,
Więzień, sutener, chuligan, sędzia, lekarz, duchowny".

Przez to wszystko objawia się nam Whitman jako natura rdzenniej demokratyczna w elementarnym znaczeniu słowa niż wszyscy transcendentaliści. Był przecież i Emerson przekonany, że jego doktryna filozoficzna o górującej wartości jednostki ludzkiej zgadza się z istotą demokracji; ale widzieliśmy, jak stanowczo ten zadumany arystokrata ducha odgradza się od demokracji politycznej w jej codziennych przejawach w potocznym życiu otaczającej społeczności amerykańskiej. Whitman, który po całych Stanach szuka styczności z ludźmi z ludu pracującego i wszędzie swobodnie się z nimi brata, nie stroni także od pospolitszych i powszednich aspektów demokracji społecznej i politycznej; raczej można powiedzieć, że umysłowość jego ostatecznie się kształtuje pod wpływem jej form, jakie zapanowały z chwilą wyboru na prezydenta w r. 1829 popularnego a prostackiego generała Andrzeja Jacksona, za którym wtargnęły do Białego Domu w Washingtonie nie widziane tam przedtem hordy nieokrzesanych jego zwolenników z lasów i prerii Zachodu. Whitman sam w prawdzie nigdy w późniejszych latach udziału w życiu politycznym nie bierze, a w takim refleksyjnym dziele swego starszego wieku jak „Perspektywy demokracji" (Democratic Vistas) znajduje, jak widzieliśmy, słowa stanowczego osądu na różne nadużycia, toczące ustrój republiki, ale w całej swej twórczości nigdy nie przestaje entuzjastycznie głosić zasadniczych haseł demokracji integralnej. Francuskie rewolucyjne godło „Liberté, Egalité, Fraternité," przyobleka w swoistą, bardziej nowoczesną szatę, gdy do studentów wszechnicy „Dartmouth College" woła w r. 1872 w hymnie na dzień ich akademickiego święta:

„Oto, patrzcie, wschodzą trzy gwiazdy niezrównane,
By jaśnieć od narodzin nad moim krajem: Wspólnota, Postęp, Wolność (Ensemble, Evolution, Freedom),
Osadzone na niebie Prawa!"

Zwięźlej zaś jeszcze całą treść jego demokratycznego credo zamykają w sobie te słowa, które jak prawdziwy refren przewijają się przez całą jego poezję i coraz wyłączniej stają się jego naczelnym i ostatecznym nakazem społecznym, — słowa „prawdziwa miłość towarzyszy" (the true love of comrades). Te słowa starczyły mu za wszystkie programy polityczne i statuty organizacyjne, tak samo jak na ustach św. Jana w jego starości wszystkie nauki Nowego Zakonu streściły się w powtarzanym wciąż jego powiedzeniu: „Byście się wzajemnie miłowali".

„Słyszę, że mi zarzucano" — woła Whitman — „iż pragnę burzyć instytucje,
Ale ja naprawdę nie jestem ani za instytucjami ani przeciw nim;
(Cóż w istocie mam wspólnego z nimi? Albo co z ich burzeniem?)
Ja tylko chcę ustanowić w Mannahatta i w każdym mieście tych Stanów, czy w głębi lądu czy nad morzem,
I w polach i w lasach i na każdym statku, wielkim czy małym, co pruje wody,
Bez gmachów i ustaw, bez administratorów i bez wszelkich dyskusyj,
Chcę ustanowić instytucję serdecznej miłości towarzyszy" (1860).

Ta miłość towarzyszy snać wydawała się Whitmanowi potrzebną i właściwą przeciwwagą przeciw tym anarchicznym i antyspołecznym jednostronnościom, którymi groził w swych skrajnych zastosowaniach emersoński indywidualizm. Whitman w przeciwieństwie do filozofujących odludków w Concord jest naturą na wskroś towarzyską; czuje się dobrze wśród tłumów wielkomiejskich, podobnie jak współczesny mu Dickens, dla którego przecież także prosty nakaz miłości między ludźmi był ostatnim wyrazem mądrości politycznej i reformy społecznej.

5

Tu doszliśmy do jednej jeszcze fundamentalnej różnicy między wejrzeniem na świat Whitmana a transcendentalistów. Szlachetny idywidualizm Emersona był wykwitem abstrakcji

myślowej, a jego glebą macierzystą było pożycie z dziewiczą naturą, do której myśliciel wciąż powraca po potwierdzeniu swych panteistycznych wierzeń i indywidualnych osądów. Whitman, tak samo jak z indywidualizmem łączy głęboki instynkt demokratyczny, tak z entuzjazmem dla natury — nie mniejszym, niż u Emersona — łączy zgoła obcy Emersonowi zmysł sympatii dla tych rojnych ośrodków wielkomiejskich, które od wczesnych lat życia tak dobrze poznał. W całej jego poezji obok pełnych najgłębszego uczucia apostrof do natury, wciąż spotykamy antyfony do tłumnych ulic Nowego Yorku, do tłoczących się okrętów w jego porcie, do rozlicznych innych wielkich zbiorowisk ludzkich po całej ogromnej przestrzeni Stanów. Oto jak przemawia poeta do otaczającej go fali ludzkiej na tym promie brooklyńskim, którym tak lubił jeździć:

„Wy, roje mężczyzn i kobiet ubranych w codzienne stroje, jak wy mnie zaciekawiacie!
Na statkach przewozowych, te setki i setki ludzi, co się przeprawiają, powracają do domu, wszystko to ciekawsze dla mnie niż przypuszczacie,
I wy, co będziecie jeździli od brzegu do brzegu, po wielu latach, więcej dla mnie znaczycie i więcej zajmujecie me myśli, niż byście mogli przypuszczać".

A wprost paroksyzmem tego namiętnego zaciekawienia życiem rojowisk ludzkich jest taki okrzyk w jednym z wierszy późniejszych:

„O życie, wytężone życie, pełne po brzegi i urozmaicone!
Życie teatru, gospody, wielkiego hotelu, — to życie dla mnie!
Salon na parowcu, tłumna wycieczka, pochód z pochodniami — tam mi być!

— — — — — — — — — —

Tłumy Manhattanu, z nieprzerwaną muzyką waszego gwaru!
Twarze i oczy Manhattanu, was mi potrzeba na zawsze!"

Ten urbanizm Whitmana — zjawisko równie nowe w literaturze poetyckiej około połowy XIX wieku, jak nowym jeszcze był wtedy sam potężny rozrost wielkich skupień handlowo-przemysłowych — jest jedną z najbardziej nowoczesnych cech jego geniuszu, czyni go poprzednikiem takich piewców zmechanizowanego świata miast jak wielki Belg XX wieku Emile Verhaeren, — i razem z nimi stawia go wśród

wieszczów naszej dzisiejszej cywilizacji z jej rozmachem, jej ogromem i — jej potwornościami.

Z tym urbanistycznym składnikiem natury poetyckiej Whitmana ściśle się kojarzy jego zmysł dla aktualności w poezji. On, co nigdy na arenę wielkich działań publicznych nie wystąpił, potrafił wziąć asumpt do wierszy z takich sensacyjnych wypadków dnia, jak przyjazd do Ameryki pierwszego poselstwa japońskiego (1860) lub ukończenie kanału sueskiego (1871). Umiał zwrócić się z wyrazami sympatii do prześladowanego rewolucjonera z Europy (To a Foil'd European Revolutionnaire), ze słowami otuchy i wiary w jej „gwiazdę" do pobitej Francji w r. 1871 (The Star of France), wreszcie z pełną synowskiej niemal czułości apostrofą do „starej Irlandii" (Old Ireland), do której jako do uciśnionej i zgnębionej macierzy wzdychało tylu jego współobywateli irlandzkiego pochodzenia.

Już w tym wierszu do Irlandii silną nutą rozbrzmiewa wiara w przyszłość tej Ameryki, w której tylu uratowanych synów Irlandii znalazło nową ojczyznę i prowadzi nowe i szczęśliwsze życie. Mamy tu zapowiedź tych potężnych akcentów politycznego patriotyzmu, w które raz w raz uderza Whitman, — uderza z wielkim deklamatorskim gestem i często aż nazbyt hałaśliwie. Dla niego nie tylko nie ma wątpliwości, że przyszłość kultury ludzkiej i przyszłość Ameryki, to jedno; ale on wierzy i w to, że cały boski plan świata, ten panteistyczny proces rozwoju, prowadzący do ostatecznej wszechwładzy dobra, urzeczywistni się za sprawą Ameryki. „I ty, Ameryko", — tak woła w „Pieśni o powszechności" (Song of the Universal) — „dla doprowadzenia tego planu do jego szczytu i w idei i w rzeczywistości, — dla tych rzeczy (a nie dla siebie samej) wstąpiłaś w dzieje świata". Zrozumienie tej misji Ameryki jest potrzebą i obowiązkiem powszechnej świadomości kulturalnej; toteż tak się Whitman odzywa „Do krajów obcych" (To Foreign Lands) u samego progu swego tomu:

„Słyszałem, że żądaliście czegoś, coby wam pomogło zgłębić zagadkę Nowego Świata
I określić należycie Amerykę, jej atletyczną demokrację,
Więc posyłam wam moje poezje, byście w nich ujrzeli to, czegoście pragnęli".

Z licznych wybuchów tego mesjanizmu amerykańskiego, niejednokrotnie rażących swą bombastycznością, na wyszczególnienie dla głębszych wartości swej treści i formy zasługują dwa z piękniejszych wierszy Whitmana. Jeden z nich, to entu-

zjastyczny hymn do „Pionierów" (Pioneers! O Pioneers!), których rolę w ekspansji Stanów Zjednoczonych ku zachodnim krańcom kontynentu wprowadziła do literatury amerykańskiej twórczość Coopera; w zachwyconej wyobraźni Whitmana spływa się ona z przeznaczeniem i powołaniem całego narodu amerykańskiego w stosunku do reszty świata:

„Czy starsze narody stanęły w miejscu? Czy chylą się i kończą swe zadanie, znużone, tam za morzami?
My podejmujemy wiekuisty trud i ciężar i zadanie.
Pionierzy, o pionierzy!
Całą przeszłość pozostawiamy za sobą,
Przed nami świat nowszy, potężniejszy, rozmaity,
Świeży i mocny ten świat nowszy, który posiądziemy, świat trudu i postępu,
Pionierzy, o Pionierzy!"

W innym utworze przemawia do poety jeden z tych olbrzymów drzewnych, jakie się napotyka w odwiecznych lasach Kalifornii (Song of the Redwood-Tree). Puszcza już pełna łoskotu toporów, sędziwe drzewo niebawem padnie pod ich ciosami: i tu już dotarli „pionierzy" cywilizacji amerykańskiej. Ale weteran lasu spokojnie godzi się ze swoją dolą i tak się odzywa do swych wiekowych współtowarzyszy leśnych:

„Bez żalu ustępujemy, dostojni moi bracia;
My także górnie przeżyliśmy swój wiek;
Ze spokojną pogodą natury, z milczącą, potężną rozkoszą
Witamy to, na cośmy pracowali przez całą przeszłość,
I pozostawiamy pole dla nich.
Dla onych z dawna zapowiedzianych,
Dla plemienia dumnego, co także górnie swój wiek przeżyje,
Dla nich zrzekamy się siedzib naszych, w nich odżyjemy my, królowie boru!
W nich te niebiosa i przestworza, te szczyty górskie, Szasty i Newady,
Te olbrzymie, przepaściste skały, te przestrzenie, te doliny aż do dalekiego Yosemite,
Wszystko w nich będzie wchłonięte i do nich upodobnione."

I jak zawsze u Whitmana, tak i tutaj, patriotyzm amerykański, obejmujący najszersze widnokręgi, przeradza się w swoisty kosmopolityzm: zasłuchany w głos starego drzewa, poeta ma widzenie wielkiej przyszłości świata:

„Świeżo przybyłego w świat nowy, ale z dawna przygotowany,
Widzę ducha nowoczesności, dziecię rzeczywistości i ideału,
Jak toruje drogę całej szerokiej ludzkości, tej prawdziwej
Ameryce, spadkobierczyni tak wspaniałej przeszłości,
By jeszcze wspanialszą budowała przyszłość."

Jeszcze jeden moment zasługuje na szczególne wspomnienie jako właściwość myśli poetyckiej Whitmana, odróżniająca ją od spekulacji Emersona. Emersona nie oszołomiły nowe teorie przyrodnicze XIX wieku, bo je bez trudności pogodził ze swymi panteistycznymi wierzeniami; ale też jako urodzonego humanistę i idealistę nie zbyt go interesowały. Whitman, który tak dużo w swej poezji się zajmuje fizyczną stroną życia ludzkiego i tak intensywnie i instynktownie współżyje z przyrodą, z natury rzeczy żywiej się interesuje nowymi doktrynami biologicznymi i usilnie się stara uzgodnić z nimi treść swej twórczości. W lot przyswaja sobie unoszące się w atmosferze epoki pojęcie ewolucji, i wciąż nim w swych utworach szermuje; obok zasad nowoczesnej demokracji jest ono tą ideą, której najbardziej pragnie dać poetycki wyraz, i więcej mu na tym zależy, niż na związku z wielką tradycją dawnych arcydzieł literackich. Idea ewolucji w tej formie, w jakiej wyznaje ją Whitman, wiele ma wspólnego z tym ewolucjonizmem filozoficznym, któremu równocześnie nadawał kształty w Anglii Herbert Spencer w wielkim dziele swojego życia. A więc jest tu więcej niż u przyrodników pojęcia określonych celów, do których wszelki rozwój w świecie istot żywych zdąża; jest właściwy już transcendentalistom nastrój optymistyczny i właściwe im przeświadczenie o zgodności między doktryną ewolucyjną a religijnym pojmowaniem świata. Ewolucja w świecie w tym rozumieniu, to ewolucja boskiej istoty wszechświata, urzeczywistniającej się i objawiającej coraz pełniej i doskonalej. Hegelianizm, w który się Whitman zagłębiał pod wpływem transcendentalistów, spotyka się tu z późniejszym darwinizmem i spencerianizmem. Ewolucja, to nic innego jak boski plan świata, a godnym jego rzecznikiem może być tylko poeta, którego zadaniem jest uzupełnić w tym sensie dzieło badacza przyrody.

Ze sposobu, w jaki jego twórczość poetycka spełniła tę część swej misji, sam Whitman nie był ostatecznie w pełni zadowolony. Patrząc wstecz na usiłowania całego życia w no-

tatkach pamiętnikarskich swych starych lat, wyraża ubolewanie, że organiczne zespolenie własnej twórczości poetyckiej z przewodnimi ideami epoki udało mu się tylko w niezupełnej mierze. Oto jego charakterystyczne oświadczenie w tej rzeczy:

„Wiele wyśpiewano pieśni — pięknych, niezrównanych pieśni — dostosowanych do innych krajów niż nasze, do innego ducha i innego stopnia rozwoju; ale ja chciałbym śpiewać i włączać do mej pieśni z wykluczeniem innych rzeczy tylko to, co się odnosi do Ameryki i do dnia dzisiejszego. Nowoczesna nauka i nowoczesna demokracja jakby rzucały wyzwanie poezji, by im dała wyraz w swych wypowiedziach, w przeciwieństwie do pieśni i podań przeszłości. Jak teraz widzę (może za późno), nierozważnie podjąłem to wyzwanie i takich wypowiedzi poetyckich spróbowałem; nie podjąłbym się tego dziś, bo dziś lepiej wiem, co to znaczy".

Mimo skromności tego wyznania ze strony poety, który na ogół skromnością zgoła nie celuje, wypada właśnie w tym wypadku stwierdzić, że ideą ewolucji, tą swoistą demokratyzacją żywego świata przyrody, udało się Whitmanowi niezwykle głęboko i z uderzająco nieraz oryginalnym efektem przepoić swą poezję.

6

Uprzytomniwszy sobie w zarysie niektóre naczelne właściwości — zarówno dodatnie jak ujemne — twórczości Whitmana, wziętej jako całość, zastanówmy się jeszcze nad zagadnieniem, czy dadzą się stwierdzić w długoletnim paśmie tej twórczości jakieś przemiany rozwojowe.

W jaki sposób dokonało się przejście od konwencjonalnej formy regularnych, rymowanych wierszy i moralizujących powiastek prozą młodego Wihtmana do tego rodzaju wolnego wiersza, jakim stale pisał później, i do tej zdumiewającej treści ideowej i obrazowej, jaką go wypełniał, — to pozostaje tajemnicą osobistą poety. Wiemy od niego samego, że pierwszy tekst „L e a v e s o f G r a s s" był drukowany „po licznych zmianach w rękopisie", i że autor „miał wiele kłopotu z usunięciem zdawkowych poetyckich zwrotów, ale wreszcie mu się to udało"; jednakowoż ogłoszone później wśród jego „Notatek i fragmentów" pierwsze wersje i odrzucone urywki różnych jego utworów już wszystkie nacechowane są późniejszym jego stylem. Z tym więc stylem, ostatecznie uformowa-

nym w tomie z r. 1855, musimy się liczyć jako z czymś danym w stanie gotowym, i możemy zadawać sobie pytanie, czy po tej pamiętnej publikacji ideologia poetycka Whitmana przechodzi jeszcze raz przez jaką ewolucję.

Otóż, jak już była sposobność zaznaczyć, w samym życiu pisarza przełomowe znaczenie miała wojna domowa lat 1861—65 i jego samarytańskie służby w tym czasie. Whitman poznał z bliska cały ogrom cierpień ludzkich, poznał śmierć w rozmaitych jej postaciach, mógł obserwować tysiące bliźnich swych w momentach tych krytycznych przeżyć duchowych, jakie są wynikiem wszystkich okropności wojennych. Trudno sobie wyobrazić, żeby to wszystko nie było wywarło głębokiego wpływu nie tylko na charakter człowieka, ale także na myśli, wyobrażenia i uczucia poety. Musiało to nowe zbliżenie do cierpiących współbraci ze wszystkich stanów wzmocnić ową rdzennie demokratyczną nutę równości i braterstwa między ludźmi, którą, jak już wiemy, rozbrzmiewa cała poezja Whitmana; ale ponadto wielkie to przeżycie zmieniło także do pewnego stopnia zasadniczą postawę poety wobec zagadnień metafizycznych.

Widzieliśmy, jak wszechwładnie panuje w „Źdźbłach trawy" żywiołowe poczucie jedności procesu kosmicznego i jedności natury ludzkiej, ów monizm panteisty, będący w swej istocie zarazem optymizmem metafizycznym, — i jak silnie w tym tomie na każdym kroku akcentowane jest znaczenie cielesności człowieka, jak entuzjastycznie ona jest gloryfikowaną. Z tej jednostronności materialistyczno-zmysłowej, którą Whitmanowi z tej racji nie bez słuszności zarzucano i którą się może ponad miarę gorszono, zdawał sobie jednak sprawę także sam poetą: nawet w swym panteistycznym idealizmie, natchnionym przez transcendentalistów, nie był do tego stopnia monistą, by nie odczuwać różnic i biegunowych przeciwieństw pomiędzy cielesną a duchową stroną naszej istoty. To też zamierzał Whitman uzupełnić „Źdźbła trawy" drugą częścią, w której pierwiastki duchowe natury człowieka zajęłyby podobnie górujące stanowisko jak pierwiastki cielesne wśród tematów tomu z r. 1855. O tym planie sam Whitman opowiada w następujących słowach:

„Było pierwotnie moim zamiarem po wyśpiewaniu w „Źdźbłach trawy" pieśni o ciele i bycie naszym, ułożyć tom dalszy a równie potrzebny, oparty na tej wierze w pierwiastki stałe i wieczne, która, obejmując sobą wszystko co było przedtem, ostatecznie nadaje duszy niewidzialnej władzę nieograni-

czoną. Zamierzałem, poniekąd snując dalej przedmiot moich pierwszych pieśni, niejako zmienić przeźrocza i ukazać problem i paradoks tej samej płomiennej, w pełni wyposażonej osobowości ludzkiej, wstępującej w sferę nieprzepartego ciążenia praw duchowych, z pogodnym obliczem uznającej śmierć nie jako zakończenie ale jako to czym w moim poczuciu być musi, mianowicie jako wstęp do nieporównanie większej części naszego bytowania, jako coś co przynajmniej w równej mierze jest celem życia jak życie samo.

Ale całkowita budowa takiego dzieła jest ponad moje siły, i musi być pozostawiona jakiemuś bardowi przyszłości. Pierwiastki cielesne i zmysłowe, same w sobie czy w swoich bezpośrednich oddziaływaniach, zachowują nad moją wyobraźnią władzę, która chyba nigdy nie może całkowicie ustać; i od tego ich panowania nie tylko nigdy się nie odrzekałem, ale nawet nie pragnąłem, by osłabło".

Nie mamy powodu nie wierzyć wyznaniu samego poety, że w samym założeniu nie czuł się uzdolnionym ani usposobionym do stworzenia owej drugiej części swej projektowanej kompozycji poetyckiej; ale nasuwa się przypuszczenie, że byłby się może na to uzupełnienie swego dzieła zdobył, gdyby ofiarne wysiłki w służbie szpitalnej nie były nadwerężyły wszystkich jego sił żywotnych. Jeżeli jednak istotnie zachodzi tragiczna możliwość, że najbardziej heroiczny okres życiowej działalności Whitmana pozbawił ludzkość ważnej i może szczytowej części jego dzieła, to jeszcze wobec tego, co rzeczywiście stworzyć zdołał, pozostaje pytanie, czy jednak owa służba dla cierpiących współbraci nie pozostawiła jakichś moralnie a nawet artystycznie dodatnich śladów w dorobku twórczym pozostałych jego lat.

Otóż niewątpliwie jest tak rzeczywiście. Z zupełną słusznością stwierdza w swej ocenie Whitmana przenikliwy francuski historyk literatury amerykańskiej, Régis Michaud, że na skutek owych przejmujących przeżyć wojennych rozlega się odtąd w twórczości Whitmana, choć tylko półgłosem, jakaś nowa nuta; że nie daje mu spokoju zagadnienie życia pozagrobowego, że Whitman, „spotkawszy się z duszą", obraca wzrok swego ducha na wewnątrz, że na miejsce dawnego żywiołowego „kosmizmu" coraz bardziej poczyna panować w jego poezji mistycyzm.

Na to pogłębienie, uduchowienie i wysubtelnienie poezji Whitmana po okresie samarytańskim wybitnych przykładów dostarczają dwie pozycje z jego późniejszej spuścizny.

Pierwsza z nich, to ów cykl zatytułowany „Werble" (Drum-Taps), który składa się z obrazków z samej wojny. Wyróżniają się one wśród dzieł Whitmana przede wszystkim uchwytnością treści i realizmem opisów: rzadziej tu pływamy po bezkresach mętnej retoryki, a częściej oglądamy zamknięte w małych ramach, zwarte i wyraziste sceny. „Kawaleria w drodze przez bród" (Cavalry Crossing a Ford), „Korpus armii w marszu" (An Army Corps on the March), „Biwak na stoku góry" (Bivouac on a Mountain Side), „Stary generał osaczony" (I saw Old General at Bay), — to małe arcydzieła batalistyki w słowach, które mogłyby być natchnieniem jakiegoś amerykańskiego Wojciecha Kossaka. Po wtóre zaś, raz w raz rozlegają się akcenty tak rzewnego współczucia z cierpieniem ludzkim, tak delikatnego zrozumienia dla wszystkiego co porusza serca ludzkie, tak głębokiej czci dla „nieznanego żołnierza" i jego cichego bohaterstwa, że zadziwiać nas musi przemiana, dokonana w naturze poety, który dawniej sadził się na efekty silne, nawet brutalne, na objawy uczuć namiętnych a prymitywnych. A więc wzruszający opis rodziny rolniczej wśród pól Ohio, zgromadzonej nad listem ze szpitala, donoszącym o śmiertelnej ranie najstarszego syna (Come up from the fields Father...).

Albo „Czuwanie nocne na polu bitwy" (Vigil strange I kept on the field one night) — czuwanie bez łzy i bez słowa nad zwłokami poległego nagle najbliższego towarzysza broni, i składanie ciała do ziemi w półmroku poranka; — albo pośpieszne opatrywanie śmiertelnie rannego podczas przerwy w marszu odwrotowym, i ostatnie z konającym pożegnanie (A March in the Ranks Hard-prest, and the Road Unknown); — albo widzenie trzech poległych, złożonych na noszach pośród namiotów, — siwego starszego człowieka, młodzieńca w kwiecie lat, i trzeciego, co w śnie śmierci wygląda jak Chrystus „zmarły a boski i brat nas wszystkich, a tu zabity na nowo" (A Night in Camp in the Daybreak Grey and Dim); — albo napotkany na wędrówce w głębi lasów Wirginii samotny grób żołnierski z wymownym napisem „Śmiały, przezorny i wierny, a mój ukochany towarzysz" (Bold, cautious, and true, and my loving comrade — refren wiersza: As Toilsome I Wander'd Virginia's Woods); — albo wreszcie bodaj najbardziej ujmujący swą szlachetnością krótki wierszyk „Pojednanie" (Reconciliation):

„Słowo nad wszystkie słowa, słowo piękne jak niebo,
Słowo głoszące, że wojna i wszystkie jej krwawe dzieła
muszą wreszcie zginąć w otchłani czasu,

Że ręce dwóch sióstr, Śmierci i Nocy, bezustannie łagodnie obmywają na nowo i wciąż na nowo ten zbrukany świat;
Bo oto mój nieprzyjaciel nie żyje; człowiek boski, jak ja sam, nie żyje;
Patrzę, gdzie on leży, biały i cichy, w trumnie, i zbliżam się, —
Pochylam się i lekko dotykam ustami białego oblicza w tej trumnie".

Wszystko to odsłania nam skarby uczuć dotychczas tłumionych przez rozmyślnie gwałtowne gesty, a teraz ujawnionych, gdy tragedia wojny wciągnęła poetę w krąg najboleśniejszych spraw ludzkich.

Tragedię wojny tragicznym grzmotem zakończyło zamordowanie prezydenta Lincolna, który w jednym z ostatnich swych przed śmiercią przemówień zupełnie w duchu przytoczonego powyżej wiersza Whitmana „Pojednanie" rzucił hasło ponownego zbratania Północy z Południem i pokonania wojennej nienawiści przez ducha miłości. Whitman umiał się poznać na wielkości największego po Washingtonie przywódcy narodu amerykańskiego: hołdował jego pamięci odtąd co roku publicznie w dzień jego zgonu, a w „Dalszym ciągu werbli" (Sequel to Drum-Taps) zebrał kilka utworów, jakie ku jego czci napisał. Należą do najpiękniejszych owoców tego nowego uczuciowego nastroju, jaki ogarnął Whitmana po wojnie. Jeden z nich, dłuższy, jakby kantata pogrzebowa, „Gdy bzy ostatni raz zakwitły przy bramie" (When lilacs last in the dooryard bloom'd...) kojarzy kwiecie majowe, wielką gwiazdę na niebie i śpiew ptaka w hołdzie dla „najdobrotliwszej, najmędrszej duszy naszych dni i krajów". Drugi, wyjątkowo pisany w regularnych rytmach i rymach, „O kapitanie! Mój kapitanie!" (O Captain! My Captain!) w trzech przejmujących zwrotkach przedstawia nagły a tragiczny zgon Lincolna pod obrazem śmierci kapitana okrętu, wracającego właśnie szczęśliwie z niebezpiecznej wyprawy i oczekiwanego przez radosne tłumy w porcie: rozdzierającym krzykiem żałoby i rozpaczy rozlega się refren o kapitanie, co na pokładzie triumfującego statku „leży zimny i nieżywy".

Jeżeli przytoczone przykłady z „Werbli" i ich suplementu ilustrują wysubtelnienie uczuć ludzkich w naturze Whitmana przez jego samarytańskie służby, to drugi aspekt przemiany jego osobowości, mianowicie u d u c h o w i e n i e jego ca-

łego poglądu na świat — najwymowniej może wyraża jeden z jego utworów późniejszych, „Przejazd do Indii" (Passage to India, 1871). Nawiązując do otwarcia nowej, skróconej drogi morskiej do Indii przez świeżo ukończony kanał sueski i do analogicznego cudu techniki w Ameryce, jakim było ukończenie pierwszej linii kolei w poprzek całego kontynentu na wybrzeże zachodnie, poeta w rozmowie z własną duszą snuje rojenia „podróży dalej niż do Indii, bo poza granicę śmierci, w krainę nieskończonego bytu, gdzie rozwiążą się wszystkie zagadki natury i życia, czasu i przestrzeni, gdzie człowiek, brat młodszy, rzuci się w objęcia Boga, swego brata starszego, gdzie czeka nas żegluga w najdalsze przestworza wieczności, które wszystkie są morzami bożymi".

Ta pewność nieśmiertelności osobistej w poezji starszych lat Whitmana coraz bardziej bierze górę nad dawną mgławicową percepcją wszechjedności bytu, i ona sprawia, że patrząc śmierci w oczy bez wahania i bez trwogi, poeta żegna ten świat i to życie, których świetność i chwałę niegdyś z takim zachwytem śpiewał, akcentami stanowczej wiary w wyższość nad nimi wiekuistego, bezkresnego, nieskończenie bogatego życia duszy,

„Wspaniałe jest to, co widzimy, wspaniałe światło dla mnie, wspaniałe niebiosa i gwiazdy,
Wspaniała jest ziemia i wspaniały jest czas trwający i przestrzeń,
I wspaniałe ich prawa, tak rozmaite, zadziwiające, pełne możności rozwoju,
Ale wspanialsza od tego wszystkiego niewidzialna dusza moja, pojmująca to wszystko, wyposażająca je w znaczenie,
Ona co zapala światło, rozjaśnia niebiosa i gwiazdy, co przekopuje ziemię i przemierza obszary mórz,
Bo czymże naprawdę byłyby one wszystkie bez ciebie, niewidzialna duszo? jakąż miałyby wartość?
Więcej w tobie rozwoju i ogromu i dziwów, o duszo moja!
Więcej rozmaitości — i bardziej tyś trwała niż wszystkie rzeczy."

Tak to indywidualizm idealistycznej metafizyki transcendentalistów przerodził się w życiu i twórczości Whitmana w indywidualizm mistycznej wiary w nieśmiertelność jednostkowej duszy.

7

Historia sławy Whitmana jest dziwnym przykładem ironii losu. Pokonywając obojętność publiczności amerykańskiej przez coraz nowe i obszerniejsze, zawsze własnym nakładem drukowane wydania swego głównego dzieła i staczając boje z purytanizmem opinii i z urzędową cenzurą, Whitman zdobywał sobie powoli zastęp zwolenników, którzy widzieli w nim już nie tylko znakomitego pisarza, ale proroka i twórcę jakiejś nowej wiary. I w Ameryce i poza Ameryką „yankesowski Mesjasz", jak go drwiąco nazywali przeciwnicy, otoczony był już za życia aureolą podobną jak później Tołstoj, który ma przecież pewne rysy wspólne z Whitmanem: obaj demonstracyjnie głoszą swą miłość do ludzi prostych, obaj w stosunku do zagadnień politycznych wyznają poglądy zbliżone do anarchizmu, obaj wreszcie — last not least — mają skłonność do pozy, wyrażającą się choćby przez upodobanie do portretowania się w strojach ludzi z gminu.

Na gruncie europejskim jednak, a zwłaszcza we Francji, reputacja Whitmana przybrała niebawem charakter specyficznie literacki. Tak samo jak innego genialnego Amerykanina, Edgara Allana Poe,którego wcześnie wprowadził w widnokrąg Francuzów Charles Baudelaire, tak i Whitmana przywłaszczyła sobie jako sztandarowego poetę awangarda wyznawców hasła „sztuka dla sztuki" i wszelkich młodych rewolucjonistów literackich, buntujących się przeciwko tradycjom, autorytetom, normom i konwenansom zarówno w stylu jak i w treści. Whitman stał się patriarchą wśród poetów, piszących „wolnym wierszem" (vers libre); dał przykład śmiałego rozszerzenia granic obrazowania i dykcji poza zakres tego, co dotąd uchodziło za poetyckie, oraz granic treści poezji na wszystkie zjawiska życia i świata.

Tego rodzaju popularność, czyniąca go przodownikiem nowych kierunków literackich, nie stanowiła takiego rozgłosu u współczesnych i takiego na nich wpływu, jakiego Whitman pragnął. Zaznacza to wyraźnie w zapiskach pamiętnikowych ze swych ostatnich lat: „Nie na Źdźbłach trawy jako literaturze, jako przykładzie pewnego sposobu pisania, chciałbym opierać swe pretensje do pewnego znaczenia. Nie dotrze do właściwej istoty mych wierszy ten, kto koniecznie będzie chciał patrzeć na nie jako na jakieś dokonanie literackie, czy na próbę takiego dokonania, na objaw dążenia ku celom czysto artystycznym czy estetycznym."

A z większym jeszcze impetem woła w jednym ze swych wierszy („Ja i to co moje" — Myself and mine), wyrzekając się wszelkiego „haftowania", wszelkiego „rzeźbienia ornamentów":

„Zalecam wam, abyście na zawsze odrzucali wszystkich, co zechcą mnie objaśniać, bo ja sam siebie objaśnić nie umiem,
Zalecam, by nie tworzono żadnej teorii ani szkoły, opierając się na mnie,
Zalecam, by pozostawiono wszystko wolnym, tak jak ja pozostawiłem wszystko wolnym."

Czymże więc chciał być Whitman, czym pragnął stać się dla potomności?

Zawsze z dumą głosił, że jest i chce pozostać poetą, ale posłannictwo poety pojmował w tym szerszym i wyższym znaczeniu, które mu nadali wielcy romantycy różnych krajów, i które w naszym języku i piśmiennictwie skojarzyło się z pięknym słowem „wieszcz". W jednym ze swoich wierszy (Song of the Answerer) dziwacznie określając poetę jako „odpowiadacza" (answerer), a więc jako tego, co wtóruje głosowi wewnętrznego „ja" swych słuchaczy, takimi słowy zakreśla rozległą dziedzinę działania poezji na ludzi:

„Słowa prawdziwej poezji dają wam więcej niż poezję,
Dają wam zdolność tworzenia dla siebie poezji, religii i polityki, wojny i pokoju, obyczajów i dziejów, rozpraw i codziennego życia i wszystkiego innego;
Dają równą wagę stanom, barwom skóry, rasom, wiarom, a także i płciom..."

W tym sensie Whitman jako poeta pragnął oddziaływać na całą ludzkość, i dlatego do czytelnika swych dzieł odzywał się słowami:

„Towarzyszu, to nie książka,
Kto się z tym zetknie, zetknie się z człowiekiem."

Otóż miały w XX wieku nadejść czasy, kiedy specjalnie literackie pojmowanie Whitmana jako protoplasty poetów awangardowych miało ustąpić zrozumieniu szerszemu, po myśli własnych jego życzeń. Pierwsza wojna światowa, łącząc miliony ludzi w otchłani wspólnej doli i niedoli, zbliżając do siebie w okopach czy na uchodźctwie wszystkie stany i warstwy społeczne, wytwarzała tę „kamaraderię", o której Whitman tak niestrudzenie marzył i śpiewał; ożywieni nią ludzie przyswajali sobie i nawet wśród powszechnego przesilenia de-

mokratycznych ustrojów politycznych dalej wyznawali zasady demokratyczne w owym głębszym i ogólniejszym ujęciu, które im nadawał Whitman. Obok straszliwego spadku nienawiści, który pozostawiła po sobie wśród ludzkości owa wojna, pozostawiła ona jednak także wzmożenie owej whitmanowskiej miłości bratniej, której nie jednego w stosunku do obcych mu dotąd jednostek i klas nauczyły przeżycia wojenne. Jest objawem znamiennym, że po pierwszej wojnie światowej w krajach języka angielskiego poza Ameryką zaznaczył się silny popyt na nowe popularne wydania dzieł Whitmana, a w innych — także i u nas od whitmanowskich entuzjazmów Żeromskiego — poczęły się mnożyć przekłady jego utworów.

Ameryka sama w swych purytańskich uprzedzeniach przeciw swobodzie stylu i treści dzieł Whitmana, długo dąsała się o proklamowanie go przez Europę „pierwszym poetą amerykańskim". W okresie gigantycznego rozwoju handlowo-przemysłowego i powszechnej gorączkowej pogoni za dolarem wydawać się mogło, że głos poezji Whitmana w tej wielko-kapitalistycznej i zmaterializowanej Ameryce pozostanie głosem wołającego na puszczy, że w tym kraju walki o byt i standardyzacji typu ludzkiego mrzonkami zawsze wydawać się będą musiały jego rojenia o powszechnej miłości wśród ludzi i o godności i wartościach jednostki. Jeszcze w r. 1926 znakomity francuski krytyk R. Michaud mógł pisać bez ogródek w swej „Panoramie współczesnej literatury amerykańskiej": „Naczelne marzenie Whitmana nie ziściło się: do tłumów nie dotarł i nie ocalił ich. Posłannictwo jego do Ameryki pozostało martwą literą." Tymczasem jednak wspomniani już w tej samej książce Michauda nowi poeci amerykańskiego świata pracy, jak Carl Sandburg — po części świadomie na Whitmanie się wzorujący — zrobili swoje; wśród młodzieży amerykańskiej nastała po pierwszej wojnie światowej silna reakcja idealistyczna, która po wielkim przesileniu gospodarczym, panującym od r. 1929, jeszcze znacznie się wzmogła; prezydent Franklin Roosevelt wniósł wielką myśl społeczną w najszerszym zakresie w oficjalną politykę państwa; i dziś z pewnością stwierdzić można, że także ojczyzna poczyna na dobre uznawać swego proroka. Wydawca antologii nowszych poetów amerykańskich L. Untermeyer (Modern American Poetry, 1919, 1925) konstatuje w swej przedmowie, że wpływ Whitmana na poetów amerykańskich ostatnich czasów jest „nie do przecenienia", i nazywa go „mimo wszystkich retorycznych floresów, Lincolnem literatury narodowej". W zgodzie z takimi

głosami z Ameryki znakomity niemiecki historyk literatury amerykańskiej W. Fischer (1928) orzeka bez wahania, że Whitman jest nie tylko „pierwszym wielkim poetą Ameryki", ale że jest „punktem wyjścia i zapowiedzią nowej epoki w literaturze amerykańskiej"; zaś autorytatywny historyk „Głównych prądów myśli amerykańskiej", V. L. Parrington (1930), swój rozdział o Whitmanie kończy słowami:

„Postać wielka, zaiste największa w naszej literaturze — choć może tylko wielkie dziecko — Whitman, streszczający i przelewający w poezję wszystkie najgorętsze aspiracje Ameryki, jakie przenikały rewolucję romantyczną, poeta jaźni i prorok braterstwa, człowiek pełen męskości i miłości zarazem, — jakże ma on kiedyś stać się niemym lub przestać przemawiać do ludzi, chyba żeby ci, co dziś są na wpół dziećmi Szatana a na wpół dziećmi bożymi, okazali się w całości szatanami lub w całości głupcami?"

Nie będzie zapewne nigdy Whitman mógł uchodzić za klasyka piśmiennictwa amerykańskiego czy powszechnego w znaczeniu tradycyjnym; może nawet ustali się o nim w krytyce literackiej opinia, tak często (i nie bez słuszności) powtarzana przez Anglików o Byronie, że jego twórczość, „to nie poezja, lecz tylko surowy materiał do poezji". Ale wolno przewidywać, że okropności drugiej wielkiej wojny naszych czasów, podobnie jak straszliwe przeżycia pierwszej, spotęgują wśród tych, co z nich wyjdą, poczucie znaczenia i słuszności whitmanowego wołania o prawdziwą miłość między ludźmi; że po okresie poniewierania jednostki i jej praw przez wszechpotężną zbiorowość odżyje głoszona tak żarliwie przez Whitmana cześć dla boskiego dostojeństwa każdej z osobna duszy ludzkiej, i że jeszcze w naszym wieku gwiazda wieszcza Manhattanu zajaśnieje nowym blaskiem nad całą ludzkością.

WACŁAW BOROWY

Staszyc jako poeta

Granice stuleci nie zawsze, naturalnie, odpowiadają granicom okresów w historii poezji. Jeśli jednak chodzi o przełom wieku XVIII i XIX-go, granice te są prawie zgodne. Katastrofa rozbiorów, prostracja duchowa po niej, pierwsze wysiłki dla odzyskania niepodległości — to były czynniki, które utworzyły wielki przedział nie tylko w politycznych, ale i w duchowych dziejach narodu, a więc i w tej ich części, którą stanowią dzieje poezji. Przedział ten jest tym wyraźniejszy, że występuje na tle wielkich przemian, które równocześnie dokonywały się na Zachodzie i wpływem swoim ogarniały całą Europę. Po rewolucji francuskiej miały z Zachodu zacząć nadpływać inne niż dotąd prądy. Ich wyrazicielami mieli też być przeważnie już inni ludzie. Najbardziej charakterystyczni przedstawiciele poezji „stanisławowskiej" albo w ciągu pierwszych kilku lat po ostatnim rozbiorze wymarli, jak Naruszewicz (1796), Krasicki (1801), Szymanowski (1801), albo zamilkli, jak obłąkany Kniaźnin († 1807), jak przedzierżgnięty w księdza Zabłocki († 1821), jak Karpiński, co żył wprawdzie do r. 1825, ale już na granicy stuleci pożegnał się z poezją w *Żalach Sarmaty*. Jeden Trembecki miał się dopiero w nowym stuleciu zdobyć na najwybitniejszą swoją rzecz, *Sofiówkę* (1806), by zresztą potem wziąć już rozbrat z wierszami i żyć w zapomnieniu (do r. 1812). Byli to wszystko pisarze urodzeni

jeszcze w pierwszej połowie XVIII-go wieku. W literaturze „stanisławowskiej" jednak zaznaczyło się aktywnością także grono pisarzy młodszych, którzy się urodzili już w drugiej połowie stulecia. Najciekawszy z nich, Jakub Jasiński, młodo zginął śmiercią żołnierza (1794). Jeszcze wcześniej (1787) zeszedł ze świata zatruty megalomanią, mimo to przecież w pewnym względzie interesujący Węgierski. Z innych, Bogusławski, choć żył do r. 1829, miał już z końcem stulecia poza sobą najwybitniejsze swoje utwory i wyraźnie wytkniętą drogę, której się też nadal trzymał. Mutatis mutandis, to samo można powiedzieć o Franciszku Ksawerym Dmochowskim.

Było jednak kilku pisarzy z tego pokolenia, których działalność na terenie literatury miała w nowym stuleciu być równie, lub bardziej jeszcze wydatna, niż w starym, a zdobyć się przy tym bądź na nową ekspresję, bądź na nowe tematy. Pisarzami takimi byli Stanisław Staszyc, Jan Paweł Woronicz, Julian Ursyn Niemcewicz. Ich życiorysy literackie przełamują się niejako — mniej więcej wzdłuż granicy stuleci. Należą oni zarówno do jednego, jak do drugiego; możnaby powiedzieć, że się znajdują na ich przełęczy.

Staszyc sporządził zbiorowe wydanie swoich dzieł dopiero w latach 1815—1820. Składa się ono z dziewięciu wielkich tomów, z czego przeszło połowę, bo pięć, wypełniają utwory o ambicjach artystycznych. Został tu zamieszczony wierszowany przekład poematu Woltera O zapadnieniu Lizbony, który już był poprzednio wydany w r. 1779, wraz z prozaicznym przekładem poematu Ludwika Racine'a Religia. Po raz pierwszy natomiast dopiero tu został ogłoszony całkowity przekład Iliady i ogromne „poema dydaktyczne" w 18 księgach a przeszło 17.000 wierszy p. t. „Ród ludzki". I przekład ów jednak i oryginalne poema pomyślane były i w znacznej części powstały niewątpliwie jeszcze w XVIII-ym wieku (przy dwóch ustępach poematu podana jest data r. 1794; za wcześniejszą jeszcze datą rozpoczęcia przekładu przemawiają różne dane wewnętrzne).

Przekład I l i a d y zaopatrzył Staszyc uwagami teoretycznymi, które zastanawiają swoją głębokością. Prawda, że znamy je dopiero z druku, dokonanego w r. 1815; wyrażają one jednak program, który był realizowany już w najwcześniejszych jego przekładach. „W tłumaczeniu — czytamy tu — duch pisarza, czyli on był Greczyn, Łacinnik, Niemiec lub Francuz, tak się dać czuć powinien jak gdyby był Polakiem“. Nie zależy na tym, ażeby słowa oddawać, ale na tym, ażeby zachować myśli, czucia i obrazy oryginału. Tłumacz musi więc czerpać przede wszystkim z własnych „władz umysłowych“, z własnej duszy i z natury.

Tak dobitnie głosząc prawa „ducha“ i „czucia“, kształtował sobie Staszyc zarazem świadomie swoisty język poetycki. Obrawszy w tym względzie drogę Naruszewicza i Trembeckiego, prześcignął ich znacznie śmiałością; niestety, poczuciem artystycznym ani Trembeckiemu, ani nawet Naruszewiczowi nie dorównał. Zdystansował ich już przez to, że znacznie większą uwagę niż oni poświęcił czynnikowi wersyfikacji. Naruszewicz nie był wyszedł poza wierszowanie tradycyjne. Inowacje Trembeckiego w tym zakresie (stałe przedziały średniówkowe w 8-zgłoskowcach, zbliżające je do typu wierszy sylabotonicznych) były bardzo dyskretne i stanowiły przejaw jakiejś ogólniejszej tendencji epoki, bo równocześnie spotykamy się z nimi i u Karpińskiego i u Kniaźnina. Staszyc już w r. 1779, tłumacząc Le Désastre de Lisbonne Woltera, ukształtował sobie wiersz osobliwy, niby to heksametryczny, oparty na arbitralnych, niezgodnych z charakterem języka zasadach, narzucających polszczyźnie iloczas zgłosek, taki, jaki istniał w grece i łacinie. W przekładzie I l i a d y i w R o d z i e l u d z k i m zastosował Staszyc pewien kompromis między tym wierszem a tradycyjnymi wierszami polskimi i wprowadził stałą średniówkę po zgłosce 7-ej, tak, że większość wierszy tych poematów daje się czytać jak zwyczajne polskie trzynastozgłoskowce typu 7+6, bo charakter materiału językowego sprawił, że ta większość to wiersze liczące po 13 zgłosek; od czasu do

czasu jednak zdarza się i wiersz krótszy, albo dłuższy, którego już w ten sposób przeczytać nie można. Nie dosyć na tym: wprowadził Staszyc do swoich wierszy coś, co możnaby nazwać półrymem, mianowicie zgodność ostatniej samogłoski i, ewentualnie, tych spółgłosek, które następują po niej; a więc: sobą: wykonawcą; ciało: swego; środku: myśleniu; fałszował: wyrządzał; ścigasz: wynagradzasz; i t. p. (n b. olbrzymia większość wierszy ma zakończenia samogłoskowe). Jeśli się te wiersze czyta bez znajomości teorii Staszyca, na te półrymy po prostu nie zwraca się uwagi, bo takie drobne współbrzmienia nie wpadają w ucho. Staszyc jednak pragnął, aby „ukańczać te wiersze na wzór kadencyj wierszy francuskich", t. j. akcentować je oksytonicznie i nadawać im w ten sposób charakter rymów męskich, co czyni je zupełnym już cudactwem. (Staszyc znalazł wszelako kompana, w Tadeuszu Nowaczyńskim, który w dwa lata po jego *Lizbonie* wystąpił z dziełkiem *O prozodii i harmonii języka polskiego*, gdzie głosił zasady dość podobne).

Równie osobliwe jest i słownictwo, którym się Staszyc posługuje. W ślad za Naruszewiczem i Trembeckim, a w obfitości o wiele większej niż oni, urabia on różnorakie nowotwory leksyczne. Mamy więc u niego i rzeczowniki złożone, takie jak „samodzierż", „ostrocios", „gwiazdobożeniec", „linchody", „duchbożeństwo"; i rozmaite rzeczownikowe formacje przyrostkowe, jak „dzierżec" (= władca), „niewolec", „zaboboniec", „płodca", „zbrojca", „rozworca" (= rozjemca), „kojarca" (= kojarzyciel), „sprzymierzca", „występca", „porazca", „męczadło" (= narzędzie tortur), „krążadło", „pożądło", „wróżadło", „pienidło"; „patrzalnia"; „młodziaństwo", „dziarstwo", „wojarstwo" (= stan rycerski); etc; i krótkie rzeczowniki odsłowne, np. „strzyż", „zgłos", „marszcz", „rozkrzew", „ochuch", „zachów" (= zachowanie); i rzeczowniki bez zwykłych przyrostków, jak „upomin", „kochan", „wizerun", „wyrzut" (= wyrzutek); i odprzymiotnikowe rzeczowniki oderwane, takie jak „cicho" (= cichość) lub „ciemno" (= ciemność); i niezwykłe przymiot-

niki w rodzaju „błyskny“, „hurmny“, „niełądowy“, „wrodny“ (= wrodzony), „nadzmyślny“ (= nadzmysłowy), „tajniczy“ (= tajemniczy); i czasowniki oryginalne, jak „grotnić“, „chrobrzyć“, „wrzawić się“, „licznić się“ (= stawać się liczniejszym), „wistoczyć“ (= wszczepić w naturę), „żdzielniać“ (= wzmacniać), „znienawiśniać“, „rościeć“ (= rosnąć) i wiele innych. Podobnie jak Trembecki stosuje też Staszyc dialektyzmy, np. „wartać się“ (= kręcić się), „zurzać“ (= piszczeć, kaprysić), „pąchać“ (= wąchać), „pdło“ (= wilgotna czeluść) e t c. Są w jego słowniku i archaizmy: „żwolenie“ (= wybór), „zbawiać“ (= pozbawiać), „warować“ (= chronić), „opuszczały“ (= opuszczony) i inne. Są i zapożyczenia z języków ruskich, np. „czerewo“ (= trzewo), „połon“ (= łup), „brechun“ (= krzykacz), „stołp“ (= słup), „łosiad“ (= koń), „ossodar“ (= władca), „ratyszcza“ (= kopia), „welikon“ (= olbrzym), „słoza“ (= łza) i t. p. Śmiałość tych wyrazów jest duża, ale o ich trafności niepodobna tego samego powiedzieć. Samo ich rozumienie jest nieraz trudne: nie każdy się łatwo domyśli, że np. „celec“ to cel w znaczeniu bardziej zmysłowym, lub że „uosobiścić“ to znaczy uczynić egoistycznym; cóż dopiero powiedzieć o takich wyrazach, jak „parstuki“, „bomaz“, „trybaniec“, albo „poronno“! Orientację zaś w tekście Staszyca utrudnia czasem jeszcze jego własna, dziwnie wyspekulowana pisownia: „smysł“, „rucać“, „wpusczał“, „potond“, „rządow“; „rozmajty“ obok „każdei“, „ienec“, e t c.

Mimo to wszystko przekład I l i a d y Staszyca nie jest bezwartościowy. Owszem, w zgodzie z sądem Tadeusza Sinki, „pod względem barwności, naoczności i siły musimy jego pracę szacować wcale wysoko“. Dla przykładu przytaczam w tłumaczeniu staszycowskim urywek z pieśni XVI:

Żołnierze głos zaledwo Achillesa słyszą,
A już im się zdawało, że Ilijon walą.
Wszyscy w szeregach żartko zbijają się sforno.
Jako przy wystawianiu biegły mularz domów,
By wstrzymały nawałność wszystkich burz i wichrów,
Na kamieniu kamienie sadzi równie, związło, —

Tak się to srogie wojsko w jedną kupę zwarło.
Trze się żołnierz z żołnierzem, trze się zbroja z zbroją,
Szyszak ściera z szyszakiem, tarcza spiera tarczą,
A bunczewie, jak gdyby zbujały las z hełmów,
Nad głowami się chwiało!... dwóch na czele wodzów:
Patrokles, Automedon: duch jeden w dwóch sercu.
Wnet władał duch jeden tylko w całym wojsku.

Staszyc opierał się głównie na francuskim prozaicznym tłumaczeniu *Iliady* pani Dacier, korzystał czasem i z angielskiego przekładu Pope'a, alę miał przed sobą i oryginał. Własne streszczenia, którymi każdą pieśń Homera poprzedza, połączone z różnorodnymi uwagami, świadczą, że jego stanowisko wobec przedmiotu dzieła było przede wszystkim moralistyczne, ale zarazem — jak powiada Sinko — „we wszystkich zarysowuje się sylwetka literata wrażliwego na piękno i skorego do entuzjazmu, a dalekiego od wszelkiej pedanterii".

Niestety, nie da się tego samego powiedzieć o gigantycznym oryginalnym dziele Staszyca, trzytomowym poemacie *Ród ludzki*. Jak najbardziej antypoetycki pomysł został tu rozwinięty w jak najbardziej antypoetycki sposób. Jest to właściwie wielki traktat historiozoficzny, tematycznie znamienny dla swoich czasów, w których historiozofia właśnie powstawała, oparty też na typowych ideach „wieku oświecenia". Mamy tu zgeneralizowaną historię ludzkości, nie wymieniającą żadnych określonych wypadków historycznych ani nazwisk, przedstawiającą tylko główne etapy cywilizacji, wedle wyobrażeń, jakie sobie o nich „wiek oświecenia" wytworzył i jakie wykładali w swoich dziełach Buffon, Wolter, Turgot, Condorcet, ich popularyzator Volney, autor głośnej, efektowną literacką prozą napisanej książki *Les Ruines* (1791), a wcześniej jeszcze Aleksander Pope w przenikniętym duchem filozofów angielskich dydaktycznym poemacie *Essay on Man* (1734).

Ród ludzki dzięki sile rozumu, jaka mu jest dana od Boga, odbywa swoją drogę cywilizacyjną od dzikości ku co raz większemu oświeceniu, pokojowi i powszechnemu szczęściu. Na dro-

dze tej jednak musi walczyć z wrogimi siłami; są nimi przede wszystkim despotyzm polityczny („jednodzierstwo") i wierzenia religijne („zabobońśtwo" z „wściekłowiarstwem"). Siły te znajdują oparcie w samej naturze człowieka, dostępnej namiętnościom i błędom. Jedyną przeciwko nim skuteczną bronią jest oświata i rozsądek. „Doskonalijcie władzę powszechną rozumu, — zbliżycie się do prawdy, szczęścia i pokoju": taka jest konkluzja i kwintesencja dzieła.

W układzie materii trzyma się Staszyc mniej więcej planu Volneya, nadając jednak swojej kompozycji skalę elefantyczną, która ogromnie Volneya przerasta; uwzględnia też rozległą literaturę naukową i „źródłową", którą cytuje w obszernych przypiskach. W treści swojej ma to dzieło wszystkie zalety i wszystkie słabości pism ideowych „Oświecenia", którego jest, jak to już stwierdzono, pełniejszym i radykalniejszym wyrazem, niż cokolwiek innego w naszej literaturze (cóż za porównanie np. z motylkowo nieuchwytnymi aluzjami Krasickiego w *Historii na dwie księgi podzielonej*). I dziś uznajemy jego dążność do ujęcia całej historii w jeden ciąg, ożywiony jedną myślą cywilizacyjną. I dziś uznajemy ten ideał cywilizacji, który się zasadza na wolności i godności jednostki. Naiwna natomiast jest dla nas wiara w rozum jako panaceum na wszystkie cierpienia wyłączne ludzkości. Naiwne też, i równocześnie drażniące, jest traktowanie wszystkich wierzeń religijnych (poza filozoficznie uzasadnioną wiarą w Boga-Stwórcę) jako jedynie „obłędu ludzkich smysłów" i źródła „wściekłowiarstwa" (t. j. fanatyzmu). Nie czyni Staszyc bynajmniej wyjątku dla kościoła katolickiego. Nie jest on, co prawda, nigdzie wyraźnie wymieniony, ale aż nadto jasne są aluzje, np. w ks. XIII w ustępie o „lamie", co spiskował z „jednodzierżami" wszędzie: „nad Tybrem, Tonkawą [w Japonii], Gangesem", albo w ustępie ks. XV, gdzie cytata z ewangelii włożona jest w usta... Buddy. Nie brak również przejrzystych aluzyj w wyliczeniu różnych rodzai kapłanów, w ks. X, co prostodusznych ludzi oszukują („worogi, biesotłuki, galli, peda-

gogi, — latawczycy, śpiewacze, cudawcy, surmacze, — brachmany, cieniowody, rajfury i bardy, — świeciarze, kropidlarze i trupomaszczarze“). Pomyśleć, że tyle tylko o religii miał do powiedzenia człowiek, i to mądry i czujący człowiek, który pisał w krótki czas po rozwinięciu się takiego kwiatu kultury religijnej, jak poezja Benisławskiej!

Pasja zaś przeciwwyznaniowa jest jednym z tych nielicznych czynników uczuciowych, które znajdują w tej wielkiej machinie jeszcze jakąś (prymitywną zresztą, przypominającą Reja) siłę wyrazu. Wyżej wznosi się Staszyc tylko w tych rzadkich ustępach, w których epigramatycznie formułuje podstawowe swoje ideały, jak np. w ks. I):

Bóg chce, abyśmy wszyscy byli szczęśliwymi;
Że nieszczęśliwym człowiek, to ludzie zdziałali,

albo w modlitewnym wezwaniu do Boga (w tejże księdze):

Zniszcz ciemność, światła stwórco! rozszerz w ludziach światło,
A człek nieprzyjacielem nie będzie człowieka.

Inne za to wiersze Rodu ludzkiego są tylko ociężałą, rozwlekłą prozą, spętaną swoim dziwnym rytmem niby kajdanami. „Tak w każdej tu rodzinie, w pokoleniu każdym, — wszczyna się obyczajów wszczątkowe ogniwo. — Te zaś wszystkie składają, spajając się łączno, — łańcuch partykularnej i obywatelskiej, — i moralności wpośród narodów publicznej“: oto próbka typowa (z ks. XVIII). Jakiż chłód, jaka martwota, jaka nuda!

A przecież właśnie ten niefortunny rymotwórca umiał wyrazić wielkie uczucia z siłą większą, niż ktokolwiek inny w literaturze polskiej XVIII-go wieku — z jedynym wyjątkiem Benisławskiej w odniesieniu do uczuć religijnych. Czynił to zaś nie w pismach o intencji poetyckiej, ale publicystycznej: w prozie Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego (1785) i Przestróg dla Polski (1790). Teoria wszechmocy rozumu, którą miał głosić w Rodzie ludz-

kim, nie była w nim jeszcze wówczas tak spetryfikowana, starał się więc nie tylko przekonywać, ale i przemawiać do serc swoich czytelników. Nie stosował też tego programu stylistycznego, który wypracował dla wierszy. Pisał ze znacznie większą bezpośredniością: prawda, że często zawile i chropawo, aż prawie niedbale, czasem z retoryką dość niewysokiej próby, od czasu do czasu jednak zdobywając się na ustępy wspaniałe, sugestionujące potęgą uczucia i obrazowością. Doskonale powiedział o jego pismach publicystycznych Tarnowski, że „są to bryły nie oszlifowane, ale bryły złota". Można dodać, że raz po raz owo złoto przebłyskuje blaskiem olśniewającym.

Poezja czasów Stanisława Augusta pełna jest patriotyzmu, ale nikt w niej nie wyraził tego uczucia w sposób równie serdeczny i przejmujący, jak Staszyc w Uwagach w rozdziale p. t. „Polska", przedstawiając uniesienie na widok ziemi ojczystej:

Polskiego oddech powietrza zdawał mi się wolniejszym i wiatr stamtąd niósł w sobie coś miłego. Niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zieleńsze, pasterze i pasterki weselsze. Chłop nawet za pługiem żywszym tonem woły poganiał. Rzecz większą uważałem: ptastwo z południa na północ przenosząc się, dopokąd nad innymi krajami leci, bojaźliwe i posępne bywa; ani z wesołością śpiewać, ani nawet z żałości świerkocić nie śmie; boi się piórkiem szelestu uczynić. Skoro na polskiej stawa granicy, natychmiast krzyczy wesoło...

Obraz ten wprowadzony jest do wywodów tekstu jako wizja (Staszyc, za wzorem Rousseau'a, chętnie się posługuje tym środkiem unaoczniania swoich tematów). Poprzedzają go słowa przedstawiające stan poruszenia duchowego i wzmożonego działania wyobraźni: „Uczułem wewnętrzną jakąś radość, do myślenia wielką skłonność. Imaginacją miałem żywą". To podkreślenie wyrazu „Imaginacja" pochodzi od Staszyca samego. Ciąg dalszy ponad wątpienie potwierdza słuszność konstatacji w tym zdaniu:

A po obrazie radości owiewającej ojczyznę wolną roztacza

się równie plastyczny i przejmujący obraz ziemi ojczystej pod nieprzyjacielską okupacją:

Po ziemi, jak gdyby na postrach, okropne cienie łażą. Każdy, nic nie widząc, wszystkiego się lęka. Człowiek bez zaufania przed człowiekiem stroni. Nikt się tam nikomu niczego nie zwierzy. W głębokim milczeniu tylko zbroi i broni przeraźliwe słychać brzęki, a wokoło zawdy gotowe i na wszystko odważne żołnierstwo czeka tylko skinienia, kogo porwać, zniszczyć lub ugubić. Tak właśnie, jak teraz ten jastrząb ową niezliczoną ptaków gromadę przed sobą pędzi, płoszy, albo uderza; tak jeden tam człowiek wszystkich ludzi w bojaźni trzyma, rozkazuje im i z wszystkich pożytkuje.

Tak, ten człowiek niewątpliwie miał wyobraźnię. O silnej wyobraźni zarówno jak i o wielkim uczuciu nie mniej wymownie świadczą wstrząsające obrazy nędzy chłopskiej w Przetrogach dla Polski, obrazy, wobec których bledną najjaskrawsze ustępy satyr Naruszewicza. Oto początek rozdziału pod ekonomicznie sformułowanym tytułem „Grunta chłopskie czyli rolnik pracowity":

Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe i zakopciałe. Oczy głęboko w głowie zapadłe. Dychawicznymi piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i mało myślą: to ich największą szczęśliwością.

Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłop — ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem — woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemię wyniesione szałasze: słońce tam nie ma przystępu, — są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoję nędzę patrzali, zbawia ich światła; aby mniej cierpieli, i w dzień i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, — a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu. Obok niego śpi mała, a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielęciem stoi i świnia z prosiętami leży...

Całe szeregi stronic i rozdziałów w rozprawach Staszyca mają charakter czysto wykładowy: panuje w nich ton spokojny, nieraz nawet suchy. Ton ten zmienia się, staje się gorącym i płomienistym przy każdym zbliżeniu do spraw bolesnych. A bolesnymi sprawami są dla Staszyca wszystkie te, w których zagrożona jest swoboda i godność człowieka lub narodu. Wtedy długie okresy ustępują miejsca zdaniom krótkim i zwartym, często wykrzynikowym; elementy symetrii w budowie nadają im rytm, który wzmacnia jeszcze ich siłę; język staje się intensywny i obrazowy:

Tu, kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić. Kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mnie rozpacz i zgroza...

W pośrodku chrześcijan takie okrucieństwo!...

Tak wyrażał Staszyc najwyższy ideał XVIII-go wieku: z uczuciem, które było obce jego programowi psychologicznemu, ale które właśnie daje nerwy i krew „kluczowym" ustępom jego rozpraw. Te nerwy i krew uzasadniają traktowanie o nich w historii poezji polskiej. Niefortunny w swoich wierszach, w owych ustępach swojej prozy wzniósł się Staszyc uczuciem i wyobraźnią na wyżyny godne prawdziwego poety.

Nikt tak jak on nie wyraził u nas w wieku XVIII-ym oburzenia na krzywdę społeczną. Nikt też nie ujawnił takiego jak on odczucia patosu historycznego epoki. Karty *Przestróg* poświęcone przedstawieniu sejmu rozbiorowego 1773 r. — te sceny, w których stają naprzeciw siebie Poniński i Reytan, wcielenie najgorszych i wcielenie najlepszych instynktów narodu, — należą do najdramatyczniejszych kart, jakie po polsku napisano, nie tylko w tym stuleciu. Aż dziw, że człowiek, który jest ich autorem, wedle wszelkiego podobieństwa nię znał Szekspira. Zresztą podobieństwo tych scen do szekspirowskich jest tylko cząstkowe: w samym nasileniu konfliktu. Wymiar konfliktu jest inny: to nie jest starcie między jednostkami, jak zwykle u Szekspira: to dramat narodu zagrożonego

upadkiem i biernie czekającego na spełnienie się losu, dramat narodu, którego charakter uległ degeneracji. Bo odmianą charakteru narodowego tłumaczył sobie Staszyc zarówno nieszczęścia i upokorzenia ojczyzny, jak i krzywdy, które w niej samej się dzieją. Wierząc wszelako w odmianę na gorsze, wierzył również w możliwość odmiany na lepsze. Oburzając się na spółziomków, piętnując ich grzechy, nie załamywał przecież rąk, nie upadał na duchu. Z wyjątkową przenikliwością widział wszystko zło swoich czasów, a jednak nie było w nim pesymizmu. Taki Węgierski też widział coś nie coś z tego zła, i trafnie je oceniał; ale to go napełniało tylko pogardą dla „Sarmatów" i poczuciem własnej wyższości. Staszyc doznawał zgrozy, bólu, wstydu, ale te uczucia wzmacniały w nim jeszcze patriotyzm, budząc ducha walki, narzucając jako obowiązek wstrząsanie sumień. Węgierski był mały, Staszyc — wielki; w tym różnica.

Uczuciowe ustępy U w a g i P r z e s t r ó g mają czasem postać krótkich tylko lirycznych apostrof, przeplatających argumentację i egzemplifikację: unaoczniających, gromiących, zawstydzających, chłoszczących sarkastycznie, grożących proroczo, zaklinających serdecznie. Czasem rozrastają się — jak w pierwszych przytoczonych tutaj przykładach — w rozległe wizyjne obrazy. Kiedy indziej znowu przybierają kształt dramatycznych monologów, pełnych pytań, które niejako samego czytelnika wzywają do odpowiedzi. Największym z tych monologów jest t. zw. „Mowa do panów" w P r z e s t r o g a c h, owo straszliwe oskarżenie oligarchów polskich o zbrodnie wobec ojczyzny, w którym, jak powiedział Tarnowski, wszystko „wypisane jest słowami gorejącymi, palącymi".

Nawet językoznawca, Szober, który z punktu widzenia lingwistycznego rozpatrywał styl Staszyca, uwydatnił w nich momenty „liryki refleksyjnej". A Chrzanowski, który swoją znakomitą książką bardziej niż ktokolwiek inny spopularyzował najpiękniejsze stronice prozy staszycowskiej, nazwał je „poezją serca". Trafne to słowa. Kiedy Staszyc miał wolę

być poetą, gubił się w fałszywej teorii, liczącej się tylko z rozumem i wyrozumowanymi zasadami kunsztu: zdobywał się wtedy tylko na dziwaczną prozę w ciężkich wierszach. Ale dzięki sercu — i dodać trzeba: wyobraźni — bywał nieraz poetą mimo woli i wznosił się wtedy w regiony, do jakich nie wznosili się inni, „normalniejsi“ poeci polscy XVIII-go stulecia.

Shelley w „Obronie poezji“ (The Defence of Poetry) powiada słusznie, że „części utworu mogą mieć charakter poetycki, chociaż utwór jako całość nie jest poematem“. „I w tym rozumieniu — ciągnie — wszyscy wielcy historycy, jak Herodot, Plutarch, Liwiusz, byli poetami“. Do tych nazwisk można oczywiście dodać jeszcze inne: trzeba niewątpliwie dodać nazwisko Staszyca.

JÓZEF WIDAJEWICZ

„Sielanka" słowiańska

Historyk bizantyński, Teofilakt Simokata, zanotował ciekawą a zarazem jedyną w swoim rodzaju wiadomość o stosunkach, panujących wśród Słowian. Relację o tym złożyli posłowie słowiańscy, pojmani przez straże cesarza Maurycego (582—602) w toku wojny w 591 roku, Simokata natomiast — jak mniemać wolno — wiernie relację ich powtórzył. Oto jej brzmienie.

„Następnego dnia (po wypadkach, opowiedzianych przez Simokatę w rozdziale poprzednim) zostało przez straż królewską schwytanych trzech mężów, rodem Słowian. Nie mieli oni przy sobie żadnego żelaza, ani żadnej broni, ale nieśli w rękach gęśle, zresztą zaś niczego przy sobie nie mieli. Zatem król (Maurycy) rozpytywał ich o narodzie, i gdzie sobie obrał siedziby, i dlaczego uwijają się około rzymskich granic? Oni zaś odpowiedzieli, że są rodem Słowianie, że zamieszkali na krańcu oceanu zachodniego, i że chagan (tj. chan Awarów, Bajan) aż do owych to stron wyprawił posłów, celem pozyskania posiłków wojennych, zasyłając władcom narodu liczne dary. Ci tedy władcy dary przyjęli, ale przymierza zawrzeć nie chcieli, twierdząc, iż uciążliwa im jest dalekość pochodu; i posłali tych właśnie teraz pojmanych do chagana, żeby się przed nim uniewinnić. Jakoż w piętnastu miesiącach dokonali tej podróży. Ale chagan, nie pomny na prawo posłów, postanowił

przeszkodzić ich powrotowi do kraju. Oni zaś nasłuchawszy się o narodzie rzymskim, tak z bogactw, jak z ludzkości największej sławie (jak to śmiało rzec się godzi), skorzystali z dogodnej chwili i uszli do Tracji. Mówili dalej, że *chodzą z gęślami, gdyż nie przywykli przypasywać mieczów, ponieważ kraj ich nie zna żelaza, i dozwala im żyć w pokoju i zgodzie; grają tedy na gęślach* (kitharai, lyrai), nie umiejąc uderzać w trąby. *Bo komu obca jest wojna, słuszna, mówili, ażeby taki podobał sobie w ćwiczeniach muzycznych.* Słysząc to samowładca, polubił naród i gościnnym przyjęciem zaszczycił ich samych jednych z pomiędzy wszystkich barbarów, którzy się z nim zetknęli, a podziwiając ich wzrost i dorodność członków, odesłał ich do Heraklei".[1])

A zatem Słowianom, z których przedstawicielami zetknął się cesarz Maurycy, obcą była wojna; kraj ich nie znał żelaza, ludność przeto nie zwykła przypasywać mieczów, chodziła za to z gęślami i lubowała się w ćwiczeniach muzycznych; skoro uniemożliwioną została wojna, w kraju panowały: pokój i zgoda. Słowem: najidealniejsza sielanka!

Pośród relacyj źródłowych, jakie o dawnej Słowiańszczyźnie posiadamy, świadectwo przywiedzione jest — jak wiemy — unikatem. W toku uchodzących stuleci różne opinie wypowiadano o ludach słowiańskich, ale obrazka tak idealnych stosunków nie naszkicował żaden z kronikarzy. Dlatego w prawie jesteśmy zapytać, w jakim stopniu zawarte w relacji szczegóły darzyć można zaufaniem?

W ocenie wiarogodności przekazu zupełna rozbieżność zaznaczyła się wśród uczonych. Nie dążąc do wyczerpania poglądów wszystkich, ograniczę się do kilku przynajmniej ciekawszych. Była najpierw grupa badaczy, która opowieści Simokaty wierzyła bez zastrzeżeń. J. I. Kraszewski, w przypisach historycznych do powieści „Stara baśń", wyraził się

[1]) Mon. Pol. histor. t. I, str. 3—4.

w sposób następujący: „w tak idealnym świetle zjawia się nam po raz pierwszy to plemię Słowian, nie znające mieczów, z pieśnią i gęślą idące przez świat i życie... ci ludzie gęśli, nie znający żelaza, przez długie wieki zdradzają w sobie swe pochodzenie, pozostają marzycielami, a dają się podbijać, zawojowywać i ujarzmiać".[2]) Wierzył świadectwu Simokaty historyk północno-zachodniej Słowiańszczyzny, W. Bogusławski, przy czym posłów, gęśle a nie broń mających przy sobie, uważał po prostu za „wędrujących grajków".[3])

Inna grupa badaczy zajęła stanowisko krańcowo odmienne. K. Jireczek przyrównywał opowieść do „podań literackich o spokojnych ludach na krańcu świata, jak Hyperboreów Herodota, Estiów Tacyta itp.",[4]) dając niejako do zrozumienia, że jedno warte tyleż co drugie. V. Jagić w posłach słowiańskich widział szpiegów, którzy na terenie bizantyńskiego państwa mieli do przeprowadzenia jakieś zadania specjalne,[5]) a L. Niederle nazwał opowieść wręcz „anegdotą", nie zasługującą na poważne traktowanie.[6])

Racji nie miała ani jedna, ani druga grupa uczonych, boć ani zbytnia łatwowierność, ani nadmierny sceptycyzm nie są w stanie prawdy ujawnić: prawda — jak zawsze w podobnych wypadkach — znajduje się w pośrodku. Krytykować wolno w opowieści wszystko, co na krytykę zasługuje, tym nie mniej baczyć trzeba, czy nie ma w niej czego, co zdoła się przed krytyką ostać. Takie stanowisko zajęli ostatnio dwaj polscy uczeni: historyk literatury — S. Dobrzycki,[7]) i historyk muzyki — A. Poliński.[8]) Pominę tutaj osiągnięte przez nich —

---

[2]) Kraszewski, Stara baśń, Warszawa 1935, str. 442 i 443.

[3]) Bogusławski, Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej, t. II (Poznań 1889), str. 888 (przyp. 68) i 899.

[4]) Jireček, Geschichte der Serben, t. I (Gota 1911), str. 75, przyp. 1.

[5]) Jireček, o. c., t. I, str. 75, przyp. 1.

[6]) Niederle, Život starých Slovanu, Základy kulturnich starožitnosti slóvanských, dilu III svazek 2, Praga 1925, str. 710.

[7]) Dobrzycki, Polska poezja średniowieczna, w książce: Z dziejów literatury polskiej, Kraków 1907, str. 9—11.

[8]) Poliński, Dzieje muzyki polskiej w zarysie, Lwów 1907, str. 6—8.

w dziedzinie twórczości poetyckiej i muzycznej — wyniki, podkreślę tylko bystrość, jakiej w ujęciu problemu dowiedli.

W dociekaniu niniejszym rozpatrzona zostanie geograficzno-historyczna strona zagadnienia. Nie będzie przy tym chodziło o analizę charakteru czy usposobienia Słowian, ani też o to, co relacja Simokaty do znajomości spraw owych nowego wnosi, cele artykułu są skromniejsze: chodzić w nim będzie jedynie o wyjaśnienie, o ile świadectwo słowiańskich posłów zasługuje w ogóle na wiarę.

Zagadnieniem zasadniczym, które w pierwszym rzędzie rozwikłać trzeba, jest ustalenie: z jakiego kraju posłowie wspomniani pochodzili czyli jakich Słowian byli reprezentantami? W tym względzie dysponujemy jedną tylko, i to nie całkiem zadowalającą informacją: „oni zaś odpowiedzieli — pisze Simokata — że zamieszkali na krańcu oceanu zachodniego" (tu dytiku okeanu). Niestety nie została podana nazwa „oceanu". Z pierwszego rzutu oka sprawa zdaje się nie nasuwać wątpliwości. Jeden tylko ocean oblewa Europę od strony zachodniej, Atlantyk, i o nim chyba myśleli posłowie. Wprawdzie w dobie, z której posiadamy obfite wiadomości źródłowe, tj. od czasów Karola Wielkiego poczynając, pas nadbrzeżny w okolicy Hamburga i w południowej części półwyspu Jutlandzkiego, do którego osiedla Słowian od wschodu przytykały, w żadnym miejscu w stronę Atlantyku przekroczony nie został: w strefie nadbrzeżnej siedziały wtedy wyłącznie germańskie szczepy, nie wyklucza to jednak ewentualności, że w dobie Simokaty było inaczej, przy czym wyparcie Słowian z nadbrzeża uskutecznione być mogło później, na każdy wypadek przed dojściem do rządów Karola Wielkiego. Co może za taką ewentualnością przemawiać, to fakt następujący.

W toku zażartych walk ze Sasami usiłował Karol w drakoński sposób złamać przeciwnika: przesiedlił Sasów w głąb Frankonii, a nadatlantyckie ich posiadłości odstąpił sprzymierzonym ze sobą słowiańskim Obodrytom. Zaledwie pięć lat (804—809) utrzymali się Obodryci w posiadaniu uzyskanego wybrzeża, sam fakt atoli, iż znaleźli się na nim, dozwala wy-

razić przypuszczenie, iż istniała doba, kiedy już raz nad Atlantykiem siedzieli, zarządzenie przeto Karola Wielkiego miało by cechę jak gdyby nawrotu do sytuacji tamtej. — Dotychczas wszystko w porządku, przy uzgadnianiu atoli ewentualności takiej z innym szczegółem relacji Simokaty napotyka sprawa na trudności.

Powiedziano w relacji, że Słowianie odnośni mieszkali „na krańcu" (pros to termati) oceanu zachodniego. Wiadomo, jak jest z Atlantykiem, stanowi on część wszechmorza, oblewającego wszystkie kontynenty i żadnego nie posiadającego „krańca". Możnaby wprawdzie za kres poszczególnych oceanów uważać wybrzeża przylegających lądów, ale w takim razie „krańcem" Atlantyku od strony wschodniej byłoby wybrzeże całej zachodniej Europy, od północnej Norwegii zaczynając a na południowej Hiszpanii kończąc, i dalej wybrzeże zachodniej Afryki po kończyny kraju Przylądkowego; w obrębie tak pojętych kresów był też odcinek w rejonie Hamburga, który Słowianie posiadać mogli, pewnego rodzaju krańcem, posłowie jednak słowiańscy skomplikowanymi pojęciami geograficznymi z całą pewnością nie operowali (nie mówiąc nawet o tym, że o rozmiarach Atlantyku nie mieli wyobrażenia), wspominając więc o krańcu, na myśli mieć musieli okolicę, gdzie kresowość posiada całkiem wyraźne i nawet dla pierwotnych ludzi dostrzegalne znamiona. Skoro zaś skojarzenie informacji ich z Atlantykiem zawodzi, obejrzeć się musimy za morzem innym.

Z pojęciem „oceanu" wiązano w średnich wiekach treść obszerniejszą, aniżeli wiąże się dzisiaj, oznaczano nim także mniejsze zbiorniki wody, jak np. Bałtyk.[9]) Wprawdzie Bałtyk nie jest zachodnim, tylko północnym „oceanem", od ludzi jednak średniowiecznych nie żądajmy ścisłości matematycznej, na każdy wypadek południowa połać Bałtyku — w stosunku do Tracji, dokąd posłowie uszli i gdzie prawdopodobnie byli prze-

---

[9]) W t. zw. Rocznikach Einharda zanotowano pod rokiem 789, iż nadbałtyccy Weleci siedzieli „super litus oceani", Annales Regni Francorum et Annales qui dicuntur Einhardi, ed F. Kurze, Script. rer. Germ. in usum scholarum, Hanower 1895, str. 85, a innych przykładów, gdzie Bałtyk zwano „oceanem" pełno jest w źródłach.

słuchiwani — zajmowała położenie nie ściśle północne, jeno północno-zachodnie, a w takim razie łatwo było położenie owo wypaczyć i przezwać Bałtyk „oceanem zachodnim". Co za Bałtykiem stanowczo przemawia, to określenie „na krańcu". U południowych kończyn półwyspu Jutlandzkiego, tudzież w okolicy Lubeki, znajdują się istotnie kresy Bałtyckiego „oceanu", co więcej w tych właśnie stronach mieszkali Obodryci, o których co dopiero była mowa. Wobec takich danych, w wyborze między Atlantykiem i Morzem Bałtyckim, nie można okazywać wahania.

W Słowianach Simokaty P. J. Szafarzyk dopatrywał się Słowian nadwiślańskich.[10]) Przypuszczenie chybione z kilku względów. Z góry oczywiście wykluczyć trzeba mieszkańców górnego i środkowego dorzecza Wisły, ile że jedni i drudzy nigdzie do morza nie docierali, w rachubę wchodziliby tylko nadmorscy Pomorzanie. Siedzieli oni nad Bałtykiem, ale nie „na krańcu", tylko w pośrodku mniej więcej przybrzeżnego pasa, okalającego południową połać morza. Nie da się też z Pomorzanami uzgodnić inna wiadomość Simokaty. Czytamy u niego, iż chan Awarów „aż do owych to stron wyprawił posłów celem pozyskania posiłków wojennych". Pomorzanie nigdy w dziejach ważniejszej roli politycznej nie odgrywali, nie byli też potęgą militarną, o której poparcie robiliby zabiegi bliżsi czy dalsi monarchowie. Takie potęgi znajdowały się dalej na zachodzie, były nimi państwa: Weletów i Obodrytów. Państwa te leżały obok siebie, dzieliła je rzeczka Warnawa, uchodząca koło Roztoka do Bałtyku; Weleci zajmowali obszar między Warnawą i dolną Odrą, Obodryci — obszar na zachód od Warnawy po same kresy słowiańskiego świata. Skoro z punktu widzenia siły militarnej Pomorzanie w rachubę nie wchodzą, wyboru dokonać musimy między Weletami i Obodrytami.

Tu znowu odwołać się trzeba do określenia „na krańcu". Pojęcia kresowości Bałtyku nie wolno rozszerzać nadmiernie:

---

[10]) Szafarzyk, Słowiańskie starożytności, tłum. pol. Bońkowskiego, t. II (Poznań 1844), str 452—454.

o ile kresową była okolica Lubeki, to za taką poczytywać nie można przylegającej do niej krainy między Roztokiem i Szczecinem. To jedno; nieobojętne są tu nadto informacje Simokaty o oddaleniu nadbałtyckich Słowian od państwa Awarów. Czytamy najpierw, że „chagan aż do owych to stron wyprawił posłów", i zaraz potem: władcy Słowian „przymierza zawrzeć nie chcieli, twierdząc, iż uciążliwa im jest dalekość pochodu"; wynika z tego, że w stosunku do państwa chana Bajana osiedla anonimowych Słowian znajdowały się w dość znacznej odległości.

Państwo Awarów rozpościerało się na ogromnych przestrzeniach, ale w drugiej połowie VI wieku ośrodek swój miało na nizinie węgierskiej. Na przełomie VI i VII stulecia doszło do szczytu świetności i wtedy to imperium bizantyńskie — w toku panowania cesarza Maurycego — toczyło z nim zaciekłą walkę. Zabiegi więc chana o pomoc odległego władcy nie mogą budzić zdziwienia. Czy państwo Awarów stykało się wtedy z krajami Słowian Połabskich, nie wiemy, ile że czas zawojowania przez Awarów krainy czeskiej nie jest dokładnie znany; przyjmuje się zazwyczaj, iż podbój mógł być dokonany już w chwili wkroczenia Awarów do Panonii w 568 roku, jeśli zaś nie w tym czasie, to stał się faktem przed rokiem 596 co najpóźniej;[11]) skoro atoli relacja posłów słowiańskich pochodzi z roku 591, wiadome nie jest, czy Czesi podlegali już wtedy, czy nie podlegali jeszcze Awarom. Pewne w każdym razie, iż byli oni ostatnim słowiańskim ludem, który w północno-zachodniej stronie zaliczał się czas jakiś do państwa Awarów, Połabianie bowiem byli od niego całkowicie niezależni.[12])

Gdzie posłowie słowiańscy zetknęli się z chanem Bajanem, oznaczyć się nie da. Domyślać się można, że w miejscu najczęstszego jego pobytu, tj. — jakby się dziś powiedziało — w stolicy, ale czy miejsce owo znajdowało się wtedy w południowej jeszcze stronie Węgier, czy już w taborach między

---

[11]) Wachowski, Słowiańszczyzna Zachodnia, Warszawa 1903, str. 48; Czermak, Ilustrowane dzieje Polski, t. I (Wiedeń, bez daty), str. 180—181.
[12]) Szafarzyk o. c., t. II, str. 512.

Lasem Wiedeńskim i jeziorem Błotnym,[13]) znowu wiadome nie jest. Poprzestać tedy trzeba na całkiem ogólnikowym określeniu, iż do posłuchania doszło gdzieś w obrębie Węgier. Naddunajskie Węgry od okolicy Lubeki dzieli istotnie nie małe oddalenie, do weleckiego Radgoszcza (w dzisiejszej prowincji Meklemburg-Strelitz) czy Szczecina było niewątpliwie bliżej. Toteż Obodryci i z tego punktu widzenia dadzą się z przekazem Simokaty uzgodnić lepiej, aniżeli Weleci.

Skoro mowa o odległościach, zatrzymajmy się przy jednej jeszcze. Z ojczyzny swojej do siedziby zapewne chana „w piętnastu miesiącach dokonali (posłowie słowiańscy) podróży". Czy jest możliwe, żeby z rejonu Lubeki do najdalszych nawet krańców Węgier miała trwać podróż rok i kwartał? U Konstantyna Porfirogenety (połowa X wieku) czytamy: „bo stamtąd (z Chrobacji Wielkiej czyli Białej) aż do morza jest trzydzieści dni drogi; morze zaś, do którego dochodzi się w tych trzydziestu dniach, jest t. zw. Ciemne".[14]) Z Chrobacji zatem, tj. w rozumieniu Porfirogenety gdzieś z okolic Krakowa, do brzegów Morza Czarnego trwała podróż miesiąc, miałażby podróż tamta — nie wiele co lub wcale nie dłuższa od tej — trwać aż 15 miesięcy? Jest to bezwarunkowo wykluczone, chyba że posłowie zatrzymywali się po drodze w każdej karczmie, przygrywali na gęśliczkach, zabawiali się i tracili czas na pogawędce. Jakiego rodzaju bałamuctwo dostało się tutaj do przekazu Simokaty, wyjaśnić się nie da, na każdy wypadek świadczy i ta informacja, że ojczyzna słowiańskich posłów w stosunku do państwa Awarów w znacznym leżała oddaleniu, co z położeniem kraju Obodrytów w całkowitej pozostaje zgodzie.

Dochodzę do ostatecznej konkluzji. Skoro analiza relacji Simokaty wskazuje na Obodrytów, jako tych Słowian, o których opowieść ogólnikową podaje wzmiankę, skoro dalej żaden jej szczegół przeciw Obodrytom nie przemawia, a każdy z nimi właśnie da się uzgodnić najlepiej, sytuacja staje się

---

[13]) Niederle, Puvod a počatky Slovanu jižnich, Praga 1906, str 320—321.
[14]) Mon. Pol. histor., t. I, str. 30.

jasną: ludem słowiańskim, do którego władców chan Awarów słał „liczne dary", i który posłowie najpierw przed chanem, a potem przed cesarzem Maurycym reprezentowali, byli właśnie najdalej na zachód wysunięci Obodryci.

Gdy sprawa tak stoi, spytajmy obecnie: czy istotnie sielanką było ich życie? Na widowni dziejowej zjawili się Obodryci w dobie walk Karola Wielkiego z Duńczykami i Weletami, rok 789 jest pierwszą pewną datą z ich historii. W walkach wspomnianych brali udział jako sprzymierzeńcy Karola, wojownikami okazali się dzielnymi, ani śladu w nich jakiegoś „marzycielstwa" czy ślamazarności. W stuleciach natomiast późniejszych (X—XII) toczyli zacięte boje z Niemcami i Duńczykami, w niektórych okresach ciężar obrony Słowian Połabskich na ich wyłącznie spoczywał barkach i Obodryci dowiedli, że udźwignąć go byli w stanie.. Jak dzielność, tak i ślamazarność bywa narodom wrodzoną, żeby więc waleczni Obodryci mieli być w przeszłości sentymentalnymi grajkami i niczym więcej, wierzyć się nie chce.

A teraz cofnijmy się do epoki Simokaty i sprawdźmy, czy marzycielskość Obodrytów, na jego właśnie czasy rzekomo przypadająca, była historycznym faktem. W jednej ze swych prac dawniejszych starałem się dowieść, że pierwotną ojczyzną Obodrytów, skąd później dopiero wypadło im pociągnąć w stronę Atlantyku, były nadodrzańskie okolice Pomorza, Weleci natomiast zajmowali wtedy Pomorze wschodnie;[15]) było tak w II wieku po Chrystusie, w dobie starożytnego imperium rzymskiego, wędrówka zaś w stronę zachodnią — jak w innej, przygotowanej do druku rozprawie wywodzę — przypadła na koniec V lub początek VI stulecia, tj. kilkadziesiąt lat przed wypadkami opisanymi przez Simokatę. Gdy tedy jedne i drugie rzesze ruszyły z Pomorza w drogę, Obodryci — jako w terenie dalej na zachód wysunięci — otwierali pochód czyli stanowili czoło wędrującej masy. A w takim razie pytam: czyż w burzliwych czasach wędrówek narodów było możliwe od-

---

[15]) Widajewicz, Przy ujściu Odry w drugiej połowie X wieku, Poznań 1935, str. 24—25.

bywać taki pochód bez mieczy, z samymi gęślami w ręku, i dalej: czy zdarzyło się kiedy, żeby nowe ziemie zdołał ktoś zdobyć nie mieczami, tylko gęślami? Sielanka obodrycka i w tej także epoce cech prawdopodobieństwa nie posiada.

A wreszcie szczegół najważniejszy. W relacji Simokaty powiedziano, że chan Awarów robił zabiegi „celem pozyskania posiłków wojennych, zasyłając władcom narodu liczne dary". Chodziło więc chanowi o „posiłki wojenne", a nie o orkiestrę, o ludzi z mieczami, nie z gęślami. Chan wiedział, co robi, gdyby więc Obodryci cieszyli się sławą tylko dobrych muzykantów, nie byłby się chan starał u nich o żołnierzy. Dlaczego posłowie obodryccy w obliczu greckiego cesarza taki kładli nacisk na pokojowe usposobienie swoje i swego narodu, wytłumaczyć nie trudno: chcieli po prostu uniknąć przykrości, związanych z dostaniem się do niewoli, zniekształcenie prawdy stało się dla nich koniecznością. Czy na terenie bizantyńskiego państwa mieli posłowie do przeprowadzenia jakieś wywiadowcze funkcje, czego domyślał się V. Jagić, trudno orzec coś stanowczego; organizacja i jakość greckiego wojska mogły ich interesować, z tym wszystkim ciekawości takiej nie sposób utożsamiać ze szpiegostwem chociażby dlatego, że dla oddalonych Obodrytów nie miało ono praktycznego znaczenia. Pewne w każdym razie, iż rolę „niewinnych baranków" odegrali posłowie znakomicie, spryt w tym okazali nielada.

Twierdząc, że opowieść o sielankowym życiu Obodrytów została przez ich posłów ad hoc spreparowana, nie chcę powiedzieć tym samym, jakoby nie było w niej ani źdźbła prawdy. Bodaj że najtrafniejszą ocenę wiarogodności Simokatowej relacji przedstawił S. Dobrzycki; jest w niej — powiedział — „bardzo dużo przesady i trochę prawdy".[16]) Mimo że rycerskiego animuszu Obodrytów kwestionować nie dozwala historia, mimo to powodu nie ma powątpiewać w muzyczne ich zamiłowania. Skądże bowiem przyszłoby posłom do głowy snuć baśnie właśnie na temat muzyki? Gęśle bądź co bądź mieli

[16]) Dobrzycki, o. c., str. 10.

przy sobie. Umiłowanie zatem muzyki przez ich ziomków uznać należy za fakt nie podlegający wątpieniu, i tylko specjalne wymogi sytuacji, w jakiej się posłowie w Tracji znaleźli, kazały im widocznie fakt ów wyolbrzymić i odpowiednio przekształcić. W kwestie dalsze: jakie znali Obodryci instrumenty, jak je nazywali itp., wnikać nie będę, ile że należy to do fachowych badaczy muzyki. Zauważę wreszcie, że relacja Simokaty, łącznie z innymi świadectwami historycznymi, ujawniają nam znamienny rys oblicza duchowego Obodrytów: zespolenie rycerskiego ducha z artystyczną żyłką, rys zresztą u ludów słowiańskich nie ten raz tylko dający się zaobserwować.

PRZEGLĄDY

Z ŻYCIA NAUKOWEGO

Spadek okupacyjny. — Praca wojenna i jej zagadkowość. — Brak inicjatywy i organizacji. — Towarzystwa akademickie. — Zmarnowana okazja krakowska. — Przedwczesne pomysły. — Uniwersytety i instytuty. — Opieka państwowa.

Zadanie kronikarza naszego życia naukowego nie jest ani łatwe ani przyjemne. Składa się na to mnóstwo przyczyn, dających się zresztą sprowadzić do wspólnego źródła, do spadku po czasach wojenno-okupacyjnych. Bez przesady bowiem powiedzieć można, że — jeśli cała nasza kultura duchowa wykazuje i zapewne długo jeszcze wykazywać będzie przeklęte ślady terroru niemieckiego — to w dziedzinie nauki są one dotkliwsze aniżeli w powiatach ościennych. Gdy bowiem czasu wojny sztuka mogła tu i ówdzie wegetować choćby w postaci skarlałej, nauka uległa podcięciu z chwilą, gdy z początkiem września 1939 pracownie jej zamknęły się na lat sześć, niekiedy nawet na znacznie dłużej. By nie narazić się na posądzenie o parafiańskie przecenianie własnego podwórka, wskazać trzeba, że w przeciwieństwie do sztuki, której twórca może na czas pewien odizolować się od życia społecznego, człowiek nauki jest z nim stale związany, praca bowiem dzisiejszego przyrodnika jest niemożliwa po za ścianami laboratorium, praca zaś humanisty wymaga co najmniej biblioteki. Okupacja zaś pracownie niemal wszystkie zamknęła, następnie ogromna ich większość skupiona w Warszawie podzieliła tragiczne losy stolicy, uległa zniszczeniu, znaczna ich wreszcie liczba, wskutek przesunięć terytorialnych, zawisła w próżni i co najmniej zawiesiła na czas nieokreślony swą działalność. Tym tłumaczy się nikłość poczynań nawet tam, gdzie pracownie ocalałe usiłują nawiązać do swych planów i zajęć przedwojennych i borykając się z trudnościami drukarskimi i papierniczymi, starają się dorobek swój udostępnić wygłodzonemu intelektualnie odbiorcy. Dotyczy to przede wszystkim Krakowa, gdzie pojawił się zeszyt „Języka polskiego", gdzie drukuje się w dalszym ciągu akademicki „Słownik biograficzny" oraz warszawskie „Fundamenta Mathematicae". O podobnych pracach na terenie stołecznym dotąd myśleć niepodobna, wskutek zniszczenia bowiem drukarń i nakładów nie ma do czego nawiązać. Przecież „Słownik geograficzny", podstawowe źródło tak doniosłych dzisiaj wiadomości o Pomorzu, uległ całkowitemu zniszczeniu już w czasie oblężenia r. 1939. Podobny los spotkał tam inne wy-

dawnictwa o charakterze encyklopedycznym, by wspomnieć tylko Brucknera „Encyklopedię staropolską" i „Historię kultury polskiej" lub J. Krzyżanowskiego „Historię literatury polskiej". Końcowy zeszyt pierwszej z tych publikacyj, ocalały w drukarni krakowskiej, uległ zagładzie w Warszawie podczas powstania; końcowy tom drugiej z nich przepadł bez śladu; połowa trzeciej, przetrwawszy w składzie i korektach cały niemal czas okupacji, zniszczała w zbombardowanej doszczętnie drukarni, lokalu firmy i mieszkaniu autora. A wypadki takie wyliczać by można całymi dziesiątkami.

Nikłość poczynań naukowych w ostatnim półroczu jest szczególnie zrozumiała, gdy się zważy, iż świat nauki czasu wojny skazany na wymarcie i zamarcie, poniósł nieobliczalne szkody w swych pracownikach. Nie posiadając odpowiednich danych statystycznych, niepodobna dziś jeszcze ustalić, jaki procent wykwalifikowanych naukowców stanowi podana niżej lista zmarłych. Dane te zresztą byłyby zawodne, jakżeż bowiem ocenić straty wśród pracowników początkujących, tych, którzy własnym, indywidualnym wysiłkiem wykształcili się w ciągu sześciu lat wojennych, a których tylu padło na krwawym bruku Warszawy. Ci zaś, co ocaleli, gonią nieraz ostatkiem sił, tak że powrót ich do pracy normalnej wymaga specjalnych zabiegów, o których powie się dalej. Trudno wreszcie pominąć czynnik tak w życiu naukowym doniosły, jak orientacja w dorobku ogólnoświatowym, od którego nauka polska była odcięta i z którym do dzisiaj jeszcze kontaktów nawiązać nie zdołała. Być zresztą może, że kontakty te chwilowo nie będą zbyt owocne. Za takim przypuszczeniem przemawiałyby mało znane fakty, w rodzaju unieruchomienia na czas wojny studiów humanistycznych w Anglii, lub listy uczonych francuskich, kierowane do ich kolegów polskich z prośbą o radę, jak nawiązać zerwane tradycje współpracy przedwojennej. Wątpliwości jednak nie ulega, że nawiązanie takie jest koniecznością. Zespołowa praca uczonych polskich w Ameryce znalazła wyraz w dużej, trzechtomowej publikacji, o której wiadomości bliższe przyniesie może już kronika następna; w niej też znajdzie się sprawozdanie z jedynej, jak dotąd, próby zbilansowania strat nauki naszej czasu wojny; myślę tutaj o książce, powstałej w kraju, wydanej zaś w Londynie jako relacja o „Nazistowskiej Kulturze w Polsce" (The Nazi Kultur in Poland), książce całkowicie chyba u nas dotąd nieznanej, jak wnosić wolno z faktu, iż głucho o niej w prasie i codziennej i periodycznej. Milczenie to, częściowo tylko usprawiedliwione rzadkością tego białego kruka, niekoniecznie korzystnie świadczy o zdolnościach organizacyjnych naszych przedstawicieli nauki, jakkolwiek zdolności tych od nich właśnie można by oczekiwać.

Nie brakło ich przecież w czasach, gdy ujawnienie ich mogło grozić śmiercią lub co najmniej obozem. Działalność podziemna instytucyj takich, jak Sekcja językowa Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Two Literackie im. Mickiewicza w Warszawe, Two Filozoficzne w Wilnie, z których każda miała po kilkanaście a nawet kilkadziesiąt posiedzeń naukowych, dowodzi, że organizować się umiano w czasach najcięższych. Podobnie zresztą prężność organizacyjną instytucje te przejawiły bezpośrednio po klęsce najeźdźcy, jak dowodzi ożywiona działalność towarzystw akademickich na terenie Krakowa i Warszawy, by na razie do dwu tych ośrodków się ograniczyć. Ale i tu nie wszystko jest bez ale.

Wiadomo tedy, że czasu okupacji zorganizowano szeroko zakrojoną akcję podręcznikową o charakterze uniwersyteckim. Akcję w naszych warunkach niesłychanie doniosłą, gdy się zważy na konieczność doraźnej rozbudowy szkolnictwa wyższego, które w możliwie krótkim czasie powinno dostarczyć całej armii dobrze

przygotowanych pracowników w rozmaitych dziedzinach życia zbiorowego. Podręczników takich w Warszawie powstawało 280, w Krakowie 80, nie popełni się błędu przyjmując, że nie wszystkie zostały podanymi cyframi objęte i sumę ich zaokrągli do 400. Przypuszczać wolno, że w liczbie tej pokaźną pozycją musiały być książki o charakterze humanistycznym. Rzecz jednak dziwna i niezrozumiała, że w dziedzinie, którą mogłem bezpośrednio obserwować, rezultatów tej akcji dotąd nie widać. Myślę mianowicie o posiedzeniach P. A. U. w Krakowie i o krakowskich oraz warszawskich posiedzeniach T. N. W. Na jednych i drugich przed sierpniem autorzy zreferowali zaledwie 5 prac o charakterze podręcznikowym, gdzież więc reszta? Sprawa to o tyle godna ubolewania, że niezależnie od wartości samych prac, dokonanych w obrębie wojennego sześciolecia, ich ujawnienie choćby w postaci referatowej, samą swą ilością pozwoliło by na snucie pewnych wniosków o wartości wewnętrznej świata naszej nauki. Niewątpliwie jego obserwatorowi ukaże się tam trochę zwyczajnej blagi, ale równie niewątpliwie na plan pierwszy wystąpi w nim normalny nałóg pracy zawodowej, a przypuścić się godzi, że nie braknie w nim również swoistego heroizmu, przezwyciężania koszmarnej codzienności przez pracę podejmowaną i wykonywaną z myślą o jutrze, pracę rozumianą jako rzucanie podwalin pod życie w wolnej i lepszej Polsce.

Szukając przyczyn tej dziwnej wstrzemięźliwości w wydobyciu z pod korca rezultatów wieloletniej pracy, dotknąć się musi zagadnienia Krakowa w nauce dzisiejszej, a więc punktu newralgicznego naszej powojennej kultury umysłowej. Jego sfery naukowe niejednokrotnie z dumą podkreślały, że powołany jest on do odegrania roli stolicy duchowej w nowej Polsce. Istotnie jest to jedyne u nas miasto, które z przepraw wojennych wyszło obronną ręką, którego gmachy naukowe stoją całe, którego pracownie nie uległy zniszczeniu ni rozgrabieniu, którego pracownicy mają dach nad głową i w ogromnej większości niezniszczone warsztaty pracy domowej, a jeśli cierpią biedę, to jest ona bez porównania mniejsza od biedy ich kolegów, tułających się dotąd przeważnie po obcych im miastach a korzystających z takich samych świadczeń państwowych. W tych warunkach miało się prawo oczekiwać od Krakowa inicjatywy w życiu naukowym, więcej nawet, bo podjęcia kroków dla inicjatywy tej zrealizowania. Oczekiwania te zawiodły na całej linii. Pierwsze po sześciu latach święto nauki polskiej, doroczne posiedzenie Polskiej Akademii Umiejętności dowiodło, że owe pretensje stołeczne wyrosły na gruncie ambicyj zaściankowych. Sprawozdanie Sekretarza Generalnego, zamiast szerokich perspektyw organizacyjnych, wskazujących zasady odbudowy życia naukowego w Polsce demokratycznej, przyniosło wiadomości o przeprawach władz akademickich z narzuconymi administratorami niemieckimi, zamiast programu naukowego wysunęło program bardzo utylitarny, akcentując konieczność odzyskania przez instytucję naukową odjętych jej folwarków i innych majątków ziemskich. Co osobliwsza, enunciacja, która miała stać się źródłem promieni, rozświetlających szarzyznę dni powojennych wskazaniem na ogrom zadań, które nauka w Polsce musi podjąć i rozwiązać, jeśli zamierza być wierna swej naturze, enuncjacja ta stała się punktem wyjścia dla bardzo dotkliwej a zasłużonej kampanii prasowej, wymierzonej przeciw powołaniu do Akademii kilku członków, obciążonych zarzutem współpracy z okupantem. Nie wdając się w ocenę postępowania danych osób, sprawa ta bowiem należy do kompetencji powołanych do tego organów państwowych, nie zapuszczając się w dociekania, jakimi kryteriami naukowymi kierowano się przy ich wyborze powiedzieć się musi, że osoby te chluby nauce polskiej swą działalnością wojenną, nawet wymu-

szoną, nie przyniosły, jak korzyści jej nie przyniosło ich wyróżnienie przez Akademię.

Wypadek ten wymownie ilustruje atmosferę krakowską i do pewnego stopnia wyjaśnia, dlaczego „gród podwawelski" nie umiał wyzyskać jedynej w swoim rodzaju sytuacji, w której wczesną wiosną postawiły go łaskawe dlań losy. Były to tygodnie, gdy w gościnnych murach Biblioteki Jagiellońskiej spotkały się niemal wszystkie uczelnie akademickie Polski, gdy w korytarzach pięknego gmachu stykali się codziennie niemal przedstawiciele wszystkich nauk i wszystkich miast, gdy więc można było tworzyć nie tylko doraźne sejmiki, ale zorganizować narady walne nad sprawami dla życia naukowego najistotniejszymi. Dzisiaj, gdy „przygarnięci" odeszli, niejednokrotnie otrząsając przysłowiowy pył z obuwia i wynosząc wspomnienia, mało dla Krakowa życzliwe, — dlaczego, odpowie na to kiedyś psycholog czy socjolog zainteresowany zagadnieniem zaściankowości właśnie (Kraków broni się jak może, by nie stać się wielkim miastem, rzekł w owe dni któryś z wybitnych przyrodników) — dzisiaj okazja taka się nie powtórzy, przedstawiciele bowiem nauki rozpierzchli się po ośrodkach innych, zajęci pionierską pracą odbudowy lub wręcz budowy nowych skupień pracy naukowej.

Jądrami tych skupień stają się z natury rzeczy uniwersytety w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi, Toruniu i Lublinie. Ich charakter i rola wymagałyby osobnego omówienia, w stopniu bowiem daleko silniejszym niż przed wojną, będą one musiały łączyć nauczanie i naukę; ponieważ jednak niemal wszystkie, a właściwie to nawet wszystkie, nie wyszły dotąd ze stadium organizacyjnego, nawet bowiem Alma Mater krakowska nie zdołała dotąd zapełnić luk i wyrw wojennych, rozważania nad nimi musiałyby mieć dzisiaj charakter wyłącznie teoretyczny. Nie znaczy to, by dyskusja teoretyczna nie była dzisiaj wskazana. Próby jej pojawiły się już (artykuł Michajłowa w „Odrodzeniu"); okoliczność jednak że próby te przeszły bez echa, wskazuje, że do gruntownego rozważenia sprawy nie jesteśmy należycie przygotowani. A sprawa to niezwykle doniosła i wymagająca namysłu. M. in. chodzi tu o problem instytutów badawczych, wolnych od obowiązku nauczania, a więc przeznaczonych na pracownie, poświęcone wyłącznie nauce. W dziedzinie tej raz po raz padają takie czy inne projekty, które na razie traktować można jako sygnały pewnych potrzeb, może nawet jako wytyczne na przyszłość, a nie jako plany nadające się do natychmiastowej realizacji. Jak zaś potrzeby te są żywo odczuwane i jak prowadzą do pomysłów nierealnych, świadczy drobny fakt z pogranicza życia naukowego i literackiego. Wśród uchwał mianowicie Zjazdu pisarzy chłopskich, zapadłych w Warszawie w początkach sierpnia, znaleźć można domaganie się reedycji „Ludu" Kolberga. Projektowi temu można by gorąco przyklasnąć, gdyby nie jedno ale. Ojciec ludoznawstwa polskiego, wychowanek poglądów i przesądów romantycznych, był etnografem-amatorem, i w dziele swoim dał istny lamus materiałów bezcennych, autentycznych, pomieszanych jednak z składnikami zgoła nie ludowymi. Chcąc trzydziestotomowy jego dorobek udostępnić dzisiaj, trzeba go opracować krytycznie, zadanie to zaś, ze względu na jego ogrom, podjąć i wykonać może tylko instytut etnograficzno-folklorystyczny, a więc pracownia, jakiej nie mieliśmy przed wojną i jakiej prawdopodobnie prędko się nie doczekamy. Być zresztą może, że realizacja tej inicjatywy wymagałaby współpracy kilku różnych instytutów, w każdym jednak razie sam projekt w dzisiejszych warunkach jest całkowicie nierealny.

Wysuwanie jednak pomysłów, choćby chwilowo niewykonalnych, jest bardzo wskazane, ponieważ ich ogół może stać się systemem wytycznych

w planowej gospodarce państwowej na polu nauki. Nadeszła bowiem długo oczekiwana chwila, gdy o gospodarce takiej można już mówić na podstawie dokumentów, stwierdzających pierwsze przejawy polityki naukowej. W połowie sierpnia mianowicie odbyło się w Warszawie pierwsze posiedzenie Rady Naukowej, powołanej do życia jako organ opiniodawczy przy Ministerstwie Oświaty. W skład nowej instytucji weszli profesorowie: Stefan Białchowski, Franciszek Bujak, Józef Chałasiński, Walery Goetel, Tadeusz Kotarbiński, Tadeusz Kowalski, Władysław Kuczewski, Stanisław Kulczyński, Edward Lipiński, Mieczysław Michałowicz, Zygmunt Mysłakowski, Stefan Pieńkowski, Bogdan Stefanowski, Franciszek Staff, Bogdan Suchodolski, Władysław Szafer, Zygmunt Szymanowski, Stanisław Wędkiewicz i Józef Zawadzki. Witając gorąco powstanie tak doniosłej placówki, niepodobna przecież nie zwrócić uwagi na jej charakterystyczne niedomaganie; organ doradczy składać się naturalnie musi z fachowców, zorientowanych w doniosłych dziedzinach życia naukowego; w Radzie Naukowej, obejmującej tylu znakomitych specjalistów, nie ma przedstawicieli całych ogromnych działów nauki, które w odbudowie czy przebudowie życia polskiego powołane są do odegrania bardzo doniosłej roli, działów mianowicie dotyczących Polski, jej historii, literatury, języka, prawa. Jeśli te niedomagania są wynikiem przeoczenia, spodziewać się należy odpowiednich przesunięć przed przystąpieniem Rady, na wspomnianym posiedzeniu debatującej nad sprawami praktyczno-administracyjnymi, do zadań właściwych, omówienia postulatów dzisiejszego życia naukowego.

Na posiedzeniu tym zajmowano się m. in. sprawą bardzo dotkliwą, bo uposażeniem całej dużej kategorii pracowników naukowych, których po sześciu latach wojny trudno nazywać „młodszymi", mianowicie docentów uniwersyteckich, proponując jej rozwiązanie dla danej kategorii bardzo korzystne, bo zabezpieczające jej możność poświęcania się nauce bez nadmiernej troski o chleb powszedni. Niedomaganiom życia naukowego w tej dziedzinie państwo usiłuje zaradzić przez stworzenie instytucji „Tysiąca zasłużonych", obejmującej również kilkadziesiąt nazwisk czołowych przedstawicieli nauki. Zainicjowany w ten sposób „Fundusz Kultury Narodowej", oparty na innych i bodajże zdrowszych zasadach od swego poprzednika przedwojennego, ma zająć się nie tylko ludźmi znanymi w nauce, ale również pracownikami młodymi, początkującymi, zorientowanymi ku przyszłości.

Na ogłoszonej dotąd liście zasłużonych naukowców widnieją następujące nazwiska: Baley Stefan, Bassalik Kazimierz, Białobrzeski Czesław, Blaton Jan, Bohdanowicz Karol, Borowy Wacław, Bujak Franciszek, Bystroń Jan Stanisław, Chałasiński Józef, Chybiński Adolf, Czekanowski Jan, Czubalski Franciszek, Dąbrowski Jan, Dobrowolski Antoni Bolesław, Dobrowolski Tadeusz, Gąsiorowski Stanisław, Hirszfeld Ludwik, Hryniewiecki Bolesław, Huber Maksymilian, Ingarden Roman, Kalinowski Stanisław, Kętrzyński Stanisław, Kleiner Juliusz, Kolankowski Ludwik, Kołodziejczyk January, Konopczyński Władysław, Kopera Feliks, Kotarbiński Tadeusz, Kowalski Tadeusz, Kozłowski Roman, Krokiewicz Adam, Krzyżanowski Julian, Kulczyński Stanisław, Kuntze Edward, Kuratowski Kazimierz, Kutrzeba Stanisław, Lande Jerzy, Marchlewski Leon, Mazurkiewicz Jan, Michalski ks. Konstanty, Michalski Stanisław, Mysłakowski Zygmunt, Nawroczyński Bohdan, Nitsch Kazimierz, Ossowska Maria, Ossowski Stanisław, Pieńkowski Stefan, Pigoń Stanisław, Pollak Roman, Przelaskowski Ryszard, Przychocki Gustaw, Raabe Henryk, Radlińska Helena, Romer Eugeniusz, Rostafiński Jan, Rusinowicz Wojciech, Samsonowicz Jan, Sierpiński Wacław, Sinko Tadeusz, Sto-

łyhwo Kazimierz, Suchodolski Bogdan, Suchodolski Witold, Szafer Władysław, Szuman Stefan, Tatarkiewicz Władysław, Ułaszyn Henryk, Walicki Michał, Weigel Rudolf, Wędkiewicz Stanisław, Witwicki Władysław, Wojciechowski Stanisław, Wolffke Mieczysław, Zakrzewski Konstanty, Zawadzki Józef, Znamierowski Czesław, Zaleski Stefan.

Powstanie obydwu tych instytucyj pozwala żywić nadzieję, że świat nauki polskiej, dotąd nieskupiony i należycie nie reprezntowany w instytucjach życia zbiorowego, rychło wejdzie w stadium konsolidacji wewnętrznej i pocznie w życiu tym odgrywać rolę, do której jest powołany przez sam charakter swej pracy, przez społeczną doniosłość nauki w państwie demokratycznym. Wyrazem zaś tej konsolidacji pierwszym stanie się systematyczne pojawianie się prac naukowych, które w całej pełni odsłonią i bogactwo dorobku wojennego i doniosłość poczynań naukowych dla wymagań nowych czasów.

J. K-i.

STRATY W ŚWIECIE NAUKI POLSKIEJ

I. Teologia

Archutowski Józef ks. — prof. Uniw. Jag. † 1944.

Bielawski Zygmunt ks. — prof. Uniw. Lwowskiego † 1939.

Bobicz Ildefons ks. — homiletyk † 1944.

Bukowski Alojzy ks. — prof. Uniw. Warsz.

Bursche Edmund — pastor, prof. Uniw. Warsz. † 1940.

Demitrowski Jakub ks. — b. zast. prof. w Uniw. Lwowskim.

Fic Atanazy ks. — docent Uniw. Jag. † 1943.

Frankl Stanisław ks. — prof. Uniw. Lwowskiego.

Gerstman Adam ks. — prof. Uniw. Lwowskiego † 1940.

Gołba Franciszek ks. — prof. Uniw. Jag. † 1944.

Grzelak Władysław ks. — prof. Uniw. Jag. † 1944.

Hlebowicz Henryk ks. — zast. prof. Uniw. Wileńskiego † 1941.

Jachimowski Tadeusz ks. — teolog i historyk filozofii † 1944.

Jougan Alojzy — emeryt. prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Mazerski Jan ks. — biblista, lektor jęz. wschodnich w Uniw. Jag. † 1944.

Mączka Czesław O. — prowincjał OO. Dominikanów, kaznodzieja i teolog.

Michalski Wilhelm ks. — prof. Uniw. Warsz.

Michejda Karol — pastor, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Morawski Marian ks. — prof. Uniw. Jag. † 1940.

Narajewski Stanisław ks. — prof. Uniw. Lwowskiego † 1943 (?).

Niechaj Michał ks. — wykładowca kat. Uniw. Lubelskiego † 1939.

Nowowiejski Antoni Julian — ks. arcybiskup, autor prac liturgicznych i monografii Płocka † 1941.

Puciata Leon ks. — prof. Uniw. Wileńskiego † 1943.

Rosłaniec Franciszek ks. — prof. Uniw. Warsz.

Salamucha Jan ks. — prof. Uniw. Jag. † 1944.

Sieniatycki Maciej ks. — emeryt. prof. Uniw. Jag.

Skibniewski Stefan ks. — prof. Uniw. Lwowskiego.

Smoroński Kazimierz ks. — redemptorysta, prof. nauk biblijnych w Instytucie Teleog. w Tuchowie † 1942.

Stawarczyk Jan ks. — prof. Uniw. Warsz. † 1944.

II. Medycyna

Artwiński Eugeniusz — neurolog prof. Uniw. Lwowskiego † 1944.

Bajoński Jan — ginekolog, docent Uniw. Pozn. † 1941.

Baurowicz Aleksander — laryngolog, emeryt. prof. Uniw. Jag.

Beck Adolf — fizjolog, członek P. A. U., prof. honor. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Bednarski Adam — okulista, historyk okulistyki, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Bier Leonard — higienista, docent Uniw. Jag. † 1943.

Bujwid Odon — higienista, bakteriolog, prof. emeryt. Uniw. Jag. † 1942.

Cieszyński Antoni — stomatolog, redaktor „Polskiej Stomatologii", prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Ciechanowski Stanisław — prof. patologii doświadczalnej na Uniw. Jag., członek PAU † 1945.

Dobrzaniecki Władysław — chirurg, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Franke Marian — prof. patologii na Uniw. Lwowskim, członek PAU † 1944.

Gąsiorowski Napoleon — bakteriolog, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Giedroyć Franciszek — wenerolog, historyk medycyny, prof. emeryt. Uniw. Warsz. † 1944.

Gieszczykiewicz Marian — bakteriolog, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1942.

Godlewski Emil — biolog, prof. Uniw Jag., członek PAU † 1944.

Godłowski Włodzimierz — neurolog, prof. Uniw. Wileńskiego † 1941.

Gorecki Zdzisław — internista, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Grek Jan — internista, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Grzędzielski Jerzy — okulista, docent Uniw. Lwowskiego † 1941.

Grzybowski Józef — chirurg, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Hilarowicz Henryk — chirurg, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Horoszkiewicz Stefan — prof. medycyny sądowej Uniw. Poznańskiego † 1945.

Hrom Stanisław — internista, docent Uniw. Warsz. † 1943.

Jałowy Bolesław — histolog, prof. Uniw. Lwowskiego † 1943.

Janiszewski Tomasz Wiktor — higienista, prof. honor. emeryt. Uniw. Warsz.

Karwacki Leon — internista, prof. Uniw. Warsz. † 1943.

Kmietowicz Franciszek jr. — docent Uniw. Warsz. † 1940.

Konopacki Mieczysław — biolog, prof. histologii i embriologii Uniw. Warsz., członek PAU † 1939.

Kopeć Stefan — biolog, prof. Uniw. Warsz., członek PAU † 1941.

Kostanecki Kazimierz — anatom, b. prezes PAU, honor. prof. Uniw. Jag. † 1940.

Kowalski Edward — balneolog, docent Uniw. Lwowskiego † 1942.

Kwiatkowski Stefan — wenerolog, docent Uniw. Lwowskiego † 1944.

Leszczyński Roman — dermatolog, prof. Uniw. Lwowskiego † 1940.

Leśniowski Antoni — chirurg, prof. Uniw. Warsz. † 1939.

Loth Edward — anatom, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Łuniewski Witold — psychiatra, docent Uniw. Jag. † 1943.

Maternowska Irena — higienistka, prof. Uniw. Warsz. † 1942.

Mączewski Stanisław — ginekolog, docent Uniw. Lwowskiego † 1941.

Modrakowski Jerzy — farmakolog, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1945.

Mystkowski — internista, docent Uniw. Pozn., prof. w Edynburgu † 1943.

Nitsch Roman — bakteriolog, prof. Uniw. Warsz. i Akademii Stomatolog., członek PAU † 1943.

Nowicki Witold — anatom, członek PAU, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Orzechowski Kazimierz — neurolog, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1942.

Ossowski Antoni — farmakolog, prof. Uniw. Warsz. † 1939.

Ostern Paweł — docent chemii lekarskiej na Uniw. Lwowskim † 1941.

Ostrowski Tadeusz — chirurg, prof. Un. Lw. † 1941.

Padlewski Leon — bakteriolog, prof. Uniw. Pozn. † 1943.

Pelczar Kazimierz — internista, prof. Uniw. Wileńskiego † 1943.

Pieńkowski Stefan Kazimierz —

neurolog, prof. Uniw. Jag., członek PAU † 1941.

Poratyński Jan — farmakolog, wykładowca Uniw. Lwowskiego † 1941.

Progulski Stanisław — pediatra, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Radliński Zygmunt — chirurg, prof. Uniw. Warsz. † 1941.

Raszeja Franciszek — chirurg ortopedysta, prof. Uniw. Pozn. † 1942.

Rencki Roman — internista, prof. Uniw. Lwowskiego, członek PAU † 1941.

Rosnowski Michał — internista, docent Uniw. Warsz. † 1941.

Rudzki Stefan — pułk. lekarz, wiceprezes Pol. Tow. do badań nad gruźlicą † 1941.

Ruff Stanisław — chirurg, docent Uniw. Lwowskiego † 1941.

Schramm Hilary — chirurg, prof. Uniw. Lwowskiego, członek PAU † 1940.

Sieradzki Włodzimierz — prof. medycyny Uniw. Lwowskiego † 1941.

Sikorski Henryk — farmakolog, docent Uniw. Warsz. † 1941.

Sołowiej Adam — ginekolog, emeryt. prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Szerszyński Bronisław — docent chirurgii w Akademii Stomatologicznej w Warszawie.

Szulc Gustaw — higienista, prof. Uniw. Warsz., dyrektor Państw. Zakładu Higieny † 1942.

Ściesiński Kazimierz — anatom, docent Uniw. Jag. † 1939.

Wachholz Leon — honor. prof. medycyny sądowej na Uniw. Jag. † 1942.

Wilga Hilary — prof. Akad. Stomatologicznej w Warszawie † 1942.

Zawodziński Tadeusz — ginekolog, docent Uniw. Warsz. † 1941.

Zbyszewski Leon — prof. fizjologii człowieka na Uniw. Pozn. † 1943.

Zeyland Janusz — pediatra, prof. Uniw. Pozn. † 1944.

Zieliński Marian — neuropatolog, prof. Uniw. Jag. † 1941.

Zuberbier Dionizy — oto-rinolaryngolog, docent Uniw. Warsz. † 1941.

III. Nauki prawne, ekonomiczne i społeczne

Allerhand Maurycy — prawnik, prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Barwiński Eugeniusz — prawnik, wykładowca SGH w Warszawie † 1939.

Biegeleisen Leon Władysław — ekonomista, prof. WWP.

Bossowski Franciszek — prawnik, prof. Uniw. Wileńskiego † 1940.

Bronikowski Wiktor — socjolog, docent SGGW w Warszawie, współredaktor „Roczników Socjologii Wsi" † 1940.

Bukowiecki Stanisław — prawnik, prof. WWP w Warszawie, prezes Prokuratorii Gen. † 1944.

Caro Leopold — ekonomista, prof. emeryt. Politechniki Lwowskiej.

Chorzewski Maurycy — prof. nauki o handlu w SGH w Warszawie † 1944.

Curzytek Jan — rolnik-ekonomista † 1944.

Dubanowicz Edward — prawnik † 1943.

Dziewulski Stefan — ekonomista i prawnik, długoletni redaktor „Ekonomisty", prof. WWP. w Warszawie † 1941.

Ereciński Tadeusz — historyk prawa polskiego † 1944.

Estreicher Stanisław — prawnik, bibliograf, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1939.

Glass Jakub — prawnik, b. pisarz hipoteczny w Warszawie i wykładowca na Uniw. Warsz. † 1942.

Gliwic Hipolit — ekonomista, prof. WWP w Warszawie † 1943.

Głąbiński Stanisław — ekonomista, prof. skarbowości na Uniw. Lwowskim † 1943.

Gromnicki Tadeusz ks. — prawnik, prof. honor. Uniw. Jag. † 1939.

Gutkowski Mieczysław — ekonomista, prof. Uniw. Wileńskiego † 1943.

Heydel Adam — ekonomista, prof. Uniw. Jag. † 1941.

Jaglarz Jerzy ks. — prawnik, kanonista.

Jastrzębski Mieczysław — ekonomista-ubezpieczeniowiec † 1943.

Kamiński Jan — prof. historii prawa

na Zach. Europy w Kat. Uniw. Lubelskim † 1941.

Korniłowicz Kazimierz — dyrektor Instytutu Spraw Społecznych, wykładowca na WWP w Warszawie † 1939.

Korowicz Henryk — ekonomista, prof. Akad. Handlu Zagr. we Lwowie † 1941.

Koschembahr-Łyskowski Ignacy — prawnik, prof. honor. emeryt. Uniw. Warsz. † 1945.

Kosieradzki Władysław — prawnik, docent Uniw. Warsz. † 1944.

Kostanecki Antoni — ekonomista, prof. honor. emeryt. Uniw. Warsz.

Król Michał — prawnik, docent Uniw. Wileńskiego † 1943.

Kruczkowski Konstanty — ekonomista, prof. i dyrektor biblioteki SGH w Warszawie † 1939.

Krzywicki Ludwik — socjolog, ekonomista, etnolog, prof. honor. emeryt. Uniw. Warsz. † 1942.

Kulczycki Ludwik — socjolog, prof. Akademii Nauk Polit. w Warszawie † 1942.

Kumaniecki Kazimierz Władysław — prawnik, statystyk, prof. Uniw. Jag. † 1941.

Landau Ludwik — ekonomista † 1943.

Libicki Janusz — ekonomista, docent ekonomii politycznej i skarbowości Uniw. Jag. † 1941.

Limanowski Zygmunt — statystyk, prof. SGH i kierownik Wydziału Statystycznego Zarządu Miejskiego w Warszawie † 1943.

Longchamps de Berrier Roman prawnik, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Ludkiewicz Zdzisław — rolnik-ekonomista, prof. SGGW w Warszawie † 1942.

Lutostański Karol — prawnik, prezes Kasy im. Mianowskiego, prof. Uniw. Warsz. † 1939.

Łazowski Jan — ekonomista-ubezpieczeniowiec, docent SGH w Warszawie † 1942.

Makowski Wacław — prawnik, prof. Uniw. Warsz. † 1942.

Martyniak Czesław — zast. prof. teorii i filozofii prawa na Kat. Uniw. Lubelskim † 1939.

Mayer Antoni — prawnik, wykładowca w Akad. Górniczej w Krakowie † 1939.

Mayer Zbigniew — historyk prawa.

Olszewski Antoni — ekonomista, b. prezes Delegacji Polskiej w Komisji Reewakuacyjnej i Specjalnej w Moskwie.

Orzęcki Michał — prawnik, wykładowca WWP w Warszawie.

Paczkowski Jerzy — prawnik, prof. Uniw. Poznańskiego † 1939.

Pazdro Zbigniew — prawnik, prof. Uniw. Lwowskiego † 1939.

Piekałkiewicz Jan — statystyk, prof. WWP i Szkoły Nauk Polit. w Warszawie, docent Uniw. Lwowskiego † 1943.

Polkowski Leonard — ekonomista, wykładowca SGH w Warszawie † 1944.

Próchnicki Zdzisław — prawnik, zast. prof. na Uniw. Lwowskim † 1939.

Rapacki Marian — spółdzielca, wykładowca SGH w Warszawie † 1944.

Rostworowski Michał — prawnik, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Rybarski Roman — ekonomista, prof. Uniw. Warsz., członek PAU † 1942.

Schorr Alfred — socjolog.

Stahl Zdzisław — ekonomista, docent, Uniw. Lwowskiego.

Starzewski Maciej — prawnik, prof. Uniw. Jag. † 1944.

Stelmachowski Bronisław — prawnik, prof. Uniw. Poznańskiego.

Supiński Wiktor — prawnik, wykładowca w SGH w Warszawie † 1940.

Szurig Jerzy — ekonomista † 1941.

Szymański Antoni ks. — socjolog, prof. Kat. Uniw. Lubelskiego.

Wasiutyński Bogdan — prawnik prof. Uniw. Warsz.

Waśkowski Eugeniusz — prawnik prof. em. Uniw. Wileńskiego † 1942.

Wróblewski Bronisław — prawnik, prof. Uniw. Wileńskiego.

Zieleniewski Leon — prawnik, bibliograf † 1940.

Żongołłowicz Bronisław ks. prawnik kanonista, prof. Uniw. Wileńsk. † 1944.

IV. Nauki humanistyczne

Abancourt (d') Helena — historyczka sztuki, literatka, tłumaczka † 1942.

Abiński Michał — historyk literatury, fonetyk † 1944.

Abraham Władysław — historyk organizacji Kościoła w Polsce, emeryt. prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Adalberg Samuel — autor „Księgi przysłów polskich" † 1939.

Auerbach Marian — filolog klasyczny, docent Uniw. Lwowskiego † 1941.

Badeni Stanisław Henryk — prawnik, historyk, mecenas nauki, wydawca „Przeglądu Współczesnego" † 1943.

Bałaban Majer — historyk Żydów w Polsce, prof. Uniw. Warsz. † 1943.

Bartys Jan — prehistoryk † 1941.

Batowski Zygmunt — historyk sztuki, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Bąbała Jerzy — slawista † 1943.

Bednarski Stanisław ks. T. J. — historyk szkolnictwa † 1942.

Ber Wiktor — prehistoryk.

Bernacki Ludwik — historyk literatury, bibliograf, dyrektor Zakł. Nar. im. Ossolińskich i docent Uniw. we Lwowie, członek PAU † 1939.

Bieniasz Józef — historyk, wicedyrektor Instytutu Bałtyckiego w Gdyni † 1939.

Birkenmajer Józef — filolog. polonista, docent Uniw. Jag. † 1939.

Bleiberg Jakub — filozof, badacz Spinozy.

Blüth Rafał — historyk literatury † 1939.

Bobek Władysław — slawista, docent Uniw. Jag. † 1942(?)

Borowski Stanisław — historyk prawodawstw słowiańskich, docent Uniw. Warsz. † 1945.

Breit Henryk — językoznawca † 1941.

Charewiczowa Łucja — historyczka, docent Uniw. Lwowskiego † 1943.

Chętnik Adam — etnograf, badacz Kurpiów † 1940.

Chodynicki Kazimierz — historyk, prof. Uniw. Poznańsk., członek PAU † 1942.

Chomiński Olgierd — polonista, slawista, prof. Uniw. Wileńsk. † 1943.

Chorowiczowa Anna — historyczka literatury, redaktorka encyklopedii „Świat i Życie" † 1943.

Chrzanowski Ignacy — historyk literatury, prof. hon. emeryt. Uniw. Jag., członek PAU † 1940.

Cierniak Jędrzej — etnograf, red. „Teatru Ludowego" † 1941.

Cieśliński Jan — romanista, wykładowca w SGH w Warszawie † 1944.

Cywiński Stanisław — historyk literatury, docent Uniw. Wileńskiego † 1941.

Czołowski Aleksander — historyk, muzeolog, dyrektor Archiwum m. Lwowa † 1944.

Czortkower Samuel — antropolog † 1942.

Ćwikliński Ludwik — filolog klasyczny, członek PAU, prof. honor. Uniw. Poznańskiego † 1943.

Dąbrowski Jan — krytyk literacki † 1940.

Delekta Jacek — prehistoryk.

Dembiński Bronisław — historyk, prof. honor. Uniw. Poznańsk., członek PAU, prezes Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk † 1939.

Demby Stefan — bibliograf, emeryt. dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie † 1939.

Drogoszewski Aureli — historyk literatury, prof. WWP w Warszawie † 1943.

Duda Franciszek — historyk, dyrektor Archiwum Państw. w Krakowie † 1945.

Durczewski Zdzisław — prehistoryk.

Dyboski Roman — anglista, prof. Uniw. Jag., członek PAU † 1945.

Dziadulewicz Stanisław — historyk, heraldyk † 1942.

Ekielski Jan — historyk sztuki † 1942.

Fik Ignacy — polonista † 1942.

Fischer Adam — etnolog i etnograf, prof. Uniw. Lwowskiego † 1943.

Fitzke Jan — prehistoryk, kustosz Muzeum ziemi wołyńskiej w Łucku † 1941.

Friedrich Henryk — językoznawca † 1944.

Fryde Ludwik — polonista † 1942.

Gembarzewski Bronisław — historyk wojskowości, b. dyrektor Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska w Warszawie † 1941.

Gieburowski Wacław ks. — muzykolog, docent Uniw. Poznańsk. † 1943.

Gładysz Bronisław ks. — docent łaciny średniow. na Uniw. Poznańsk. † 1943.

Goldman Jan — romanista.

Gołąbek Józef — slawista, docent Uniw. Warsz. † 1939.

Goryński Ludwik — psycholog, wykładowca Uniw. Warsz. † 1943.

Hopensztand Dawid — polonista † 1942.

Janiszewski Władysław — kustosz Muzeum Narodowego w Krakowie † 1943.

Jarecki Kazimierz — romanista, prof. Uniw. Lwowskiego † 1941.

Jaworski Jan — sinolog, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Kamykowski Ludwik — historyk literatury, docent Uniw. Jag. † 1944.

Kisielewska (Oksza) Julia — popularyzatorka historii i pamiętnikarka † 1943.

Klich Edward — językoznawca, prof. Uniw. Poznańsk. † 1939.

Klimek Stanisław — antropolog, docent Uniw. Lwowsk. † 1939.

Kniat Marian — historyk gospodarczy, archiwista † 1944.

Koniński Kazimierz Ludwik — historyk i krytyk kultury † 1943.

Kolbuszewski Kazimierz — historyk literatury, prof. Uniw. Lwowskiego † 1943.

Kołaczkowski Stefan — historyk literatury, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Komornicki Stefan — historyk sztuki, kustosz Muzeum Czartoryskich i docent Uniw. Jag. † 1942.

Kosibowicz Edward ks. T. J. — redaktor „Przeglądu Powszechnego" † 1944.

Kostołowski Erazm — historyk kultury † 1941.

Kotula Rudolf — bibliograf, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie † 1940.

Kotwicz Władysław — badacz historii i języka mongolskiego, prezes Pol. Tow. Orientalistycznego, redaktor „Rocznika Orientalistycznego" i Collectanea Orientalia, prof. Uniw. Lwowskiego † 1945.

Krasiński Edward — mecenas nauki, fundator nowej siedziby Biblioteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich w Warszawie.

Król Kazimierz — historyk, językoznawca † 1944.

Kubicki Paweł — ks. biskup sufragan sandomierski, historyk † 1944.

Łatacz Eugeniusz — historyk, bibliotekarz Bibl. Czartoryskich w Krakowie † 1943.

Lauterbach Alfred — historyk sztuki † 1943.

Lewicki Józef — historyk wychowania, prof. WWP w Warszawie † 1942.

Lewicki Kazimierz — historyk, adiunkt Arch. Państw. we Lwowie † 1939.

Lorentowicz Jan — krytyk literacki, teatralny, bibliograf † 1940.

Lorentz Zygmunt — historyk, docent WWP † 1943.

Lutman Adam — historyk † 1942.

Lutman Tadeusz — historyk.

Łempicki Zygmunt — germanista, historyk kultury, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1943.

Malinowski Bronisław — etnolog i socjolog, badacz Oceanii, prof. Uniw. Londyńskiego † 1942.

Mańkowski Alfons ksiądz — historyk, prezes Tow. Nauk Toruńskiego, członek PAU † 1941.

Mana Zygmunt — historyk † 1942.

Mazanowski Mikołaj — historyk literatury † 1944.

Mączewski Przemysław — historyk literatury.

Meloch Maksymilian — historyk, archiwista † 1941.

Mendys Michał — dyrektor Archiwum Skarbowego w Warszawie † 1944.

Metallmann Joachim — filozof, docent Uniw. Jag. † 1941.

Mękicki Rudolf — historyk, dyrektor Muzeum Hist. m. Lwowa † 1942.

Miechowski Zygmunt — historyk sztuki, asystent Muzeum Starej Warszawy † 1944.

Mikułowski Andrzej — anglista.

Milbrandt Mieczysław — filozof † 1944.

Mocarski Zygmunt — bibliograf, dyrektor Biblioteki im. Kopernika w Toruniu † 1942.

Molendziński Kazimierz — historyk sztuki, bibliotekarz Muzeum Narod. w Warszawie † 1939.

Moraczewski Adam — historyk Warszawy, archiwista.

Morawski Józef — romanista, prof. Uniw. Poznańsk., członek PAU † 1939.

Morawski Kazimierz Marian — historyk † 1944.

Morawski Michał ks. — historyk kościoła, docent Uniw. Wileńsk. † 1940 (?)

Moszyński Jan — redaktor „Czasu" † 1943.

Muczkowski Józef — historyk sztuki, przezes Tow. Miłośn. Zabytków m. Krakowa, członek PAU † 1943.

Musiał Paweł — historyk † 1943.

Nieć Julian — historyk, dyrektor Muzeum Wołyńskiego, sekretarz Tow. Przyjaciół Nauk w Łucku † 1939.

Niesiołowski Andrzej — pedagog, wykładowca WWP w Łodzi, † 1944.

Niwiński Mieczysław — archiwista, historyk, kustosz Arch. m. Krakowa † 1942.

Nowogrodzki Stanisław — historyk † 1942.

Noyszewski Piołun Stanisław — historyk literatury † 1942.

Nycz Michał — historyk, bibliotekarz w Bibl. Miejskiej w Bydgoszczy † 1939.

Oesterreicher Henryk — językoznawca, slawista, adiunkt Uniw. Jag. † 1942.

Okiński Władysław — socjolog, wykładowca Uniw. Poznańsk. † 1944.

Opieński Henryk — historyk muzyki † 1942.

Ortwin Ostap — krytyk literacki † 1942.

Pagaczewski Julian — historyk sztuki, członek PAU, emeryt. prof. Uniw. Jag. † 1940.

Pajzderski Nikodem — historyk sztuki, dyrektor Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu † 1939.

Papée Fryderyk — historyk, członek PAU, prof. honor. Uniw. Jag., emeryt. dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej † 1940.

Passendorfer Artur — językoznawca.

Patkowski Aleksander — krajoznawca, regionalista, prezes Pol. Tow. Krajoznawczego, redaktor „Ziemi" † 1942.

Pękalski Józef — bibliotekarz Bibl. Uniw. w Warszawie, bibliolog.

Piekarski Kazimierz — bibliolog i bibliotekarz, kustosz Bibl. Narodowej w Warszawie, członek PAU, docent Uniw. Warsz. † 1944.

Pilek Stanisław — filolog klasyczny.

Piwiński Leon — historyk literatury † 1942.

Pniewski Władysław — polonista, red. „Rocznika gdańskiego" † 1940.

Pohorecki Feliks — historyk, kustosz Arch. Państw. we Lwowie † 1945.

Polaczkówna Helena — historyczka, heraldyczka, docent Uniw. Poznańskiego † 1942.

Poniatowski Stanisław — etnolog, prof. Uniw. Warsz. † 1945.

Posadzy Ludwik — pedagog, bibliotekarz Bibl. Uniw. Poznańsk., wykładowca na Uniw. Poznańsk. † 1939.

Potocki Antoni — historyk sztuki i krytyk liter. † 1939.

Próchnik Adam — historyk, archiwista, redaktor „Kroniki ruchu rewolucyjnego w Polsce" † 1942.

Przeworska Jadwiga — historyczka sztuki † 1942.

Przeworski Stefan — archeolog, orientalista, docent Uniw. Warsz. † 1940.

Reiter Marian — historyk literatury † 1943.

Riemer Jan — germanista, wykładowca SGH w Warszawie † 1941.

Rogóyski Stanisław — historyk sztuki.

Romahn Edward — filozof † 1942.

Rosiński Bolesław ks. — antropolog, prof. Uniw. Lwowskiego.

Rowid (Kanarek) Henryk — pedagog, red. „Ruchu Pedagogicznego".

Rudniański Stanisław — filozof, docent WWP w Warszawie.

Rychliński Stanisław — socjolog, docent SGH w Warszawie † 1944.

Rytel Marian — psycholog, prof. Uniw. Curie-Skłodowskiej w Lublinie † 1945.

Sawicki Stanisław — skandynawista, docent Uniw. Warsz. † 1944.

Schayer Stanisław — prof. filologii indyjskiej na Uniw. Warsz., członek PAU † 1942.

Schorr Mojżesz — assyriolog i semitolog, prof. Uniw. Warsz. † 1941.

Segał Jakub — psycholog, prof. WWP w Warszawie † 1943.

Seruga Józef — historyk, kierownik zbiorów zamku w Suchej † 1940.

Siedlecki Franciszek — polonista, badacz stylu i rytmiki polskiej † 1942.

Siemieński Józef — historyk prawa staropolskiego i ustroju Polski, prof. Uniw. Jag., b. dyrektor Arch. Głównego w Warszawie † 1941.

Skibniewski Mariusz ks. T. J. — historyk, prof. Bobolanum w Lublinie.

Skrudlik Mieczysław — historyk sztuki † 1941.

Smolka Franciszek — papirolog, prof. Uniw. Lwowskiego † 1943.

Sobeski Michał — filozof, prof. Uniw. Poznańsk. † 1940.

Spasowski Włodzimierz — filozof, pedagog † 1941.

Stadtmüller Karol — językoznawca, autor słowników technicznych † 1942.

Staszewski Janusz — historyk, adiunkt Arch. Państw. w Poznaniu † 1939.

Stefański Kazimierz — kustosz Muzeum Narod. w Warszawie, historyk Kalisza.

Sterling Mieczysław — historyk sztuki.

Sternbach Leon — filolog klasyczny, bizantynista, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Sładnicka z Kozłowskich Janina — archiwistka, bibliografka.

Szerękowski Rudolf — filolog klasyczny † 1943.

Szramek Emil ks. — socjolog, zbieracz pieśni ludowych, prezes Tow. Przyjaciół Nauk w Katowicach.

Szydłowski Tadeusz — historyk sztuki i konserwator zabytków, prof. Uniw. Jag. † 1942.

Śleszyński Józef — prezes Tow. Przyjaciół Nauk w Łucku † 1943.

Śmiałek Wincenty — filolog klasyczny † 1943.

Śmichoła Franciszek ks. — historyk kościoła, docent Uniw. Jag. † 1944.

Śmieszek Antoni — egiptolog, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1943.

Tarnawski Aleksander — historyk gospodarczy.

Treter Mieczysław — historyk sztuki, docent Uniw. Warsz. † 1943.

Trojanowski Stanisław — historyk, adiunkt Uniw. Jag. † 1942.

Tyszkowski Kazimierz — historyk, redaktor „Kwartalnika Historycznego" docent Uniw. Lwowskiego † 1940.

Urban Jan ks. T. J. — historyk, długoletni redaktor „Przeglądu Powszechnego".

Wachowski Kazimierz — historyk.

Wajnberg Izaak — etiopista, docent WWP w Warszawie † 1943 (?).

Waligóra Bolesław — major, historyk wojskowości nowożytnej.

Węglarz Wiktor — językoznawca † 1944.

Węglewicz Mieczysław ks. — kustosz Muzeum Diecezjalnego w Warszawie.

Widerszal Ludwik — historyk, docent Uniw. Warsz. † 1944.

Wieczorkiewicz Antoni — historyk sztuki, kustosz Muzeum dawnej Warszawy † 1942.

Wilder Hieronim — historyk sztuki, zbieracz † 1941.

Windakiewicz Stanisław — historyk literatury, członek PAU, honor. prof. Uniw. Jag. † 1943.

Wisłocki Władysław — bibliograf, slawista, kustosz Bibl. Ossolińskich we Lwowie † 1941.

Wiwatowski Tadeusz — polonista, † 1944.

Zajczyk Szymon — historyk sztuki † 1944.

Zakrzewski Kazimierz — historyk, prof. Uniw. Warsz. † 1941.

Zaleski Zygmunt — historyk, statystyk, redaktor „Kroniki m. Poznania" † 1939 (?).

Zand Andrzej — historyk Łodzi † 1943.

Zarzycki Włodzimierz — historyk, archiwista † 1940.

Zieleńczyk Adam — filozof, prof. WWP w Warszawie.

Zieliński Tadeusz — filolog klasyczny, religiolog, członek PAU, honor. prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Żmigryder-Konopka Zdzisław — historyk, prof. WWP w Warszawie.

Żeleński Tadeusz (pseud. Boy) — romanista, teatrolog, tłumacz † 1941.

Życzyński Henryk — historyk literatury, prof. Kat. Uniw. Lubelskiego † 1941.

Żejmo-Żejmis Stanisław — antropolog, docent Uniw. Warsz.

V. Matematyka, nauki przyrodnicze, geografia

Auerbach Herman — matematyk, prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Badian Jan — botanik, docent Uniw. Lwowskiego † 1942.

Baehr Wacław — botanik, członek PAU, emeryt. prof. Uniw. Warsz. † 1939.

Banach Stefan — matematyk, prof. Uniw. Lwowskiego † 1945.

Bartel Kazimierz — matematyk, prof. Politechn. Lwowskiej † 1941.

Bartoszyński Antoni — entomolog † 1940.

Białaszewicz Kazimierz — fizjolog, założyciel i redaktor „Acta Biologiae Universalis", prof. Uniw. Warsz., członek PAU † 1943.

Biernacki Franciszek — kartograf † 1941.

Bobińska Jadwiga — chemiczka † 1943.

Bolland Arnold — chemik, technolog, docent Uniw. Jag., prof. Akad. Handl w Krakowie † 1940.

Braunówna Stefania — matematyczka † 1943 (?).

Breitmeier Władysław — geograf † 1944.

Bujalski Bolesław — geolog † 1945.

Centnerszwer Mieczysław — chemik, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1943.

Chwistek Leon — matematyk, filozof, prof. Uniw. Lwowskiego † 1944.

Deszczka Władysław — geograf † 1941.

Dickstein Samuel — matematyk, członek PAU, prof. honor. emeryt. Uniw. Warsz. redaktor „Wiadomości Matematycznych" i „Prac Matematyczno Fizycznych" † 1939.

Dobiński Stanisław — fizyk, docent Uniw. Jag.

Doboszyński Dobiesław — fizyk, docent Uniw. Jag. † 1942.

Dominik Walenty — chemik, prof. SGGW w Warszawie † 1944.

Drath Adam — geolog, docent Akad. Górniczej w Krakowie † 1942.

Drewski Karol — chemik, docent Politechn. Warsz. † 1941.

Drogoszewski Kazimierz — zoolog.

Dyakowski Bohdan — przyrodnik † 1941.

Dybczyński Tadeusz — geolog † 1944.

Dziewoński Karol — chemik, prof. Uniw. Jag., członek PAU † 1943.

Dziubałtowski Seweryn — botanik, prof. SGGW w Warszawie † 1944.

Friedberg Wilhelm — geolog i paleontolog, członek PAU, emeryt. prof. Uniw. Jag. † 1941.

Fuliński Benedykt — zoolog, członek PAU, prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Gadomski Adam — geograf † 1942.

Garbowski Tadeusz — zoolog i filozof, prof. emeryt. Uniw. Jag. † 1940.

Głazek Stanisław — zoolog.

Goriaczkowski Włodzimierz — fitopatolog, prof. SGGW w Warszawie † 1944.

Grabowski Lucjan — astronom, prof. Politechn. Lwowskiej † 1941 (?).

Gumplowicz Władysław — geograf, prof. WWP w Warszawie † 1942.

Gutowski Bolesław — zoolog, prof. Uniw. Warsz. † 1940.

Hłasko Marian — chemik, prof. Uniw. Wileńskiego † 1941.

Hoborski Antoni — matematyk, prof. Akad. Górn. i Uniw. Jag. † 1940.

Horwitz Ludwik — geolog † 1943.

Jabłczyński Kazimierz — chemik, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Jacob Marian — matematyk, prof. Uniw. Lwowskiego † 1944.

Jantzen Kazimierz — meteorolog, prof. Uniw. Wileńskiego.

Jarkowski Antoni — zoolog.

Kaczmarz Stefan — matematyk, docent Uniw. Lwowskiego † 1939 (?)

Kalandyk Stanisław — fizyk, prof. Uniw. Poznańsk. † 1940.

Kempisty Stefan Jan — matematyk, prof. Uniw. Wileńskiego † 1940.

Kling Kazimierz — chemik, dyrektor Chemicznego Instytutu Badawczego † 1942.

Koczwarowa z d'Abancourt'ow Aniela — geografka, redaktorka „Przyrody i Techniki".

Kołodziejczyk Stanisław — meteorolog.

Kozak Jan — chemik, prof. Uniw. Jag. † 1941.

Koźmiński Zygmunt — zoolog, docent Uniw. Wileńskiego † 1939.

Koźniewski Andrzej — matematyk † 1939.

Kraszewski Witold — chemik, emeryt. prof. Uniw. Wileńskiego † 1943.

Kremky Jerzy — zoolog, kustosz Państw. Muzeum Zoologicznego † 1940.

Kreutz Stefan —petrograf i krystalograf, prof. Akad. Górniczej w Krakowie, członek PAU † 1941.

Krzemecki Andrzej — chemik, wykładowca technologii rolniczej w Un. Jag. † 1944.

Krzemieniewski Seweryn — botanik, prof. Uniw. Lwowskiego, członek PAU † 1945.

Krzyżański Seweryn — chemik, docent Uniw. Poznańsk. † 1939.

Kuczyński Tadeusz — chemik, prof. technologii chemicznej na Politechn. Lwowskiej † 1945.

Kuntze Roman — zoolog, prof. SGGW w Warszawie † 1944.

Kuntzowa Zofia — zoolog † 1944.

Kwiatkowski Antoni — geodeta, meteorolog † 1944.

Kwietniewski Kazimierz — zoolog, emeryt. prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Kwietniewski Stefan — matemat., wykładowca Uniw. Warsz. † 1939.

Lachs Hilary — chemik, prof. WWP w Warszawie † 1942.

Lencewicz Stanisław — geograf, prof. Uniw. Warsz., redaktor „Przeglądu Geograficznego" † 1944.

Leśkiewicz Jerzy — chemik, adiunkt Zakładu Chemii organ Uniw. Warsz. † 1944.

Lewakowski Jerzy — kartograf, ppułk., zastępca szefa Wojsk. Instytutu Geograficznego † 1941.

Lilpop J. — botanik † 1945 (?).

Lindenbaum Adolf — matematyk, docent Uniw. Warsz. † 1941 (?).

Lindenfeld Kazimierz — chemik, docent Uniw. Warsz.

Lityński Alfred — zoolog, docent Uniw. Warsz., kierownik Stacji Hydrobiolog. nad jez. Wigry † 1945.

Łomnicki Antoni — matematyk, prof. Politechn. Lwowskiej † 1941.

Łoziński Paweł — zoolog, prof. Uniw. Jag. † 1942.

Łoziński Walerian — geolog i gleboznawca, docent Uniw. Jag. † 1944.

Makowski Arnold — geolog i paleontolog, prof. WWP w Warszawie † 1943.

Malśburg Karol — zootechnik, emeryt. honor. prof. Politechn. Lwowskiej.

Małachowski Roman — chemik, prof. Uniw. Lwowskiego † 1944.

Masłowski Marian, inż. — zoolog.

Mathison Miron — fizyk, docent Uniw. Warsz.

Maurizio Adam — botanik, prof. honor. Uniw. Warsz. † 1940.

Mazurkiewicz Stefan — matematyk, współredaktor „Fundamenta Mathematicae", prof. Uniw. Warsz., członek PAU † 1945.

Miklaszewski Bolesław — chemik, technolog, prof. SGH w Warszawie † 1941.

Minkiewicz Romuald — biolog, prof. WWP w Warszawie † 1944.

Morozewicz Józef — mineralog, b. dyrektor Państw. Inst. Geolog.

Moszyński Ambroży — zoolog † 1941.

Niemczycki Stanisław — chemik, prof. Akad. Weterynar. we Lwowie † 1943.

Nowak Jan — geolog i paleontolog, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Opolski Zdzisław — geograf, geolog † 1941.

Ormicki Wiktor — geograf, docent Uniw. Jag. † 1941.

Paczoski Józef — botanik, fitosocjolog, członek PAU, prof. Uniw. Pozn.

Patkowski Józef — fizyk, prof. Uniw. Wileńskiego † 1942.

Pawłowski Antoni — matematyk, prof. honor. Akad. Handlu Zagr. we Lwowie.

Pawłowski Stanisław — geograf, członek PAU, prof. Uniw. Pozn. † 1939.

Piech Kazimierz — botanik, prof. Uniw. Jag. † 1943.

Pleśniewicz Stanisław — chemik, adiunkt Politechn. Warsz. † 1943.

Polaczkówna Maria — geografka † 1944.

Poliwodzianka — biolog † 1941.

Przeborski Antoni — prof. mechanik Uniw. Warsz. † 1941.

Przeborski Józef — fizyk, prof. Uniw. Warsz. † 1941.

Rajchman Aleksander — matematyk, prof. WWP w Warszawie † 1940.

Renieńska Wanda — geografka, asystent Uniw. Wileńskiego † 1945.

Roszkowski Wacław — zoolog, prof. Uniw. Warsz. † 1944.

Rundo Alfred — hydrolog, kierownik Biura Hydrograficznego Min. Komunik.

Ruziewicz Stanisław — matematyk, emeryt. prof. Uniw. Lwowskiego, prof. Akad. Handlu Zagr. † 1941.

Rychlicki Jan — geolog † 1942.

Sachs Stanisław — matematyk, prof. Uniw. Lwowskiego † 1942.

Schauder Juliusz Paweł — matematyk, docent Uniw. Lwowskiego † 1943.

Sianożęcki Wojnicz Zygmunt — chemik, prof. technologii organicznej Politechn. Warsz.

Siedlecki Michał — zoolog, prof. Uniw. Jag., członek PAU † 1940.

Siemaszko Wincenty — botanik, fitopatolog, prof. SGGW w Warszawie † 1943.

Simche Zdzisław — geograf † 1941.

Sławiński Kazimierz — chemik, emeryt. prof. Uniw. Wileńsk. † 1941.

Słonimski Piotr — biolog, docent Uniw. Warsz. † 1944.

Smoleński Jerzy — geograf, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Sosnowski Witold — matematyk wykładowca Politechniki Warszaw. † 1940 (?)

Stalong-Dobrzański Jerzy — chemik, docent Politechn. Warsz. † 1940.

Stanoch Julian — geograf † 1942.

Stefanowska Michalina — prof. fizjologii na Uniw. Poznańsk. † 1942.

Stożek Włodzimierz — matematyk, prof. Politechn. Lwowskiej † 1941.

Sujkowski Antoni — geograf, prof. SGH w Warszawie † 1941.

Sumiński Stanisław — biolog, popularyzator wiedzy przyrodniczej † 1943.

Szperl Ludwik — chemik, prof. Politechn. Warsz. † 1944.

Szumański Teofil — kartograf, lektor na Uniw. Lwowskim † 1944.

Świderski Bohdan — geolog, prof. Uniw. Jag. † 1943.

Tenenbaum Szymon — zoolog † 1943.

Trzebiński Józef — botanik, członek PAU, prof. Uniw. Wileńskiego.

Tucholski Tadeusz — fizyk, docent Uniw. Poznańsk. † 1941 (?)

Tur Jan — zoolog, prof. Uniw. War., członek PAU † 1942.

Vieweger Teodor — biolog, prof. WWP w Warszawie, ostatnio rektor Uniw. Łódzkiego † 1945.

Weigel Kacper — geodeta, prof. Politechn. Lwowskiej † 1941.

Wejgelt Stanisław — botanik † 1943.

Wertenstein Ludwik — fizyk, radiolog, profesor WWP w Warszawie † 1945.

Weyberg Zygmunt — mineralog, prof. Uniw. Warsz. † 1945.

Wilk Antoni — astronom, prof. Uniw. Jag. † 1940.

Wilkosz Witold — matematyk, fizyk i logik, prof. Uniw. Jag. † 1941.

Windakiewicz Edward — geolog † 1942.

Winid Walenty — geograf, prof. Akad. Handl. w Krakowie † 1945.

Wiszniewski Jerzy — zoolog, docent Uniw. Warsz., kierownik Poleskiej Stacji Biologicznej † 1944.

Wiśniewski Tadeusz — botanik, asystent Uniw. Warsz. † 1943.

Wojtowicz Władysław — matematyk † 1942 (?)

Wołłosowicz Stanisław — geolog † 1943.

Wóycicki Zygmunt — botanik, długoletni prezes Pol. Tow. Botanicznego, członek PAU, prof. Uniw. Warsz. † 1941.

Wróblewski Antoni — botanik.

Wysocki Jerzy — mineralog † 1944.

Zalcwasser Zygmunt — matematyk, prof. WWP w Warszawie.

Zaremba Stanisław — matematyk, członek PAU, prof. Uniw. Jag. † 1942.

Zdobnicka Maria — geografka † 1941.

Zwejgbaumówna Zofia — fitopatolog † 1944.

VI. Technika i Rolnictwo

Bartoszewicz Kazimierz — architekt, prof. Politechn. Lwowskiej † 1945.

Bąkowski Franciszek — budowniczy, wykładowca Politechn. Warsz. † 1944.

Bielski Sariusz Zygmunt — prof. wiertnictwa w Akad. Górniczej w Krakowie † 1944.

Bojemski Aleksander Józef — architekt, prof. Politechn. Warsz. † 1944.

Bratro Emil — prof. budowy dróg i tunelów Politechn. Lwowskiej † 1944.

Bryła Stefan Władysław — prof. konstrukcyj stalowych i żelazobetonowych Politechn. Warsz. † 1943.

Chmielowiec Alfons — docent statystyki i teorii mostów Politechn. Lwowskiej.

Chrzanowski Wiesław — prof. maszyn i turbin parowych Politechn. Warsz. † 1940.

Chrząszcz Tadeusz — prof. technologii rolniczej Uniw. Pozn. † 1943.

Ciechanowski Zygmunt — prof. budowy pomp i silników wodnych na Uniw. Lwowskim † 1945.

Gembaszewski Leszek — hydrolog, współpracownik Lindleya.

Gergowich Stanisław — architekt, urbanista, docent Politechn. Warsz. † 1942.

Hausbrandt Jan — leśnik, dyrektor Instytutu badawczego lasów państw. † 1941.

Hauswald Edwin — prof. budowy maszyn Politechn. Lwowskiej.

Jachimowski Stanisław — zast. prof. inżynierii leśnej w SGGW w Warszawie † 1940.

Kolanowski Włodzimierz — inż. mierniczy, docent kartografii matemat. i praktycznej na Politechnice Warsz. † 1942.

Krukowski Włodzimierz — prof. pomiarów elektrotechnicznych Politechn. Lwowskiej † 1941.

Kühn Alfons — inż. wykładowca w SGH w Warszawie † 1944.

Lalewicz Marian — prof. historii architektury starożytnej Politechn. Warsz.

Matakiewicz Maksymilian — prof. budownictwa wodnego Politechniki Lwowskiej, prezes Akademii Nauk Technicznych † 1940.

Matuszewski Tadeusz — agronom, docent bakteriologii rolnej w SGGH w Warszawie † 1945.

Miklaszewski Jan — leśnik, prof. SGGW w Warszawie † 1944.

Miller Romuald — architekt, prezes Stow. Architektów RP. † 1945.

Morawski Adolf — prof. urządzeń elektr. Politechn. Warsz. † 1941.

Nadolski Otto — prof. budownictwa wodnego Politechn. Lwowskiej † 1941.

Nestorowicz Melchior — prof. budowy dróg i robót ziemnych Politechn. Warsz. † 1939.

Piłat Stanisław — prof. technologii nafty Politechn. Lwowskiej † 1941.

Poniatowska Halina — agronom, asystent SGGW w Warszawie † 1944.

Pożaryski Mieczysław — prof. elektrotechniki na Politechn. Warsz. † 1945 (?).

Przyborowski Józef — prof. hodowli roślin Uniw. Jag. † 1939.

Przyrembel Zygmunt — historyk przemysłu, wykładowca Politechniki Lwowskiej † 1943 (?).

Pszenicki Andrzej — prof. budowy mostów Politechn. Warsz. † 1941.

Radziszewski Ignacy — prof. wodociągów i kanalizacji miast w Politechn. Warsz. † 1944.

Reychman Stefan — architekt † 1939.

Rogoziński Feliks — prof. fiziologii i nauki żywienia zwierząt na Uniw. Jag., członek PAU † 1940.

Różański Adam — prof. inżynierii rolnej na Uniw. Jag. † 1940.

Smoleński Kazimierz — technolog, prof. Politechn. Warsz. † 1943.

Sokołowski Stanisław — leśnik, prof. Uniw. Jag., członek PAU † 1942.

Sosnowski Oskar — architekt, urbanista, prof. Politechn. Warsz. † 1941.

Staniszkis Witold — agronom, prof. uprawy roślin w SGGW w Warszawie † 1942.

Stryjeński Tadeusz — architekt † 1943.

Studniarski Stefan — prof. administracji i rachunkowości leśnej Uniw. Poznańskiego.

Surmacki Władysław — mierniczy, wykładowca na Politechn. Warsz.

Szablisty Stanisław — architekt † 1944.

Szanajca Józef — architekt † 1939.

Świerczyński Rudolf — architekt, prof. projektowania i budownictwa miejskiego na Politechn. Warsz. † 1943.

Takliński Władysław — technolog, prof. Akad. Górniczej w Krakowie † 1940.

Thullie Mieczysław — prof. budowy mostów na Politechn. Lwowskiej † 1939.

Vetulani Kazimierz — docent mechaniki na Politechn. Lwowskiej † 1941.

Vorbrodt Władysław — prof. chemii rolniczej na Uniw. Jag. † 1940.

Wątorek Karol — prof. budowy kolei żel. Politechn. Lwowskiej † 1944.

Wierzbowski Jerzy — agronom, wykładowca i kierownik zakładu maszynoznawstwa SGGW w Warszawie † 1945.

Witkiewicz Roman — prof. pomiarów maszyn na Politechn. Lwowskiej † 1941.

Włodek Jan — prof. uprawy roli na Uniw. Jag. † 1940.

Wojciechowski Jarosław — architekt, konserwator zabytków budownictwa, wykładowca Politechn. Warsz. † 1942.

Wójcicki Kazimierz — prof. Politechniki Warszawskiej † 1944.

Zięborak Jan — chemik technolog, adiunkt SGGW w Warszawie † 1944.

Zwierzchowski Stanisław — prof. silników wodnych i pomp Politechn. Warsz.

B. OLSZEWICZ